

Siedmioramienny świecznik

Kazimierz Korkozowicz





Zmrużył oczy i poprzez szczeliny powiek nieruchomo wpatrywał się w Monda.

— Ach taak? — Słowa padały spokojnie, ale drgała w nich groźba. — Więc nie chcesz tego zrobić? Zobaczysz, czym to pachnie...

Ręka, w której Mond trzymał chusteczkę, zadrziała. Nie mogąc opanować tego drżenia zacisnął ją w pięść i oparł o blat biurka.

— Cóż to, grozi mi pan, panie Volbert? Niech pan nie myśli, że ulegnę tej groźbie. Nie boję się pana!

— Posłuchaj! — Twarz Volberta stężała, a w głosie zabrzmiał brutalny akcent. — Pojutrze do niej zadzwonię, dam ci dwa dni czasu na załatwienie tej sprawy. W przeciwnym razie...

— Nie boję się pana! Nie boję! — Było coś historycznego w tych okrzykach powtarzanych uparcie i coraz bardziej piskliwie...

Kazimierz Korkozowicz
Siedmioramienny
świecznik



Krajowa Agencja Wydawnicza

Projekt okładki i karty tytułowej

TERESA CICHOWICZ-PORADA

Zdjęcie

JAN I WALDYNA FLEISCHMANN

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „Prasa-Książka-Ruch”

Warszawa 1975

Wydanie I.

Nakład 100 000+260 egz.

Objętość: ark, wyd. 9,26, ark, druk. 9,39.

Papier druk, sat, kl. V, 70 g.

Nr prod. 1-5/82/74.

Zam. 434. B-31.

Skład: Zakłady Graficzne

w Katowicach;

druk i oprawa:

Lubelskie Zakłady Graficzne

Cena egz, zł 22,—

Światło latarni, zmieszane z resztkami blasków wieczornej zorzy, zaledwie przedzierało się przez liście platanów. Kamil wyteżał wzrok, by rozróżnić drobne cyfry. Każdej towarzyszyła jakaś nazwa, która nasuwała wyobraźni widok stacji, gdzie na zwrotnicach stukoczą koła, maleje pęd, a potem przez okna widać oświetlone perony i krzątanię spieszących ludzi.

Przypomniawszy sobie urocze, prowincjonalne miasteczka, ukryte pomiędzy wzgórzami, o czerwonych dachach ukrytych wśród zieleni drzew, ze smukłą wieżą kościoła kłującą niebo. Dostałby na pewno bez trudności staroświecko urządzonej sypialni z pociemniałym belkowaniem sufitu i mógłby wieczorami prowadzić na wpół żartobliwe rozmowy z gospodarzem, a dni spędzać na długich spacerach wśród pól. To byłby prawdziwy odpoczynek. Tak, ale to samo mógł mieć i w swoim kraju. Poza tym znał siebie dobrze: po tygodniu nuda jednostajnie płynących dni kazałaby mu znów pakować walizki.

Zsunął kapelusz na tył głowy i podrapał się w czoło. Trzeba więc wybrać co innego. Zatem Południowe Wybrzeże? A może Bretania?

Kelner przesunął się obok, trącając go w przejściu ramieniem. Krótkie „pardon” doleciało go już z daleka.

Brańczyk wyciągnął przed siebie nogi i z zadowoleniem, jakie daje poczucie wolnego czasu, odłożył rozkład jazdy, by obserwować szumiący gwarem ludzki tłum przesuający się trotuarem tuż obok stolików.

Ciepły, letni wieczór nasiąkał coraz bardziej mrokiem. Światła latarni biegły szeregiem punktów, hen, w ciemną perspektywę ulicy

Z drugiej strony migotała różowym szkliwem powierzchnia Sekwany, a za nią, na tle świetlistego, pomarańczowego nieba, rysowały się granatowym konturem sylwety wież Notre Dame.

Teraz, kiedy dni wyczerpującej pracy miał już za sobą, kiedy ostatnie depeşe zostały wysłane, opanował go bez troski nastrój. Miał przed sobą perspektywę czterech tygodni odpoczynku w tym kraju tak bliskim jego sercu, tym bliższym, że i za jego wolność toczył niebezpieczną walkę.

Poczucie wolnego czasu cieszyło, a swoboda decyzji rodziła zaciekawienie, co przyniesie dokonany wybór. Jednak ta swoboda była jedną więcej ludzką złudą, o czym miał się zaraz przekonać.

Barczysty mężczyzna zatrzymał się przed Kamilem i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Na jego gładko wygolonej, surowej twarzy pojawił się krótki uśmiech. Potem wyciągnął rękę.

— Branczyz. Niechże diabli wezmą twoje niemożliwe nazwisko. Znów muszę sobie łamać nim język!

Tylko na krótką chwilę. Kamil znieruchomiał w zdumieniu. Potem poderwał się na nogi.

— Och, pułkownik! Po tylu latach! Jestem szczęśliwy, że znów pana widzę!

Mężczyzna podsunął sobie krzesło

— No, to sobie trochę pogadamy. Tak nas niewielu pozostało z „Annabelli”... Tylko nie wracaj, proszę, do mojej rangi. To już minęło — przerwał na chwilę. — Jestem monsieur Raoul Bonivarde i nic więcej. Właściciel farmy — jeśli chcesz wiedzieć — kurzej.

Uśmiech był trochę smutny i trochę ironiczny. Zamilkł i spoglądał na uliczny ruch. Potem obrócił głowę w stronę Kamila i uporczywym, nieruchomym spojrzeniem przywarł do jego twarzy.

Brańczyc znalazł ten badawczy, sięgający do głębi wzrok. Był świadkiem, jak pod jego naporem odważni i silni mężczyźni opuszczali oczy pokrywając zakłopotanie beztrojskim uśmiechem, a potem mówili więcej, niż od nich żądano.

Wreszcie Bonivarde przemówił:

— W czterdziestym piątym roku miał pan wracać do Polski?

— I wróciłem.

— A teraz znów we Francji?

— Służbowo. Obsługiwałem ekonomiczną sesję ONZ dla gazety. Wczoraj, jak pan zapewne wie, zakończyła obrady.

— Wraca pan do Warszawy?

— Tak, ale dopiero za miesiąc. Mogę przedłużyć pobyt o cztery tygodnie

— Hm... — Bonivarde znów zamilkł. Nie patrzył teraz na Kamila. Opuścił głowę i wpatrywał się w kolorową okładkę rozkładu jazdy, leżącego na stoliku.

— Właśnie zastanawiam się, gdzie spędzić urlop — powiedział Brańczyc widząc to spojrzenie.

— I co pan wybrał? — Bonivarde przeniósł wzrok na twarz swego towarzysza.

— Właściwie jeszcze nie — Kamil wzruszył lekko ramionami. Na razie cieszę się: miesiąc wolnego czasu i tyle możliwości jego wykorzystania!

— Tak, istotnie perspektywa godna zazdrości. — W głosie Bonivarde'a zadrgała nieuchwytna nuta sarkazmu, która nie uszła uwagi Brańczyca. Zaintrygowany, rzucił od niechcenia:

— Czy sprawy farmy są tak absorbujące, że nie może się pan od nich oderwać i też trochę odpocząć?

Bonivarde obrzucił go szybkim, lustrującym spojrzeniem, po czym znów się uśmiechnął. Był to uśmiech krótki i ledwo widoczny. Lekkie wygięcie ust, szybki błysk oka i twarz znów przybrała zwykły, surowy wyraz.

— Ba, mój drogi! Nie ma pan pojęcia, co znaczy taka hodowla! Zwłaszcza, ile kłopotu sprawiają niektóre koguty!

Kamil bez słowa obserwował swego towarzysza. Jego przełożony z czasów Resistance — Bonivarde był wówczas szefem grupy wywiadowczej „Annabella” — zamyslił się, by po chwili rzucić raptownie:

— Czy pamięta pan spaloną akcję w Montfort? Straciliśmy tam pięciu naszych najlepszych ludzi. Wśród nich zginął mój najmłodszy brat, wspaniały i dzielny chłopak...

— Doskonale pamiętam. To była zdrada...

Bonivarde ciągnął dalej już cicho i w zadumie jak gdyby rozmawiał sam z sobą.

— Zginęli po dwudniowych torturach. Widziałem ich zwłoki, zanim je pochowano. Leżeli na kamieniach podwórka, pod odrapanym murem Twarzy Henryka nie mogłem rozpoznać... tylko ubranie. Wszyscy wytrzymali aż do zbawczej, dobroczynnej śmierci..

Zamilkł na chwilę i znów zaczął

— Szefem gestapo w Montfort był Alzatzczyk, Walter Gestii. Postanowiłem pomścić Henryka i tamtych czterech. Ale wkrótce, jak wiesz, nadeszła inwazja, mieliśmy wówczas dużo innej roboty i ptaszek umknął.

— No i? — rzucił cicho Kamil,

— Od lat go szukam. Wiem, że jest we Francji.

— No i? — powtórzył Brańczyc.

— Teraz wydaje mi się, że już niedługo będę go miał.

Zapadło milczenie. Obok przy stoliku jakaś młoda para sprzeczała się głośno. Dziewczyna rozkapryszonym głosem powtarzała uparcie „non, non”, potem zerwała się i wybiegła. Chłopak rzucił pieniądze na stół i podążył za nią.

— Czy nie przydałbym się panu? — Brańczyc prze-rwał milczenie.

— A co z urlopem?

— Nie wyobrażam sobie nic bardziej pociągającego niż takie spędzenie urlopu! Pracować znów z panem, pod pańskim kierownictwem!

Bonivarde uśmiechnął się.

— Emocji na pewno nie zabraknie. Sytuacja zbliża się do finału, więc tym bardziej brak mi kogoś, na kim mógłbym polegać.

— Chyba pan nie wątpi...

— Więc zgoda. Zresztą byli to przecież i twoi towarzysze. Zakończymy po prostu jedną z naszych akcji, której nie zdążyliśmy wykonać w czasie wojny.

Bonivarde nachylił się ku towarzyszowi.

— Zatem słuchaj uważnie, chłopcze

Kamil przypomniał sobie odległy czas walki pod rozkazami tego człowieka. Jak wówczas, tak i teraz, instrukcje i komentarze były krótkie, jasne i nie budzące wątpliwości.

Mieszkanie było obszerne i bogato umeblowane. Z wielkiego hallu oszklone drzwi prowadziły do salonu, stamtąd do gabinetu pana domu. Meble nie były jednolite, jednak większość z nich stanowił palisandrowy Ludwik XV zdobiony delikatnym wzorem cyzelowanej miedzi. Wśród obrazów znajdowały się szkice Hoggartha, pejzaże Bonheura i Corota, a jedną ze ścian gabinetu zdobiła ikona, która w mniemaniu znawców wyszła spod pędzla Teofana Greka.

Pokoje sypialne państwa Lavery leżały po lewej stronie po prawej znajdowała się obszerna, nieco mroczna jadalnia.

Krzątał się po niej lokaj, cicho i sprawnie nakrywając do obiadu. Ciemne, chipipendalowskie meble połyskiwały politurą w elektrycznym świetle wielkiego zyrandola Na dużym stole znajdowały się tylko dwa nakrycia, oddzielone od siebie kryształowym wazonem, w którym trzy łososiowe róże odbijały kolorową plamą od białego obrusa.

Lokaj ułożył sztucce i obrzucił całość uważnym spojrzeniem Potem popatrzył na wahadłowy zegar stojący w rogu pokoju.

Zadzwoił telefon w hallu. Drugi aparat znajdował się na biurku pana domu. Stał obok kutego ze srebra siedmioramiennego żydowskiego świecznika który pamiętał chyba czasy Karola Młota. Był to pojedynczy egzemplarz, odzyskanie zaś drugiego z którym stanowił parę udało się tylko dzięki wytrwałej cierpliwości.

Telefon dzwonił przez pewien czas, zanim służący bez pośpiechu wyszedł i równie bez pośpiechu podniósł słuchawkę.

— Tu mieszkanie państwa Lavery — oznajmił z godnością, po czym dodał: — Owszem, jest... zaraz poproszę.

Wyszedł na korytarz prowadzący do obu sypialni i zapukał do drzwi jednej z nich. Z wnętrza nie doszedł go żaden odgłos, powtórzył więc pukanie, jednak równie dyskretnie jak za pierwszym razem i stał nasłuchując.

Przez chwilę panowała za drzwiami cisza. Potem posłyszał jak gdyby hamowany szloch. Wreszcie padło ciche pytanie:

— O co chodzi?

Służący otworzył drzwi i stanął na progu.

— Telefon do pani. Dzwoni panna Fontenay.

— Proszę, niech Piotr powie, że zaraz podejść.

Alicja Lavery siedziała w fotelu z chusteczką w ręku. Zaskoczona wejściem lokaja, odwróciła szybko głowę ku oknu, nie tak szybko jednak, by ten nie zauważył łez ściekających jej po twarzy.

Zamknął za sobą drzwi i wolno podszedł do niej Alicja osuszyła policzki chusteczką i spojrzała nieco zdziwiona na służącego.

Ten zatrzymał się o parę kroków i obserwował ją w milczeniu.

— Dlaczego Piotr tak mi się przygląda? — zapytała starając się ukryć zmieszanie. — Proszę iść i wykonać polecenie!

Służący nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Pani płacze? Co się stało?

— Wydaje mi się, że Piotr pozwala sobie na zbyt dużą ciekawość!

— Pomyślałem sobie, że może potrzebuje pani rady lub pomocy... — odpowiedział z respektem.

— Wówczas na pewno nie zwracałabym się z tym do Piotra! — rzuciła rozdrażnionym tonem.

— Nie przypuszczałem, że panią urażę. Proszę mi

wybaczyć... — mruknął lokaj. Skłonił się przesadnie i obrzucił Alicję spojrzeniem, które wzbudziło w niej niepokój.

— Zakończmy tę rozmowę — powiedziała krótko — a na przyszłość proszę poniechać okazywania mi tego rodzaju życzliwości!

Alicja minęła lokaja kierując się ku drzwiom. Poszedł za nią i już z jadalni obserwował, jak rozmawiała przez telefon.

Widział jej szczupłą, zgrabną sylwetkę i kędzierzawą grzywę włosów nad pełną dziewczęcogo uroku twarzą. Duże, szare oczy wyrażały rozpacz i bezradność. Mówiła cicho, ale niektóre urywki zdań dochodziły do czujnych uszu lokaja.

— A więc dobrze, kochanie. O jedenastej? Nie obiecuję, ale postaram się. Taak? Naprawdę? Nie, skądże, po prostu może dlatego, że mam szaloną migrenę...

Potem stuknęła odłożona słuchawka. Alicja wróciła do siebie. Ta błaha rozmowa telefoniczna kosztowała ją dużo wysiłku. Opadła znów na fotel stojący obok okna i bezmyślnie obserwowała biegnącą w dole ulicę.

Nachodziły ją fale gwałtownego strachu, przytłaczając wszystkie inne uczucia. Potem znów ciężkie, gorzkie myśli, w których bunt, obrzydzenie i wściekłość mieszały się z poczuciem popełnionego błędu. Jednak strach i bezradność dominowały i dokuczały najbardziej. Musi znów zdobyć się na ogromny wysiłek, znów zabiegać i kłopotać się, skąd zdobyć pieniądze, bowiem kolejny list z ich żądaniem nadszedł w dniu dzisiejszym.

Powinna, musi zrobić wszystko, aby nie dopuścić do Bena jakiegokolwiek, choćby najbliższej wiadomości o tej

przekłętej, dawno minionej przygodzie z Filipem.

Kochany, dobry, zawsze spokojny i zawsze wyrozumiały Ben! Ale jego wybujałe poczucie własności... Znała tę jego twardą zawziętość — bliska osoba i martwy przedmiot nie ulegały w takich razach zróżnicowaniu. Wtedy Ben stawał się bezwzględny, zaślepiony, poprzez jego łagodność przebijała wówczas zachłanność, której była przecież najcenniejszym obiektem. Wyczuwała to dostatecznie wyraźnie, aby nie mieć wątpliwości. Nie byłaby zaś kobietą, gdyby świadomość takiego stanu rzeczy nie sprawiała jej przyjemności.

Gdyby więc Ben... Nie, wołała o takiej ewentualności nawet nie myśleć.

Ach, ten łajdak! Jak mogła, jak mogła! Czyż można było przewidzieć, że takie zakończenie będzie miał ów epizod sprzed roku? Spędzała wówczas letnie miesiące na Sycylii, w Santa Agata. Zjawił się przed nią któregoś dnia w blasku południowego słońca i... straciła głowę. Nastąpiły dni zmysłowego oszołomienia, a potem przyszła chwila trzeźwego namysłu, pierwszych chłodnych spostrzeżeń. W pięknym ciele tkwiła dusza kupczyka, a trywialność myślenia i arogancki, pełen pewności siebie sposób bycia przebijały przez powierzchowną układność manier. Zaczął ją razić coraz bardziej, kiedy więc nie stawiał się na umówione spotkanie, a w parę godzin później spotkała go z podejrzaną pięknoscią — po prostu spakowała rzeczy i wyjechała bez pożegnania.

Sądziła wówczas, że tym upokorzeniem zapłaciła za lekkomyślny krok. Ale potem okazało się, że nie była to pełna cena. Należało dokonać ogromnej dopłaty. Poza groźbą całkowitego wyzbycia się osobistego majątku,

została skazana na przeżywanie lęku, rozpacz i wstydu

Posłyszała dzwonek u drzwi wejściowych. Nadchodził Ben. Trzeba mu okazać pogodną twarz, nie powinien zauważyć zaczerwienionych płaczem powiek

Przemyśla oczy zimną wodą i usiadła przed lustrem, sięgając po puder

Lavery był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, szczupłym, o pochylonej do przodu postaci Bardzo wysokie czoło okalały szpakowate, dość już przerzedzone włosy. Ciemne, piękne oczy patrzyły bystro i mądrze. Był znany wziętym adwokatem, o wyrobionym nazwisku i zaможnej klienteli ze sfer przemysłowych. Mówił zawsze spokojnie, dokładnie precyzując myśli w słowach dobieranych z rozważą i umiarem

Kiedy wszedł do jadalni, Alicja już tam była. Pocałował ją w czoło, a następnie ujął za rękę i jakiś czas spoglądał bez słowa w jej twarz, dopóki wymuszony uśmiech nie pojawił się na ustach kobiety.

— Wyglądasz bardzo mizernie, moja kochana czy ci nic nie dolega?

Alicja zgasiła uśmiech, którym usiłowała pokryć zakłopotanie, i mimowolnym gestem, na w pół już wierząc w swoje drobne kłamstwo, przyłożyła ręce do czoła.

— Mam okropną migrenę. Może przejdzie..

Zasiedli do stołu. Początek posiłku przeszedł w milczeniu. Lokaj cicho i sprawnie zmieniał talerze, z tą dyskretną czujnością właściwą dobrze wyszkolonej służbie.

Z ulicy dochodziły od czasu do czasu przytłumione hałasy; tym przytulniejsza wydawała się cisza pokoju

Dla Alicji była jednak nie do zniesienia. Czowała gwałtowną potrzebę odezwania się, aby własnym głosem

zagłuszyć nurtujący ją niepokój. Wydało jej się, że jeżeli nie przerwie milczenia, nie powie chociażby paru błahych słów to za chwilę zacznie krzyczeć z trwogi, która nagle poczęła mącić jej myśli.

Ben Lavery wypił mały łyk wina, ostrożnie odstawił kieliszek i dołożył sobie plasterek cielęciny

Alicja zaczerpnęła tchu

— Telefonowała Ewa — powiedziała kontrolując głos w obawie, by nie zadrżał — Masz od niej pozdrowienia.

— To miła dziewczyna. Podziękuj przy okazji i powiedz coś odpowiedniego w moim imieniu. Dawno już do nas nie zaglądała

— Ostatnio spotykałam się z nią na mieście. Jutro też mamy zobaczyć się w „Ambasadorze”.

Zmiana talerzy spowodowała krótką przerwę w rozmowie. — Czy nadal pracuje u Monda?

— Tak. Zdaje się jednak, że dużo roboty tam nie ma.

— Czyżby agencja szła niezbyt dobrze?

— Tego nie wiem. Mond to zdolny jegomość, więc chyba daje sobie radę.

— Tak. To obrotny człowiek. — Lavery zamyślił się. — I jego również już dawno nie spotkałem. Ostatni raz był u mnie w kancelarii jakieś pół roku temu.

— U ciebie? Ty go znasz?

Ben uśmiechnął się.

— Jesteś roztargniona, kochanie. Przecież to właśnie przeze mnie pomogłaś przyjaciółce uzyskać tę posesję.

Alicja zdobyła się na wysiłek i odwzajemniła uśmiech.

— Racja. Zupełnie o tym zapomniałam: Czy znasz go dobrze?

— Czemu o to pytasz?

— Bo przyszło mi na myśl, że może byłoby dobrze ze względu na Ewę zaprosić go razem z nią do Pontoise?

Lavery znów się uśmiechnął.

— Czyżbyś chciała ich swatać? Jeśli tak, to oczywiście nie mam nic przeciw temu.

— Skądże! Przyszło mi tylko na myśl, że takie zeknęcie się na gruncie towarzyskim może ułatwić Ewie stosunki służbowe.

— Monda znam dość dawno, ale powierzchownie. Ostatecznie, jeśli masz ochotę, to go sobie zaproś. Wspólny weekend do niczego nie zobowiązuje.

Ponieważ na tacy zebrała się już sterta talerzy służący zabrał ją, kierując się do pomieszczeń służbowych. Zamknął za sobą po cichu drzwi, a potem stał za nimi z lekko pochyloną głową. Słowa dochodziły doń zupełnie wyraźnie. Słuchał ich przez chwilę, a potem ruszył w głąb mrocznego korytarza.

Wielka sala huczała gwarem. Dziewczyna idąca przejściem pomiędzy stolikami była zgrabna i smukła. Linia długich nóg, przechodząca w wąskie biodra i śmiały biust ściągały spojrzenia mężczyzn powodując przerwy w ich rozmowach. Szła w towarzystwie niskiego, tęgiego mężczyzny. Jego nalana twarz z okrągłym kartoflanym noskiem wyrażała pogodę i dobroduszość. Rudawe włosy zaczesane na bok, poprzez cały wierzch czaszki, nie były w stanie zakryć lśniącej tysiny. Wycierał się chustką, sapiąc z gorąca i wysiłku.

Kiedy usiedli, mężczyzna zajął się przede wszystkim

kartą. Dziewczyna przesunęła wzrokiem po sali po czym otworzyła torebkę. Wyjęła z niej starą, zniszczoną kopertę. Tani, niebieski papier był wystrzępiony i brudny. Położyła kopertę na stoliku.

W tej chwili podszedł kelner. Podczas gdy nachylony usłuźnie przyjmował zamówienie, dziewczyna przykryła, kopertę dłonią. Po odejściu kelnera mężczyzna spojrzął na towarzyszkę.

— Głodny dziś jestem jak pies. — Ukazał rząd białych zębów. Były zbyt białe, by nie nasuwać myśli że nie są prawdziwe. Jednakże ich biel rzuciła na twarz refleks młodości.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech. — I ja jestem głodna, panie Mond. Mieliśmy przed południem sporo roboty.

— Ale skończyliśmy na czas! Nie miałem jeszcze tak wymarzonej sekretarki!

Ewa obrzuciła Monda jednym ze swych „bojowych” spojrzeń.

— Wymarzonej? Czyżby? — Lekko ironiczny uśmiech przemknął po jej twarzy.

Mond uchwycił jej spojrzenie.

— A gdyby? Gdyby tak było? — spytał cicho i z naciskiem. Jednocześnie tłusta dłoń spadła na smukłe palce spoczywające jeszcze na kopercie i przykryła je całkowicie.

— Proszę mi dać papierosa — powiedziała by uwolnić się od tego uścisku.

Mond skwapliwie i z galanterią podsunął jej papierosnicę. Dopiero wówczas spostrzegł leżącą na stoliku kopertę.

— Co to jest? Czy i tu chce pani załatwić sprawy agencji?

Ewa podsunęła mu zabrudzony papier

— Znalazłam to dziś rano zaraz po przyjsciu pod

pańskim biurkiem. Proszę zwrócić uwagę na nazwisko adresata i znaczek.

Mond podniósł do oczu kopertę.

— Sturmführer Clestil? — mruknął. — I końcowe litery „rt” jakiegoś wyrazu, którego początek został oddarty?

— Czy zna pan człowieka o tym nazwisku?

— Nie. — Mond podniósł oczy na dziewczynę. — Znaczek z niemieckim orłem i swastyką, data stempla z 1943 roku. Skąd to mogło się wziąć w moim gabinecie?

— Myślałam, że upadł panu jakiś list, i podniosłam. Potem zapomniałam o nim.

Siedział ze zmarszczonym czołem, wpatrzony w kopertę. Nadszedł kelner i ustawiwszy dania, zniknął.

— Kto mógł zgubić tę kopertę? — zastanawiał się głośno Mond. — Rano nikt, bo znalazła ją pani zaraz po przyjściu, prawda?

— Tak. Byłabym ją wyrzuciła, gdyby nie ten niemiecki znaczek ze swastyką, który zwrócił moją uwagę.

— Siedziałem wczoraj do późna. Po zamknięciu biura były u mnie trzy osoby. Najpierw przyszedł Varese, a w chwilę po jego wyjściu zjawił się Piotr z aktami od Lavery'ego. W końcu, już około dziewiątej. Filip Volbert. Wydaje się, że chyba nikt z nich nie mógł zgubić tej koperty Zresztą kto wie?

Chwilę znów się zastanawiał.

— A co ze sprzątaczką?

— Mogła nie zauważyć koperty albo ograniczyła sprzątanie do pozostałych pokoi wiedząc, że pan jest jeszcze w biurze.

Mond przestał jeść.

— Po co tak się nad tym głowimy? Czy to takie ważne?
— Upił łyk wina i wytarł usta serwetką.

— Istnieje możliwość, że któryś z tych ludzi jest adresem widniejącym na kopercie i być może ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem.

— Sądzi pani, że mogłaby wchodzić w grę któraś z tych trzech osób? No i ja, jako czwarty? — Mond roześmiał się.

Ewa spojrzała mu w oczy.

— Tak. I pan jako czwarty — stwierdziła spokojnie.

Mond nie przestawał uśmiechać się,

— A wówczas co? Złoży pani meldunek?

— Na pewno tak. Pan chyba wie, że mój ojciec zginął zamordowany przez Gestapo?

Mond skończył jeść i odsunął talerz.

— To jest bardzo smutne. Współczuję pani i doskonale rozumiem. A ponieważ ja nie jestem tym adresem, zastanawiam się, kto mógł zgubić tę kopertę.

Małe oczka Monda zamrugały z ożywieniem, kiedy ciągnął dalej

— Zresztą wydaje mi się, że upraszcza pani sprawę. Przecież nawet jeśli któryś z nich ją zgubił, nie dowodzi to jeszcze, że jest odbiorcą listu. Może po prostu zbiera znaczki i stąd ta koperta?

— To wyjaśnienie nie wydaje mi się przekonujące — dziewczyna w zamyśleniu bawiła się serwetką. — Mam przekonanie, że była to czyjaś nieuwaga...

Mond nie zwrócił uwagi na jej ostatnie słowa.

— Volberta pani zna — powiedział — bo już zdążył okazać pani swoje zainteresowanie. Varese jest pani gospodarzem i zdaje się mieszka w Paryżu od lat a Piotr

Becher jak pani wie, jest służącym u Laverych

— Nie znałam jego nazwiska, jedynie imię. Jestem natomiast zaintrygowana, co było powodem wizyty pana Varese,

— Nic specjalnie ważnego — powiedział zdawkowo Mond — Osobiście najbardziej podejrzewam Volberta.

Ewa uśmiechnęła się.

— Pan Volbert interesuje się raczej tylko kobietami, oczywiście jeśli nie są zbyt szpetne.

— Ma on również i inne zainteresowania, o których pani nie wie — mruknął Mond.

— Jakież to?

— Nie warto o tym mówić. Muszę jednak panią ostrzec przed tym chodzącym pięknem Nie radzę tego jabłka nadgryzać, bo środek jest robaczywy.

— Oho, musimy przerwać to plotkowanie, o wilku mowa..

Istotnie Filip Volbert zbliżał się do stolika. Był to smukły mężczyzna o wąskiej talii i szerokich ramionach. Nad wysokim czołem układały się falami ciemne włosy. Prosty grecki nos miał nozdrza ostro rzeźbione, jedynie mocny zarys szczęk odbierał twarzy wyraz łagodności, jaki nadały jej oczy Poruszał się swobodnie i z pewną nonszalancją.

— Dzień dobry, panno Fontenay! Co za szczęśliwy dzień! Czy mogę się do was na chwilę przysiąść?

Mond bez słowa i z rezerwą ujął podaną dłoń a Ewa wskazała mu krzesło obok siebie.

— Może pan siadać, chociaż mieliśmy już wyjść Czekam tylko na przyjaciółkę, z którą się umówiłam.

— Tak? Cóż to za przyjaciółka? Jestem zazdrosny o każdą osobę, która pani jest bliska!

— Alicja Lavery, żona adwokata

— Doprawdy? To panie się znają? Cóż za zbieg okoliczności! Poznałem panią Lavery na Sycylii, bodaj że w ubiegłym roku. Bardzo miła i piękna kobieta. Niestety była bardzo krótko!

— Będzie pan mógł odnowić tę znajomość, gdyż zaraz powinna tu być.

— Niestety, jestem umówiony z panną Bellano — wie pani, ostatni szlagier Casina. Nadzwyczajny talent! Jest nieporównana, zwłaszcza w groteskach tanecznych.

Ewa uśmiechnęła się, potem powiedziała poważnie.

— Tak, to istotnie źle się Składa, ale mam nadzieję, że panna Bellano powetuje panu tę stratę.

— Dziękuję pani za słowa otuchy — równie poważnie odpowiedział Volbert — ale nigdy nie byłem pesymistą...

— Spodziewam się, ma pan po temu dane.

— Pani jest dla mnie istotnie łaskawa. Wobec tego pozwolę sobie zapytać, czy nie zechciałaby pani wziąć udziału w wycieczce, jaką urządzamy trzema samochodami na Dni Ostendy. W przyszłym tygodniu mamy dwa dni świąt, więc może nie będzie pani potrzebowała pytać szefa o pozwolenie? — Volbert spojrzał ironicznie na milczącego Monda.

— Kto jedzie?

— Och, nasza paczka! Z panią byłoby sześć osób.

— A panna Bellano?

— Nie może, ma przecież występy.

— Zatem jedna para na samochód?

— Tak, rachunek się zgadza. Proponuję pani miejsce w moim wozie.

— Bardzo pożądana propozycja.

— Byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała pani wyrazić zgodę. Zadzwoń do pani za parę dni, dobrze?

— Proszę, niech pan dzwoni. A co dalej, to zobaczymy...

— Jest pani urocza! Żałuję, że muszę już iść, ale Wera się wścieknie. Zatem do widzenia, serwus Mond! Mam nadzieję, że mi pani nie odmówi? — Ujmując dłoń dziewczyny spojrzał jej w oczy. — Prawda? — dokończył ledwie dosłyszalnie.

Ewa uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała.

— Nicowany młodzieniaszek — mruknął z przekąsem Mond, kiedy Filip nie mógł go już słyszeć.

— Dlaczego pan tak mówi? — zdziwiła się Ewa.

— Czy pani wie, że ten piękniś ma już dobre czterdzieści lat?

— Taak? Nigdy bym nie przypuszczała. Wygląda najwyżej na trzydzieści.

— Ba! Tylko wygląda! Robi z siebie beztroskiego młodzieńca, a w rzeczywistości to stary lis, kuty na cztery łapy.

— Niezbyt go pan lubi.

— Nie znoszę go! Działa mi na nerwy! Jeszcze raz zalecam ostrożność. Byłoby szkoda, gdyby miała pani... — Zawahał się nie kończąc rozpoczętego zdania.

— Podoba mi się. Jest istotnie urzekający i dostatecznie pewny siebie, aby pociągać kobiety.

Mond nie zdążył odpowiedzieć, gdyż stanęła przed nimi Alicja Lavery.

— Ala, co tak późno? Musimy już iść!

— Nie mogłam wcześniej, miałam do załatwienia coś ważnego. I zaraz muszę iść — trzepała szybko Alicja — więc tylko na sekundę przysiadę. Nie, nic, dziękuję... zaraz wychodzę — odprawiła czujnego kelnera. — Nie mogę z tobą zamienić nawet paru słów. Przyszłam po to przede wszystkim, żeby oboje państwa zaprosić na przyszłą

niedzielę do nas na weekend. Są dwa dni świąt, więc użyjemy sobie słońca! Mam nadzieję, że pogoda dopisze.

— To bardzo miło z waszej strony — Ewa zawahała się — ale trudno mi od razu zadecydować. Zadzwońię do ciebie.

— Nie chcę słyszeć o odmowie! Obrażę się! Ewo, bardzo mi zależy, żebyś była. Chcę cię mieć na dłużej — żeby spokojnie, bez pośpiechu pogadać. Ale zaproszenie obejmuje i pana, panie Mond.

Ten pochylił się w ukłonie.

— Jestem bardzo zobowiązany. Skorzystam, o ile tylko interesy mi na to pozwolą.

— Więc postanowione! Proponuję, abyśmy zabrali się naszym samochodem, zresztą detale ustalimy telefonicznie.

— Państwo nie wyjeżdżacie w tym roku gdzieś dalej? — zapytał Mond. — Kancelaria nie ma chyba obecnie zbyt dużo klientów?

— Oczywiście, że lato swoje robi, ale Ben ma jakieś tam sprawy, które zatrzymują go w mieście. Wyjedziemy dopiero w sierpniu. Na razie więc przy każdej okazji uciekamy do Pontoise! No, już naprawdę muszę lecieć! Pamiętajcie o nas i do widzenia!

Za chwilę Alicji już nie było.

— No i co teraz? — spytał Mond kpiąco. — Ostenda czy Pontoise?

Ewa wydeła usta.

— Czy pan naprawdę myślał, że przyjmę zaproszenie pana Volberta? Było zbyt jednoznaczne!

Mond uśmiechnął się wstając od stolika.

— Znam trochę kobiety, moja piękna sekretarko, a dziwić się przestałem już dość dawno...

Zatrzymał się, by przepuścić dziewczynę.

Nadszedł piątek i należało wykonać polecenie. Pieniądze miała już w torebce. Banknoty tysiącfrankowe oklejone paskiem papieru i włożone do szarej koperty. List po dokładnym zapamiętaniu treści Alicja spaliła, zgodnie z żądaniem nadawcy i ze względu na własne bezpieczeństwo.

Ben miał tego wieczoru posiedzenie rady nadzorczej jednej ze spółek akcyjnych, której był radcą prawnym. Zwykle szedł potem z innymi uczestnikami posiedzenia na kolację, więc spodziewała się go nie wcześniej niż około pierwszej w nocy.

Ponieważ spotkanie zostało wyznaczone na jedenastą, miała dość czasu, by wrócić przed mężem, unikając w ten sposób ambarasujących kłamstw na temat spędzonego wieczoru.

Wyszła z domu o dziesiątej, gdyż ulica Pantin znajdowała się w odległej dzielnicy Pré St.Gervais.

Wsiadła w metro na placu Bastylli w kierunku na Eglise de Pantin.

Wagon był prawie pusty. Kiedy pociąg z hukiem pędził w czerni tunelu, przypomniała sobie słowa instrukcji.

„... wysiądziesz na Hoche i nie oglądając się pójdziesz ulicami Pré St. Gervais, Gutenberga., Jean Jaurès. Jeśli w tym czasie koperta nie zostanie ci zabrana, skręcisz w rue de Pantin i będziesz szła wzdłuż cmentarnego muru. Kopertę trzymaj w ręku, póki nie otrzymasz znaku lub polecenia”.

Pociąg zatrzymywał się i pędził dalej. Na peronach mijanych stacji nieliczni ludzie pojawiali się i znikali w cicho rozwierających się drzwiach wagonów. Alicja czytała nazwy stacji widniejące na murach tunelu: Laumiére, Ourco, potem Porte de Pantin...

Wstała, kierując się do wyjścia. Po chwili pęd począł maleć, aż ustał zupełnie. Drzwi rozwarły się i Alicja

wyszła na peron, gdzie biała tablica oznajmiała czarnymi literami: Hoche.

Schody wyprowadziły ją z podziemi metra na mały placyk. Palily się tu latarnie, ale było pusto i cicho. Tylko z rzadka stukaly kroki przechodniow a ulice Hoche i de Paris byly mroczne i wymarłe.

Przedmieście już ułożyło się do snu.

Alicja spojrzala na zegarek. Była za dwadzieścia jedenasta. Nie musiała się spieszyć.

Po stanie zobojętnienia, w jakim odbyła dotychczasową jazdę, poczuła pierwszy dreszcz lęku.

Sapiąc motorem minęło ją zielone cielsko autobusu. Widok oświetlonego wnętrza i siedzących w nim ludzi dodał jej otuchy. Opanowała się i skręciła w prawo, szukając nazwy ulicy. Wreszcie znalazła granatową tabliczkę. Była na Pré St. Gervais.

Stuk jej kroków rozlegał się głośno wśród rzadko rozrzuconych domów. Wtem posłyszała niby odbite echem kroki przed sobą i znów skurcz strachu ścisnął jej serce.

Po chwili kroki stały się głośniejsze i naprzeciw niej wyłonił się z mroku jakiś mężczyzna. Mijając go zauważyła, jak szukał jej wzroku natarczywym spojrzeniem. Patrzyła jednak ostentacyjnie przed siebie i mężczyzna minął ją bez słowa.

Z lewej strony wyłonił się krótki szereg zwartych kamienic. Na ciemnych płaszczyznach ich fasad tu i ówdzie jaśniały prostokąty oświetlonych okien.

Wyjęła z torebki kopertę. Ukazała się pierwsza przecznica, którą minęła pamiętając, że należy skręcić w następną. Istotnie była to ulica Gutenberga. Z niepokojem spojrzala na zegarek. Dochodziła jedenasta.

Wreszcie nowy skręt, tym razem w prawo, i oto u wylotu krótkiej uliczki zobaczyła niski mur, a za nim na tle

ciemnego nieba niewyraźnie majaczyły kontury drzew. Była to rue de Pantin. Znalazła się na wyznaczonym miejscu. Zaciśnięwszy zęby, ruszyła w mrok pustej ulicy.

Kopertę kurczowo ścisnęła w rękę. Patrzyła tylko przed siebie z zawziętym postanowieniem wytrwania do końca, niepoddania się panice.

Z prawej strony ciągnął się mur cmentarza, z lewej biegły w ciemność parkany i ogrodzenia, a którymi kryły się jakieś zabudowania, szopy, składy, o zamazanych, ledwie widocznych zarysach. Nie było tu nikogo.

Raptem postyszała za sobą cichy szum motoru. Pod wpływem pierwszego impulsu chciała rzucić się do ucieczki, ale po prostu zabrakło jej sił. Czuła, jak nogi uginają się pod nią, i stanęła, niezdolna do zrobienia jeszcze chociażby jednego kroku.

W tej chwili minął ją samochód ze zgaszonymi światłami. Zatrzymał się w pobliżu, tuż przy trotuarze. Ujrzała, jak z czarnego wnętrza wysunęło się ramię i postyszała zduszony szept.

— Dawaj!

Posłusznie wetknęła kopertę pomiędzy palce skryte w grubej, skórzanej rękawicy.

Gdzieś z tyłu zaczął narastać potężny warkot. Jednocześnie wytrysnął snop białego światła. Auto stojące przy trotuarze szarpnęło gwałtownie i pomknęło przed siebie.

Nadjechała ogromna ciężarówka. Światło jej zapalonych reflektorów wypełniło przez chwilę wnętrze uciekającego samochodu.

Alicja spostrzegła pochylone plecy siedzącego za kierownicą człowieka. Był ubrany w piaskowego koloru płaszcz i sportową czapkę głęboko nasuniętą na czoło. Ale

pędząca ciężarówka wkrótce zasłoniła jej ten obraz i oba samochody zniknęły za zakrętem muru

Kiedy na wpół żywa ze zmęczenia i napięcia wróciła do domu. Piotr otworzył jej drzwi i pomógł zdjąć płaszcz. Z ulgą dowiedziała się, że Ben jeszcze nie wrócił.

Podziękowała za proponowany posiłek i poszła do siebie, nie wiedząc, że odprowadza ją badawcze i przenikliwe spojrzenie lokaja

Bistro madame Comarde jak zwykle było pełne. Wzdłuż długiego kontuaru otaczającego półkolem bufet, panował tłok. Większość konsumentów stanowili mężczyźni

Bonivarde przeciskał się pomiędzy gośćmi, szukając wolnego miejsca i człowieka, który widocznie już tu był, bowiem madame, dyrygująca obsługą zza kasy skierowała go lekkim skinieniem głowy we właściwym kierunku.

Na jego widok mężczyzna z czarnymi wąsikami i twarzą południowca uniósł się z szacunkiem robiąc koło siebie miejsce. Bonivarde skinął mu głową i poprosił kelnerkę o kawę

Przez chwilę wymieniali zdawkowe uwagi, wreszcie mężczyzna z wąsikami wyciągnął kartkę papieru.

— Zdobyłem dane, o które panu chodziło — powiedział od niechcenia, upijając nieco wina ze stojącego przed nim kieliszka.

— Miałeś duże trudności?

— Nie. Kwestia współpracy z kolegą z niższego piętra. Danych dotyczących kobiety jeszcze nie otrzymałem. Ona ma konto w innym banku ale to tylko...

Bonivarde machnął ręką

— To przestało być ważne w świetle innych wiadomości, jakie uzyskałem. Jeśli jednak sprawa już jest w toku, nie zatrzymuj jej biegu.

— Materiał dotyczący tych dwóch okazał się bardzo ciekawy.

— Dlaczego?

— Istnieje wyraźna zbieżność zapisów na kontach. Kwoty wypłat z jednego konta niemal w tym samym czasie i wysokości figurują jako wpłaty na koncie drugim.

— Czego to dowodzi?

— Potwierdza pańskie przypuszczenie. Ci dwaj maskują swoje transakcje nie poruczając bankowi dokonywania przelewów. W ten sposób nie ma śladu, dokąd idą podjęte pieniądze ani skąd pochodzą wpłaty. Przy tej ilości kont, jakie posiadamy, tylko wskazując je, tak jak pan to zrobił, można wpaść na ślad istniejącego związku wpłat i wypłat.

— Powiedziałeś „transakcje”. Zapłatę za milczenie również można tak nazwać.

— Oczywiście. Może tu chodzić o szantaż lub o interesy, które wolą uniknąć dziennego światła.

— Dziękuję ci. Tę kartkę zabieram.

— Jestem zawsze na pańskie rozkazy, panie...

— Stop... — rzucił ostrzegawczo Bonivarde.

— Przepraszam — roześmiał się nieznajomy. — Ale przyzwyczajenia wchodzą człowiekowi w krew. Jakie dalsze zlecenia?

— To samo. Obserwacja kont. Jeżeli otrzymasz dane co do konta kobiety, to dobrze, jeśli nie, to się nie przejmuj. Łączność jak zwykle przez madame...

— Trzymaj się — Bonivarde przyłożył palce do ronda kapelusza i ruszył do wyjścia.

Agencja teatralna Monda znajdowała się na drugim piętrze wielkiej kamienicy przy rue des Augustines. Mieściła się w trzypokojowym lokalu. Ostatni z tych pokoi, najmniejszy, Mond przeznaczył na swój gabinet. Łączyły go z resztą biur obite materacem drzwi. Drugie drzwi z jego gabinetu prowadziły bezpośrednio na korytarz.

Było to o tyle wygodne dla właściciela agencji i niektórych jego interesantów, że mogli spotykać się bez wiedzy personelu biura. Wprawdzie personel ten był niezbyt liczny, gdyż składał się z sekretarki i młodocianego urzędnika, jednakże w niektórych wypadkach klienci woleli korzystać z drogi bezpośredniej.

Drzwi wejściowe, położone u początku korytarza, lakierowane na kremowo, nosiły szklaną, czarną tabliczkę, której złote litery prezentowały firmę. Tędy odbywał się główny ruch, jeśli istniał.

Filip Volbert postanowił odbyć rozmowę z Mondem w interesującej go sprawie. Ponieważ był gościem w pewnym sensie uprzywilejowanym, mógł więc skorzystać z bezpośredniego wejścia. Wprawdzie idąc korytarzem zaważał się na moment, gdyż nurtowała go chęć ujżenia Ewy i wymiany z nią chociażby paru słów, jednakże jako człowiek rozsądny, stłumił w sobie to pragnienie.

Na krótkie, dwukrotne pukanie usłyszał energicznie rzucone: — Wejść!

Mond wstał na jego widok zza biurka. Zanim przywitał się z gościem, nacisnął guzik zapalający nad drzwiami gabinetu czerwone światło. Potem opadł na fotel, wskazując przybyszowi drugi, znajdujący się po przeciwległej stronie biurka.

— Tylko parę słów, panie Mond, nie będę panu zabierał dużo czasu — rzekł Volbert zakładając nogę na nogę. Podciągnął przy tym ostro zaprasowaną nogawkę.

Wiśniowa, jedwabna skarpetka efektownie odbiła od szarej flaneli spodni.

— Czym mogę służyć? — Ton Monda nie był wcale przyjazny. Jego wzrok mimo woli spoczął na kartce kalendarza leżącego na stole.

— Nie, ja nie w tej sprawie — zastrzegł się Volbert. — Chodzi mi o coś zupełnie innego.

— Zatem słucham. — Głos jego nie brzmiał ani trochę ciepłej.

— Niech pan porzuci tę rezerwę. Przychodzę do pana w sprawie interesującej mnie nader żywo — nie mam zamiaru tego ukrywać. Potrzebna mi jest pańska pomoc

— No, no... to ciekawe. — Mond oparł łokcie o biurko — Domyślam się, że knuje pan jakieś nowe świństwo.

Filip ściągnął brwi.

— Ostrożnie, Mond — warknął.

— Mówże pan wreszcie, o co chodzi! — Mond wyjął chusteczkę i wytarł czoło, na którym pojawiły się kropelki potu.

— Dobrze, więc do rzeczy — Filip przerwał na chwilę, a kiedy znów zaczął mówić, lekki rumieniec zabarwił mu policzki. — Jestem zachwycony tą dziewczyną, pańską sekretarką! Jest wspaniała! Co za twarz, co za figura!... Niech się pan nie uśmiecha. Ja... ja nie wiem, co mi się stało. — Muszę ją mieć! Inaczej chyba oszaleję!

Mond, który istotnie początkowo nie mógł opanować uśmiechu, obecnie ze zdumieniem obserwował swego gościa. Niekłamana szczerłość biła z wypowiedzi Volberta, a to nie było rzeczą zwykłą.

— Po co pan mi to mówi — przerwał. — Co mnie to obchodzi?

— Chcę, żeby pan mi pomógł!

— Ja? W jaki sposób?

— Nakłoń ją, żeby przyjęła moje zaproszenie! Namów na wycieczkę do Ostendy, tylko tyle... Będziesz już wiedział, jak to zrobić.

Mond uniósł się z fotela.

— Ani mi się śni! Słyszysz pan — ani myślę! Nie tylko tego nie zrobię, ale ją ostrzegę! Już to nawet zrobiłem!

Z twarzy Volberta zniknęło podniecenie. Zmrużył oczy i poprzez szczeliny powiek nieruchomo wpatrywał się w Monda.

— Ach taak? — Słowa padały spokojnie, ale drgała w nich groźba. — Więc nie chcesz tego zrobić? Zobaczysz, czym to pachnie...

Ręka, w której Mond trzymał chusteczkę, poczęła drżeć. Nie mogąc opanować tego drżenia zacisnął ją w pięść i oparł o blat biurka.

— Cóż to, grozi mi pan, panie Volbert? Niech pan nie myśli, że ulegnę tej groźbie. Nie boję się pana!

— Posłuchaj! — Twarz Volberta stężała, a w głosie zabrzmiał brutalny akcent. — Pojutrze do niej zadzwonię, dam ci dwa dni czasu na załatwienie tej sprawy. W przeciwnym razie...

— Nie boję się pana! Nie boję! — Było coś historycznego w tych okrzykach powtarzanych uparcie i coraz bardziej piskliwie. — Nie jestem pańskim... pańskim... — nie wiedział, co ma dalej powiedzieć. Wargi mu latały, a małe oczka skrzyły się za fałdami tłustych policzków.

— A więc odmawiasz? Sam się w niej durzysz, co?

Volbert wstał z fotela. Był spokojny, ale Mond widział, jak mięśnie szczęk drgały mu pod skórą.

— Posłuchaj pan, panie Volbert! — Mond usiłował opanować zdenerwowanie. — Ja doprawdy...

— Ty masz słuchać, głupcze, nie ja! Nic więcej nie mam ci do powiedzenia!

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Mond bezradnie rozejrzał się dookoła, jak człowiek stukający drogi ucieczki. Potem siedział długo bez ruchu, pogrążony w zadumie.

Ewa mieszkała w dzielnicy Neuilly. Zajmowała dwupokojowe parterowe mieszkanie w małej willi. Pierwsze piętro zajęte było przez właściciela posesji, emerytowanego profesora gimnazjalnego, Tomasza Varesse'a.

Szerokie, dwuskrzydłowe drzwi bawialnego pokoju prowadziły na taras, okolony krzakami jaśminu. Obok tych drzwi znajdowały się jeszcze boczne okna. Taras wychodził na południe i w słoneczne dni pokój pełen był światła i ciepła, co w lecie nie stanowiło jednak atrakcji.

Ewa lubiła swoje mieszkanie. Ocalałe sprzed lat poszczególne sztuki starych mebli, które służyły jeszcze jej dziadkom, wystarczyły do jego urządzenia.

Mniejszy pokój, położony na lewo od hallu, przeznaczona na sypialnię. Większy, z tarasem, był bawialnią; tam przyjmowała swoich nielicznych gości. Dwa stare, wygodne fotele stały z dwóch stron okrągłego stolika pod jednym z okien. Do drugiego okna przysunięte było małe biurczko. Na środku pokoju znajdował się okrągły stół otoczony krzesłami. Wielki, trochę już wytarty dywan pokrywał prawie całą podłogę. Półka z książkami i mały nowoczesny bar uzupełniały umeblowanie.

Tego popołudnia Ewa wróciła do siebie zmęczona i zdenerwowana. Otwierając drzwi yalowskim kluczem

pomyślała z ulgą, że dzisiaj przychodzi kobieta do sprzą-tania, będzie więc wolna od zwykłych czynności gospodar-skich.

Na dworze panował upał. Rozłożyła leżak i wyciągnęła się na nim w cieniu krzaków otaczających taras. Ogarnęło ją przyjemne rozleniwienie; przykre uczucie niezadowolenia z siebie, któremu nie mogła się oprzeć, poczęło z wolna zacierać się i mijać.

O dwunastej zadzwonił Volbert w sprawie wycieczki do Ostendy. Od pierwszej chwili była niemile zaskoczona jego pewnością siebie. Z tonu, w jakim prowadził rozmowę, wynikało, że jej zgodę uważa za sprawę rozstrzygniętą i przesądzoną. Toteż kiedy dość zimno i kategorycznie odmówiła, jego zdumienie i zaskoczenie było tak wielkie, że rozbawiło ją. Filip musiał wyczuć jej nastrój, gdyż raptownie zmienił ton i nie poruszając już tematu wycieczki, zdołał uzyskać zgodę na spotkanie w kawiarni. Liczył zapewne, że w bezpośredniej rozmowie skłoni ją do kapi-tulacji.

Zorientowała się w tym już po pierwszych jego słowach. Był uwodzicielski i dyskretnie natarczywy, ale Ewie nie brakowało rozsądku. Patrzyła na życie i ludzi otwartymi oczami. Ułatwiło to jej odmowę.

Volbert zrozumiał, że jej postanowienie jest ostateczne. Nie dowiedziała się jednak, jak zareaguje na porażkę, gdyż rozmowę ich przerwało zjawienie się szczupłej i zgrabnej blondynki, ubranej z nieco ekstrawagancką elegancją. Ewa zobaczyła ładną twarz o piwnych oczach okolonych sztucznymi, przesadnie długimi rzęsami, zgrabnym nosku i wargach malowanych w dwie szerokie, jaskrawo-cynobrowe plamy

Filip podniósł się z krzesła. Ujrzała lekki cień niechęci, który przemknął po jego twarzy.

— Panna Wera Bellano — przedstawił przybyłą, a kiedy

usiadła bez słowa, uśmiechnął się porozumiewawczo do Ewy. Prowadzili banalną rozmowę na tematy potoczne, ale Ewa prędko zorientowała się, że panna Bellano ostentacyjnie unika bezpośredniego zwracania się do niej, dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa ją za intruza.

Skrupulatnie zastosowała tę samą taktykę kokietując przy tym w sposób dostatecznie prowokacyjny Filipa.

W pewnej chwili zrobiła jednak wyjątek. Kiedy rozmowa zesłała na fryzjerów i najnowsze uczesanie, zwróciła się bezpośrednio do Wery.

— Ciekawa jestem, kto panią czesze. Z góry wiem, że pani tego nie zdradzi — uśmiechnęła się przyjaźnie — ale podobną fryzurę widziałam u Audrey Hepburn. — Tak jak i pani, doskonale w niej wyglądała...

— W jakim filmie? — raczyła zainteresować się panna Bellano.

Ewa właśnie wstała, aby się pożegnać.

— Nie pamiętam tytułu — powiedziała przepraszająco — film szedł jakieś trzy lata temu...

To była jednak tylko drobna satysfakcja, której nie mogła sobie odmówić. Nie zatarła też ona niezadowolenia z siebie. Była zła, że dała się namówić Volbertowi na to spotkanie — ale obecna chwila odpoczynku przyniosła odprężenie, przywracając pogodę ducha.

Gwar miasta nie dochodził do tej dzielnicy pełnej małych domków, położonych w uroczych ogródkach wśród drzew. Przesunęła spojrzeniem po trawniku rozpościerającym się przed nią. Pocięty wąskimi ścieżkami, mienił się barwami kwiatów. Były one ciągłą troską rozmiłowanego w ich pielęgnacji pana Varese'a. Parę drzew brzoskwiniowych rośło wzdłuż zarośniętego krzewami ogrodzenia

dzielącego posesję od sąsiadów. Sztachety od ulicy zasłaniał przycięty żywopłot. Nad tym żywopłotem Ewa ujrzała naraz twarz i ramiona mężczyzny, który przyglądał się willi profesora.

Uświadomiła sobie, że musiał tu stać już od pewnego czasu.

Wstała z leżaka i skierowała się ścieżką w stronę szpaleru. Nie wiadomo dlaczego, wydało jej się, że nieznajomy jest zabłąkanym przechodniem. Zsunięty na tył głowy kapelusz odsłaniał twarz o prostym nosie i szarych oczach z bystrym, ale i trochę kpiącym spojrzeniem. Mężczyzna gryzł źdźbło trawy i bezceremonialnie mierzył ją wzrokiem.

Ewie przyszło na myśl, że przeżywa dzień fałszywych decyzji. Po co u diabła ruszała się z leżaka? Zabłądził? Cóż ją to ostatecznie mogło obchodzić? Ale działała pod wpływem impulsu który płynął ze zwykłej, kobiecej ciekawości.

— Czy pan kogoś szuka? — spytała z konwencjonalnym uśmiechem kiedy znalazła się przed nieznajomym.

Dzielił ich żywopłot i sztachety Mężczyzna nie odpowiedział od razu Ewa spotkała jego spojrzenie i stwierdziła, że nie było już w nim kpiącego wyrazu. Stało się natomiast przenikliwie i badawcze. W tej chwili poczuła ze złością, że oblewa się rumieńcem

— Szukam podobnego domu jak ten — kiwnął głową w stronę willi — bardzo mi się podoba.

— Żeby kupić?

— Och, nie. Nie mam zamiaru pozostać we Francji. Ale chciałbym zamieszkać w takim domku, z takim małym, uroczym ogródkiem.

— Ma pan romantyczne skłonności — stwierdziła Ewa z powagą.

— To nasza cecha narodowa.

— Pan nie jest Francuzem?

Mężczyzna milczał chwilę nie odpowiadając. Potem znów zwrócił na nią uważne spojrzenie.

— A pan jest Ewą Fontenay. Czy tak?

— Skąd pan to wie?

— To zdziwienie uwalnia panią od odpowiedzi. Skąd wiem? Mniejsza z tym, ale nie wiedziałem rzeczy najważniejszej.

— Czego mianowicie?

— Że pani jest tak uroczą dziewczyną.

Nieznajomy powiedział to poważnie, bez cienia uśmiechu na twarzy. I właśnie dlatego, że słowa te pały jedynie jako rzeczowe stwierdzenie faktu, że nie było w nich nic ze zdawkowego komplementu, Ewa poczuła, jak po raz drugi rumieni się gwałtownie. Zaskoczona, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nieznajomy zdawał się jednak nie czekać na odpowiedź, gdyż mruknął:

— Na razie, do widzenia! Jeszcze się pewnie zobaczymy... — Odwrócił się i pomaszerował trotuarem.

Po odejściu nieznajomego wróciła do mieszkania, mimo woli zatrzymując się w hallu przed lustrem. W tej chwili zaterkotał dzwonek u furtki wejściowej. Nacisnęła guzik zwalniający klamkę i uchyliła drzwi zaintrygowana, kto tak nieoczekiwanie składa jej wizytę.

Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na podest parteru młody chłopak. Ewa dostrzegła list w jego ręku.

— Panna Fontenay?

— Tak, to ja.

— To do pani. — I zanim Ewa zdążyła zażądać wyjaśnień, wetknął w jej rękę kopertę. Potem w paru skokach

dopadł drzwi wejściowych, zatraskując je z hukiem za sobą.

Cofnęła się do mieszkania i z zaciekawieniem obejrzała list. Jej adres i nazwisko wypisane było na maszynie. Rozdarła kopertę i wyjęła złożoną we czworo zadrukowaną kartkę papieru. Miała wystrzępione brzegi, a miejsca zgięcia przetarte niemal całkowicie.

Rozłożyła kartkę. Była to tajna gazetka z czasów okupacji niemieckiej, jakich wiele w tym czasie krążyło z rąk do rąk.

Do ulotki przypięty był skrawek papieru z jedynym zdaniem wypisanym na maszynie. „Strzeż się! Człowiek z Montfort jest blisko ciebie”.

Przeczytała krótki artykuł, którego treść dotyczyła sturmführera Clestila, szefa Gestapo na terenie Montfort i okolic. Relacja dotyczyła okrucieństw, jakich dopuszczał się wobec ludzi, którzy dostali się w jego ręce. Te „urzędowe” czynności nie przeszkadzały mu jednak pamiętać i o swoich własnych sprawach. Z Montfort szły bez przerwy samochody pełne skrzyń do Paryża. Co w nich było i co działo się z nimi dalej, tego już z artykułu nie można się było dowiedzieć.

Ewa rzuciła gazetkę na biurko i rozpoczęła spacer po pokoju.

Z natłoku chaotycznych myśli zaczęły coraz jaśniej wyłaniać się pytania, na które brakowało odpowiedzi. Przede wszystkim należało zastanowić się, kto przysłał jej tę wiadomość i w jakim celu to zrobił? Już po raz drugi przecież styka się z tym nazwiskiem!

Jednostajny spacer od ściany do ściany doskonale robił na uspokojenie nerwów. Zaczęła myśleć coraz spokojniej.

Dlaczego ten ktoś, kto zna tajemnicę przestępcy, nie robi z tego użytku? Dlaczego zamiast złożyć meldunek w

najbliższym komisariacie pisze do niej tak zagadkowe i niejasne ostrzeżenie? Jeśli tak robi, to chyba dowód jego dobrych intencji w stosunku do niej? Lub może nie potrafi w inny, radykalny sposób przyczynić się do usunięcia niebezpieczeństwa? Albo istnieje jeszcze inna przyczyna takiego postępowania? Jaka?

W tej chwili na czerwoną od promieni zachodzącego słońca ścianę padł długi, intensywny cień. Ewa odwróciła się przestraszona.

— Ach, to pan, profesorze! Ależ mnie pan nastraszył! Stąpa pan tak cicho...

— Moje ogrodowe pantofle mają słomiane podeszwy — powiedział z uśmiechem pan Varese. Stał w drzwiach, szczypty i niski, w szerokoskrzydłym kapeluszu na głowie.

— Proszę, niech pan wejdzie! — Ewa ucieszyła się, że już nie będzie sarna ze swymi myślami.

Varese zdjął kapelusz i wszedł do pokoju. Był to starszy pan, nieco przygarbiony, z dużą łysiną okoloną wieńcem siwych włosów. Ściągniętą, pomarszczoną twarz nawiedzała częsty uśmiech. Niemał bezbarwne, wyblakłe oczy patrzyły bystro spod nastroszonych i gęstych brwi. Miał szybkie i zwinne ruchy dziwnie kontrastujące z siwymi włosami i przygarbioną postacią. Wszelkie myśli o bezradnej starości traciły sens, kiedy się patrzyło, jak sprawnie i zręcznie porusza się pan Varese.

— Nie będę pani przeszkadzał?

— Nie, panie profesorze, tym bardziej że mam do pana interes. Chcę pana o coś zapytać.

Spojrzenie spłowiątych oczu błysnęło ku niej spod nastroszonych brwi

— Mnie? Proszę, pytaj, moja droga.

Zatrzymał się przy biurku i Ewa zauważyła przelotny

wyraz ni to zdziwienia, ni to zaskoczenia, który niby nagły refleks przemknął mu po twarzy Kiedy jednak podnosił do oczu gazetkę, znów zwykły uśmiech rozchylił mu usta.

— Cóż to takiego? Jakaś ulotka czy też gazetka z tamtych, tragicznych czasów?

— Tak. Otrzymałam ją przed chwilą.

— I zakreślony artykuł — Czytał podsuwając sobie przed oczy papier — Człowiek z Montfort? No, no... O cóż tu chodzi?

Panowała cisza. Pan Varese czytał, a Ewa obserwowała go w milczeniu.

— Hm... no tak, stare to dzieje — mruknął po skończeniu. Odłożył gazetkę i usiadł na brzegu fotela.

— Ktoś mi to przysłał. Jestem doprawdy zaskoczona. Zastanawiam się wciąż, kto i po co to zrobił. I nie umiem znaleźć odpowiedzi.

Pan Varese milczał przyglądając się dziewczynie. Nie uśmiechał się już, był wyraźnie zafrasowany.

— Czy o tym chciała pani ze mną mówić?

— Nie. Chodziło mi o coś innego. Chciałam się dowiedzieć, czy był pan u pana Monda w ubiegłym tygodniu, w czwartek wieczorem?

Znów szybkie spojrzenie wyblakłych źrenic. Potem stary profesor uśmiechnął się.

— Zaraz, niech sobie przypomnę. Dziś mamy wtorek... Tak, to się zgadza. Byłem u niego o dziewiątej wieczorem.

— Czy mogę wiedzieć, jaki był powód tej wizyty?

— Toż to całe przesłuchanie, moja panno! — zawołał starzec z udanym przerażeniem. — Powiedz mi lepiej od razu, o co ci chodzi?

— Zaszły pewne wypadki, panie profesorze, i ja... — ja zaczynam się bać. To jest bardzo niemądre, bo... — urwała w pół zdania.

— No... no... cóż to za wypadki?

— Na drugi dzień po pana wizycie, z rana, kiedy jeszcze nikogo w biurze nie było, znalazłam pod biurkiem pana Monda starą kopertę, na której było to samo nazwisko co i w tym biuletynie, nazwisko szefa Gestapo w Montfort.

— Więc pani przypuszcza, że ja zgubiłem tę kopertę?

— Poza panem tego wieczoru było jeszcze u Monda dwóch ludzi. Tak przynajmniej twierdzi. Ludzi tych na pewno pan nie zna. Zatem wszystko wskazuje na to, że któryś z was trzech zgubił tę kopertę — albo też...

— Zgubił ją sam Mond? To pani chciała powiedzieć?

— Tak.

Pan Varese zaczął obserwować końce swoich ogrodowych pantofli. Po chwili Ewa przerwała milczenie.

— Jak dawno pan go zna?

Varese podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Od kilku lat.

— I nic bliższego pan o nim nie wie?

— Raczej nie. Ostatnio znów zetknąłem się z nim, kiedy polecił mi panią jako lokatorkę.

— Tak, wiem. Dzięki jego staraniom udało mi się dostać to mieszkanie.

— A kim są ci dwaj pozostali jego goście? Może jednak ich znam?

— Pan Filip Volbert i Piotr Becher. Ten drugi jest lokajem u naszych wspólnych znajomych.

Varese pokręcił głową.

— Istotnie, te nazwiska nic mi nie mówią. Widzę, że nieoczekiwanie znalazłem się w kręgu osób, które pani podejrzewa. A to dopiero...

— Pan sobie ze mnie żartuje, profesorze! Ale doprawdy

jest mi bardzo głupio! Proszę jednak zrozumieć, że rozpatrując sytuację musiałam brać pod uwagę wszystkie ewentualności.

— No oczywiście. Tak, tak. A kogo pani najbardziej podejrzewa? Mnie czy też Monda?

— Raczej pana Volberta.

— O zgubienie koperty czy też o nadesłanie tej ulotki?

— O jedno i drugie.

— To nielogiczne, moja droga. Najbardziej podejrzany o zgubienie koperty musi być najmniej podejrzany jako nadawca listu.

— A więc jest co najmniej dwóch ludzi, którzy znają prawdę. Jeden z nich ukrywa się pod zmienionym nazwiskiem, drugi zaś wie o tym.

— I chce, żeby pani też wiedziała, lecz dla siebie znanych przyczyn nie demaskuje tamtego zupełnie. Czy to naświetlenie sytuacji nie pomaga pani w rozwiązaniu zagadki?

Starzec uniósł głowę i z rozbawieniem przyglądał się Ewie.

Stała przed nim podniecona i przejęta. Nagle spojrzała mu w oczy jakby zaskoczona.

— Oho, widzę, że coś sobie pani przypomniwała.

— Tak. Możliwe, że to będzie rozwiązanie.

— Proszę mówić Co pani przyszło na myśl?

— Kilka dni temu pan Volbert zaproponował mi wspólną wycieczkę do Ostendy. Zrobił to przy Mondzie, który mnie później ostrzegał przed wyrażeniem zgody. Odmówiłabym i bez jego ostrzeżeń, ale z mego zachowania się nie mógł tego tak na pewno wywnioskować.

— A zatem bał się o panią? Najwidoczniej zna bliżej Volberta i wie, czego można się po nim spodziewać.

— Tak, teraz dzięki panu przyszło mi to na myśl. Ale dlaczego w takim razie nie daje znać policji?

Pan Varese przestał się uśmiechać.

— Przyczyn może być bardzo wiele, moja panienko. Takich, które nie mieszczą się nawet w pani młodej głowce. Może Mond sam również ma coś na sumieniu? Może brak mu jeszcze dostatecznych dowodów i dopiero je zbiera? Albo też korzysta z posiadania tej tajemnicy i nie chce utracić źródła zarobku?

— Szantażując go?

— No właśnie.

— Ależ to byłoby wstrętne!

— Nie zna pani wszystkich ciemnych stron życia. Taka możliwość jest bardzo prawdopodobna.

— Nie, nie mogę uwierzyć, aby Mond był zdolny do czegoś podobnego!

— Ale zakłada pani jednocześnie, że może być tym człowiekiem z Montfort?

— Po raz drugi łapie mnie pan na braku logiki. Jeśli jednak to on wysłał ulotkę, zatem zgodnie z tym, cośmy już ustalili, nie on jest Clestilem.

— Przecież snujemy tylko przypuszczenia, należy o tym pamiętać. Jedno tylko wydaje mi się bezsporne i muszę to pani powiedzieć... — Przerwał i zamyślony spoglądał przez okno. Zapanowała cisza.

— Słucham. — Zaciekawiona Ewa przerwała milczenie.

Starzec odwrócił głowę, ale milczał nadal, coś rozważając.

— A więc, panie profesorze? — powtórzyła Ewa.

— Otóż, moja młoda przyjaciółko — odezwał się, wreszcie — pomijając kwestię, jakie są przyczyny tych zdarzeń i kto tu jest podejrzany, sam fakt, że pani znalazła się w ich kręgu — co wydaje się oczywiste — nakazuje

ostrożność, dużą ostrożność.

Ewa roześmiała się głośno i z całego serca. Starzec wydawał się zgorszony tym wybuchem wesołości.

— Dlaczego pani się śmieje?

Ewa opanowała rozbawienie.

— No, złapałam pana, panie profesorze! I to tylko dlatego, że pan sam nauczył mnie myśleć logicznie!

— Co... co pani chce przez to powiedzieć!

— Dodałam dwa do dwóch i rezultat okazał się nader komiczny

— Hę? — Głos pana Varese'a nabrał nieco zaczepnego akcentu. — Cóż to za nowa zagadka?

— To przecież proste! Otrzymuję dwa ostrzeżenia — jedno od X, drugie od pana. Czyż tylu jest chętnych do dawania ostrzeżeń? Czyż założenie, że ten pan X to pan, nie jest dostatecznie logicznym i najprostszym wyjaśnieniem? Co, panie profesorze?

— Rzeczywiście, jestem doszczętnie pogrążony, okazała się pani nader pojętą uczennicą. Tylko tak dalej!

— Ale nie gniewa się pan na mnie?

Pan Varese rozpogodził się zupełnie.

— Czy wyglądam tak wrogo? — odpowiedział pytaniem na pytanie i podnosząc się z fotela wyciągnął do dziewczyny dłoń. — Dobranoc. Jeśli zajdzie coś nowego, proszę mi powiedzieć. Rada starego człowieka może się przydać.

Jadąc rano do biura, Ewa zastanawiała się, czy opowiedzieć Mondowi o ostrzeżeniu, jakie dostała, i postanowiła to zrobić. Była ciekawa, jak się zachowa, nie miała jednak głębszego przekonania, że należy on do grupy podejrzanych. Właściwie równie nieprawdopodobne wydawało się, by i przeszłość pana Varese'a mogła kryć jakieś tajemnice. W jej przekonaniu najbardziej podejrzany był Volbert, no i ewentualnie ten lokaj Laverych, o którym właściwie

nic nie wiedziała. Postanowiła więc w czasie bytności w Pontease lepiej mu się przyjrzeć.

Na placu Concorde przesiadła się do pociągu idącego do Charenton, by wysiąść przy Operze. Stąd miała już parę kroków do biura.

Zabrała się do pracy i dopiero o dziesiątej uświadomiła sobie, że Mond jeszcze nie nadszedł. O wpół do jedenastej przyjęła pocztę. O dwunastej odebrała depeszę od agenta z Marsylii wzywającą Monda. Potem załatwiła kilku klientów, starając się nie rozstrzygać spraw w sposób zdecydowany lub wiążący.

Dochodziła już druga, kiedy postłyszwała wreszcie w telefonie znany głos. Zdała Mondowi krótką relację, następnie przeczytała depeszę. W odpowiedzi postłyszwała ciche przekleństwo.

— No trudno, będę musiał dziś wyjechać — powiedział już opanowanym głosem. — Nie bardzo mi to na rękę, ale wiadomość jest pomyślna. Może wreszcie podpiszemy ten kontrakt z „Alhambra”.

— Jakie papiery mam panu przygotować? — spytała rzeczowo Ewa.

— Będę w biurze za dwie godziny. Proszę pozostawić Henryka i wyjść teraz na lunch. Szczegóły omówimy po moim przyjściu.

Kiedy wróciła przed czwartą, Mond już był. Zastała go w chwili, gdy wysyłał urzędnika po bilet na nocny ekspres.

Przez następne dwie godziny nie miała czasu, żeby odbyć zamierzoną rozmowę. Należało przygotować dokumenty, omówić sprawy bieżące i uzyskać dyrektywy. Przekonała się przy tym jeszcze raz, że Mond jest człowiekiem bystrym, dokładnym i przewidującym, a dyspozycje, które wydawał — jasne i bez niedomówień.

Wreszcie zapiął dużą, skórzaną tekę i odsunawszy ją na brzeg biurka, sięgnął po papierosa.

— No — powiedział z ulgą — mamy jeszcze trochę czasu.

— Czy dostanę pana adres w Marsylii?

Mond otoczył się kłębamii dymu.

— Jeszcze nie wiem, gdzie się zatrzymam, ale postaram się być z panią w kontakcie. W każdym razie będzie pani dostawała ode mnie wiadomości.

— Jak długo potrwa pana nieobecność?

— Dziś mamy środę. W sobotę jest święto. Sądzę, że dwa dni zajmie mi sprawa kontraktu. Skoro już będę na wybrzeżu, wybiorę się zapewne do którejś z nadmorskich miejscowości. Wypocznę parę dni i skorzystam z morskiej kąpieli. Będę więc nieobecny około tygodnia.

— Zazdroszczę panu,

— Pani zapewne spędzi, te dwa świąteczne dni u Laverych, w Pontoise?

— Tak. Obiecałam Alicji, że przyjadę.

— Więc zrezygnowała pani ostatecznie z oferty pana Volbert?

— Nie miałam zamiaru z niej korzystać — powiedziała dość sztywno. — Zdaje mi się, że już panu o tym mówiłam?

— Tak, tak, przypominam sobie... — Obrzucił ją trochę ironicznym spojrzeniem, ale Ewa wyczuła, że był zadowolony. Nadarzała się wreszcie okazja poruszenia tematu, który nurtował ją przez cały dzień. Postanowiła nie odkładać dłużej tej rozmowy.

— Tym bardziej — zaczęła przesadnie swobodnym tonem — że wczoraj zdarzył się wypadek, który dał mi dużo do myślenia.

Mond obrócił się szybko w stronę dziewczyny.

— Co za wypadek?

— Otrzymałam ostrzeżenie.

Ewie wydało się, że głos Monda lekko drgnął.

— Ostrzeżenie? — powtórzył. — Przed kim? Czy też przed czym?

— Przed człowiekiem z Montfort — powiedziała spokojnie. — Czyli przed Walterem Clestilem. Ma on znajdować się w moim otoczeniu. Tak wynika przynajmniej z informacji, jaką otrzymałam. Już drugi raz napotykam to nazwisko. Czy to nie dziwne?

Patrzyła wprost w twarz Monda i była zaskoczona jego reakcją.

Nie okazał zdumienia ani strachu. Wydawało się jej, że nie jest wcale zdziwiony usłyszaną wiadomością. Oparty jednym ramieniem o poręcz fotela, siedział wpatrzony w nią ciężkim, nieruchomym spojrzeniem.

Ewa poczuła, że strach zaczyna zaciskać jej gardło. Nie zdawała sobie sprawy z jego przyczyny, czuła jedynie, jak narasta w niej coraz bardziej. Szedł ku niej z ciszy pokoju, z milczącego trwania człowieka, który nieruchomy i zamysłony siedział przed nią za biurkiem.

Wreszcie Mond odwrócił głowę z cichym chrząknięciem. Ciężki nastrój minął i Ewa poczuła się raźniej.

— No i co pan na to? — rzuciła zaczepnie.

— Co to było za ostrzeżenie? List, zapewne anonimowy?

— Nie. Tajna gazetka z przypiętym paskiem papieru.

— Ma ją pani przy sobie?

— Mam.

Odłożyła na biurko trzymany na kolanach blok i sięgnęła do torebki. Mond przeczytał najpierw kartkę, a potem uważnie i wolno cały zakreślony ustęp. Kiedy skończył,

siedział jakiś czas bez słowa uderzając złożoną gazetką w otwartą dłoń. Wreszcie oddał ją dziewczynie.

— Jak pani przypuszcza, kto mógł nadesłać ten materiał?

— Między innymi podejrzewam o to i pana — odpowiedziała okraszając tę szczerość uśmiechem.

Mond uśmiechnął się również

— Czyżby? Więc już mnie pani nie podejrzewa, że jestem Clestilem?

Siedziała jakiś czas ze schyloną głową. Wreszcie uniosła ją i nie patrząc na Monda powiedziała na w pół do siebie

— Sama już nie wiem, co mam o tym sądzić... Raczej podejrzewam pana Volberta..

— I ja tak myślę — rzucił opryskliwie Mond. — Ale to są tylko podejrzenia. Muszę jednak pani oświadczyć, że mam pewne podstawy, żeby tak mniemać. Nic więcej nie mogę na razie powiedzieć. Ale, à propos, czy mówiła pani już komuś o tym ostrzeżeniu?

Ewa powzięła błyskawicznie decyzję. Spojrzała z zupełną swobodą w twarz mężczyzny i skłamała

— Nie, nic jeszcze nikomu nie mówiłam. Przyznaję jednak, że język mnie świerzbiał, żeby zadzwonić do Alicji.

— Proszę tego absolutnie nie robić! Szczerze pani radzę! — rzucił energicznie Mond. — Wracam niedługo i natychmiast zajmę się tą sprawą. Przypuszczam, że będę mógł pani pomóc.

— Dobrze. Zatem obiecuję zachować dyskrecję.

— Ten materiał schowamy na razie do pancерnej kasy, tak będzie najbezpieczniej.

Sięgnął po gazetkę i wstał od biurka. Ogniotrwała szafa stała w rogu gabinetu. Chwilę przy niej manipulował, po

czym ciężkie drzwi otworzyły się z cichym kłaśnięciem. Mond włożył gazetkę do środka i zatrzasnął drzwi.

— Niech pani nie myśli za dużo o tej całej historii — powiedział z powagą, wracając do biurka. — Nie wydaje mi się, by miała ona tak wielkie znaczenie. Ale kto wie?.. Gdyby zainteresowany dowiedział się, że może wkrótce być rozpoznany — mogłoby go to pchnąć do jakiegoś zdecydowanego kroku... I jest możliwe, że wtedy znalazłaby się pani w niebezpieczeństwie.

Ewa wstała z fotela, a Mond wyciągnął rękę.

— A więc napiszę albo zatelefonuję, by się dowiedzieć, czy nie zaszło coś nowego.

Ewa zatrzymała się jeszcze chwilę u siebie. Upudrowała twarz, podmałowała usta i dopiero wówczas, z torebką pod pachą, wyszła na korytarz. Była głodna i zmęczona, ale cieszyła ją perspektywa dwudniowego odpoczynku u Laverych.

Dochodziła ósma i na schodach paliło się już światło. Zbiegła na dół i była na podeście parteru, kiedy ujrzała przed sobą sylwetkę mężczyzny. Elektryczny kinkiet znajdował się za jego plecami, więc w pierwszej chwili nie rozpoznała twarzy. Jedyne zarys postaci wydał jej się znajomy

Mężczyzna zatrzymał się zdejmując kapelusz. Ewa przystanąła i wówczas go poznała.

Był to nieznajomy z za żywoplotu. Światło padało na jasne włosy, układające się falami ponad wysokim czołem.

— Och! — wyrwał się jej cichy okrzyk. Była zaskoczona. Nieznajomy uśmiechał się mierzając ją wesołym spojrzeniem.

— Pani zapewne uważa, że nieco się narzucam? Ewa wydeła wargi.

— Teraz przyszedł pan zobaczyć, gdzie pracuję? Pańskie zainteresowanie moją osobą jest — trzeba przyznać — dość natrętne — powiedziała zaczepnie. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała. Jednak młody mężczyzna nie wyglądał na speszonego

— Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł liczyć na takie samo zainteresowanie z pani strony.

Zmrużyła oczy i usiłowała uśmiechnąć się z możliwie wyraźną pogardą. Sądziła, że w ten sposób najmocniej wyrazi swoją dezaprobatę. Osiągnęła jednak zupełnie niezamierzony skutek, gdyż w oczach mężczyzny pojawił się nie budzący wątpliwości wyraz zachwyty. Nie uszedł on uwagi Ewy, toteż powiedziała z irytacją.

— Nie znoszę natrętów! Interesuje mnie tylko, dlaczego nie daje mi pan spokoju?!

— Przyczyną jest moje przekonanie, że szczęście nie przychodzi samo — powiedział sentencjonalnie nieznamomy. Ewa jednak nie była pewna, czy w słowach tych nie kryje się drwina.

— Co wspólnego ze szczęściem ma podejrzany fakt, że już drugi raz pana spotykam?

— Nie mówiłem o pani, lecz o sobie...

— Zbędny wysiłek! Żegnam i mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy!

— Skoro pani przypuszcza, że rozstajemy się na zawsze, rozstańmy się jako znajomi — wyciągnął ku niej rękę.

— Nazywam się Brańcyc.

Zawahała się tylko sekundę. Sympatia, jaką wbrew woli czuła do tego obcego człowieka, kazała jej odwzajemnić gest.

Brańcyc przez chwilę przytrzymał jej dłoń.

— Natomiast na imię mi Kamil. Chwila zaś, kiedy użyje pani tego imienia, będzie moim triumfem.

— Pan jest niemożliwy! — Ewa nie mogła opanować

śmiechu. — Przecież to jest rozstanie na zawsze. Tylko pod tym warunkiem zgodziłam się na zawarcie znajomości. — Wysunęła dłoń z przytrzymującej ją ręki mężczyzny.

— Tak, ale ja tego nie obiecywałem, proszę o tym pamiętać.

— To nie jest fair play! Żegnam!

— Chwileczkę — zatrzymał ją. — Czy stary jest na górze?

— Co za stary?

— Przypuszczam, że wszyscy szefowie tak są nazywani. Mam na myśli Monda.

— Pan idzie do niego?

— Cóż za dowód błyskotliwości myślenia, droga Ewo!

— Panie Brańczyc, mam pana dość!

Obróciła się gwałtownie, jednak zbiegając ze schodów kiwnęła mu na pożegnanie dłonią. Kamil spoglądał za nią, dopóki nie zniknęła za wyjściowymi drzwiami, a potem ruszył schodami na górę.

W piątek zadzwonił Mond. Kilkakrotnie rzucone „halo” dochodziło jale odległy głos wołający o pomoc. Potem rozległy się w słuchawce wyraźne słowa: — Woła Marsylia, proszę mówić...

Oznajmił, że kontrakt został podpisany, a przy końcu rozmowy zapytał, czy nie zaszło nic nowego

Ewa zrozumiała sens tego pytania i dała odmowną odpowiedź.

— To dobrze — rzucił — bo niepokoiłem się o panią. Obecnie wyjeżdżam do La Ciotat. Zatrzymam się w pensjonacie „Lotos”. Na razie — do widzenia!

Zwlekąca z zamknięciem biura, gdyż spodziewała się

tego telefonu. Po odłożeniu słuchawki spojrzała na zegarek — dochodziła trzecia. Miała dość czasu na zjedzenie obiadu i spakowanie rzeczy, gdyż Laverowie mieli zjechać po nią o szóstej.

Pół godziny przed tym terminem była gotowa. Postawiła spakowany neseser w hallu i udała się do pana Varese'a, by uprzedzić go o wyjeździe. Zadzwoiła i czekała na odgłos kroków w przedpokoju. Drzwi jednak otworzyły się raptownie, gdyż pan Varese jak zwykle stapał cicho. Stał przed nią w szlafroku i filcowej czapeczce na głowie.

— Panna Fontenay? Proszę bardzo! — Cofnął się do hallu.

— Przyszłam uprzedzić, że wyjeżdżam na dwa dni. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan zwrócić uwagę na mieszkanie.

— Oczywiście, oczywiście — powiedział z uśmiechem. — Ale proszę na chwilę wejść, właśnie parzyłem sobie filiżaneczkę kawy! Starczy i dla pani!

Nie czekając na odpowiedź zniknął za drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Mieszkanie miało identyczny rozkład jak i parter. Jedynie drzwi z bawialnego pokoju zamiast na taras wychodziły na balkon.

Duży, staroświecki fotel stał przy oknie, a przy nim mały stolik zarzucony drobiazgami. Pod drugim oknem znajdowała się etażerka pełna książek. Ewa spojrzała na grzbiety Rufus King, Simenon, Van Dine, Mac Donald, Gardner, Cheyney, Eberhardt — same kryminalne powieści.

Pan Varese zjawił się z tacą, na której stały dwie filiżanki i cukiernica. Zamaszystym ruchem odsunął na bok śmietnik znajdujący się na stoliku i postawił tacę.

— Proszę niech pani siada — podał Ewie krzesło —

i nie bierze mi za złe, że ulokuję się na swoim ulubionym miejscu. — Podsunął jej cukiernicę i opadł pomiędzy obszerne poręcze fotela.

Ewa z pewną nieufnością podniosła do ust filiżankę. Kawa była jednak doskonale przyrządzona.

— Ucieka pani z miasta?

— Tak, już panu mówiłam, zostałam zaproszona przez znajomych do Pontoise.

— Znam tę miejscowość — to przecież spore miasteczko, nic pani nie zyska na tej zamianie.

— Ich posiadłość leży za miastem. Półtora kilometra bocznej drogi.

— Zatem życzę przyjemnego wypoczynku. — Pan Varese upił mały łyk kawy i spojrzał na dziewczynę.

— Jedzie pani pociągiem?

— Nie, samochodem. Właśnie czekam na Laverych — powinni być tu lada chwila.

Pan Varese chwilę medytował, wreszcie rzucił, nie wiadomo dlaczego ścisząc głos:

— Nic nowego nie zaszło?

Ewa dopiła kawę i odstawiła filiżankę. Przy tym ruchu mimo woli spojrzała na stolik. Pomiędzy tekturowymi pudełkami, obok kałamarza bez atramentu, starej fajki, noża ogrodniczego, zwoju rafii i jeszcze nie wiadomo czego, leżała złożona na pół karteczka, na której widniała kolumna cyfr. Bezwiednie przeczytała kilka z nich: 18.34, 19.05, 20.40. Potem odwróciła wzrok i spojrzała na gospodarza.

— Nie, nic nowego nie zaszło — odpowiedziała z uśmiechem. — Czyżby spodziewał się pan, że otrzymam dalsze informacje?

— Zapytałem przez zwykłą ciekawość. Zresztą nic nie wiadomo. Tego rodzaju zdarzenia zwykle miewają dalszy ciąg, gdyż nie dzieją się bez powodu.

Dziewczyna wzdygnęła się.

- Panie profesorze, chce pan mnie nastraszyć?
Starzec potrząsnął głową.
- Nie, nie. Daleki jestem od tego! — Potem rzucił nagle:
— Czy Mond wyjechał?
Zaskoczona tą nieoczekiwaną zmianą tematu, nie odpowiedziała od razu.
- Skąd pan wie? — rzuciła po chwili.
- Telefonowałem kilka dni temu. Powiedział, że wyjeżdża do Marsylii.
- Tak. Istotnie wyjechał.
- Miała pani od niego jakieś wiadomości?
- Dlaczego pan tak się dopytuje o Monda? — Po raz drugi odpowiedziała pytaniem na pytanie.
- Pan Varese zdawał się jednak tego nie spostrzegać. Poskrobał się po nosie wykrzywiając komicznie twarz.
- Mam do niego interes, chciałbym wiedzieć, kiedy wróci.
- Telefonował dzisiaj. Powiedział, że pozostanie jeszcze przez kilka dni na wybrzeżu.
- W tej chwili rozległ się klakson i Ewa wstała przerywając rozmowę.

Do budowy letniego domu Lave-rych, doskonale zharmonizowanego z krajobrazem, architekt użył drewna i kamienia.

Otoczony starymi drzewami, głównie dębami, miał kształt litery T. W poziomej belce tej litery znajdował się obszerny pokój bawialny, gdzie również spożywano posiłki, oraz pomieszczenia służbowe. Część przyległą, czyli belkę pionową, przedzielał korytarz na strony północną i południową. Znajdowały się tam sypialnie z łazienkami, po jednej dla dwóch sypialni.

Pokoje strony południowej miały drzwi wychodzące bezpośrednio na taras, północne — tylko okna.

Łazienki poprzedzała mała sionka o czterech drzwiach. Dwoje z nich prowadziło do przyległych pokoi, trzecie do łazienki, czwarte na korytarz.

W ten sposób do każdej sypialni można było dostać się bądź wejściem bezpośrednim z korytarza, bądź przez sionkę łazienki. Do pokoi strony południowej prowadziły jeszcze trzecie drzwi — z tarasu.

Posiadłość była nie ogrodzona. Łączyła się bezpośrednio z otaczającymi ją łąkami, na których rozrzucone były tu i ówdzie grupki drzew. Pomiędzy nimi, gdzieś widoczne, błyskały wody Oise.

Ewa zajęła krańcowy pokój z wyjściem na taras. Rozpakowała rzeczy i wzięła kąpiel. Odświeżona i przebrana miała już wyjść, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Ukażał się w nich lokaj.

— Pani Lavery pyta, czy pani nie życzy sobie przekąsić czegoś na zimno, gdyż gorąca kolacja będzie dopiero o dziewiątej.

Nie odpowiedziała, przez chwilę zatrzymując spojrzenie na służącym. Na próżno jednak usiłowała znaleźć jakiegokolwiek odzwierciedlenie myśli czy uczuć na jego twarzy. Była surowa i nieruchoma. W cieniu padającym z czoła, połyskiwały dwoma punktami oczy. Ich spojrzenie nie wyrażało jednak nic, poza obojętną uwagą.

— Nie, dziękuję, poczekam na kolację. Nie jestem zbyt głodna. Zresztą kucharka zapewne dopiero rozpakowuje zapasy?

— Kucharki jeszcze nie ma, proszę pani. Powinna była wyjechać o 18.34, ale zapewne nie zdążyła na ten pociąg. Następny ma o 19.05. Zapasy jednak przywieźliśmy ze sobą i są już rozpakowane, więc jeśli pani sobie życzy...

— Nie, dziękuję — powtórzyła. Potem dorzuciła: — Jeśli jednak poczuję się głodna, przyjdę do Piotra. — Słowom towarzyszył uśmiech.

Służący nie odwzajemnił tego uśmiechu.

— Oczywiście, proszę pani — odpowiedział z powagą, robiąc jednocześnie ruch zmierzający do odejścia.

— Jeszcze chwileczkę, Piotrze — zatrzymała go chcąc wykorzystać okazję.

— Słucham panią? — zawiesił głos w oczekiwaniu.

— Czy panią Lavery zobaczę dopiero przy kolacji?

— Tak, proszę pani. Pani Lavery niezbyt dobrze się czuje.

— Czy to coś poważnego? Od dawna już wydaje mi się jakaś przygnębiona.

— Nie wiem, proszę pani. — Lokaj stał cały czas przy drzwiach bez ruchu.

— Jak dawno Piotr jest w tym domu?

— Już dość dawno, proszę pani.

— Rok, dwa, trzy?

— Coś około tego.

— Czy zna Piotr pana Monda?

Wydało jej się, że w oczach lokaja dostrzegła nagły błysk, który zgasł momentalnie. Nie umiała jednak określić jego przyczyny. Czy było to zdziwienie, obudzona czujność czy strach?

— Owszem, proszę pani, znam.

— Skąd Piotr go zna?

— Był kilka razy u państwa Lavery.

— Dawno?

— To było już dość dawno, proszę pani. — Służący unikał wyraźnych odpowiedzi, rozumiała to już od początku rozmowy. Nie chciała nalegać, gdyż czuła, że nie zdoła rozbić tego muru ostrożnej rezerwy.

— Jeszcze jedno pytanie i nie będę już Piotra zatrzymywała.

— Słucham panią.

— Mam jednak nadzieję, że otrzymam odpowiedź mniej zdawkową, dobrze?

Zdawało się jej, że przez drewnianą twarz lokaja przemknęło coś na kształt uśmiechu.

— Jestem do pani usług — powiedział jednak z równie chłodną grzecznością, jaką nacechowane były wszystkie dotychczasowe odpowiedzi.

— Czy Piotr był u pana Monda w ubiegłym tygodniu? W środę lub czwartek wieczorem?

— Być może, nie przypominam sobie.

— Po co Piotr tam chodził?

Zauważyła lekkie wzruszenie ramion, opanowane jednak natychmiast.

— Nie stwierdziłem, że byłem u niego. Powiedziałem, że nie przypominam sobie, proszę pani. Ale jeśli nawet i byłem, to zapewne z polecenia pana Lavery, który jest doradcą prawnym pana Monda.

Było to najdłuższe wyjaśnienie, jakie dotychczas usłyszała. Nie było sensu przedłużać tej rozmowy.

— Dziękuję, Piotrze.

Służący uklonił się i znikł za drzwiami.

Po jego wyjściu zamyśliła się. Trudno było o bardziej ogólnikowe odpowiedzi. Chciała już wyjść z pokoju, kiedy nagle przypomniała sobie początkową informację o przyjeździe kucharki. Zatrzymała się w miejscu i marszcząc brwi próbowała uprzytomnić sobie, skąd zna te cyfry — 18.34, 19.05. Ależ tak! To była kartka na stoliku pana Virese... A więc wynotował rozkład pociągów do Pontoise?

Ogarnęło ją podniecenie. Dlaczego pan Varese interesował się tymi pociągami? Po co chciał jechać do Pontoise? Dlaczego zataił przed nią zamiar wyjazdu, dlaczego

nic o tym nie wspomniał, mimo że rozmawiali na ten temat? Czyż nie sprowokował informacji o położeniu domu Laverych?

I znów, tak jak po anonimowym ostrzeżeniu, nie znajdowała odpowiedzi na żadne z narzucających się pytań. Jedno było tylko bezsporne: pan Varese wybierał się do Pontoise i nie chciał, by o tym wiedziała.

Nastrój niefrasobliwego humoru, jaki nie opuszczał jej przez cały dzień — zniknął. Czuła, że coraz ciaśniejszym spletem zaczyna ją otaczać sieć zagadkowych wypadków. Przypomniał jej się Brańczyc; na to wspomnienie uśmiechnęła się smutnie i trochę ironicznie. Czy i on należy do tego tajemniczego kręgu ludzi i zdarzeń, których zarysów dostrzec nie można? Czy i jego musi się strzec? I on stanowi ogniwo nieznanego? Czego? Czyżby istotnie — niebezpieczeństwa?

Zdobyła się na wysiłek, by opanować przygnębienie. Dlaczego miałoby jej grozić niebezpieczeństwo? Przecież nie ścigała jej niczyja zemsta, nie znała niczyjej tajemnicy...

Kolację podano zgodnie z zapowiedzią Piotra o dziewiątej. Alicja nie tylko lepiej się czuła, ale była w wyjątkowo dobrym humorze, a Lavery jak zwykle pogodny i dowcipny. Ich nastrój udzielił się wkrótce i Ewie, toteż kiedy wracała o jedenastej do siebie, z rozterki i niepokoju nie pozostało już śladu.

Mimo wczesnej pory było gorąco. Ewa wzięła z werandy leżak i powędrowała z nim pomiędzy drzewa szukając cienia. Potem, rozciągnięta wygodnie, obserwowała piękno rozległego krajobrazu. Poza zielonym pasem łąki widać było rząd topoli biegnących wzdłuż drogi do miasteczka. Jego dachy rozsypały się

czerwoną mozaiką przesłaniając horyzont. Szereg topoli zwęzał się i ginął gdzieś pomiędzy pierwszymi domami.

Nieopodal lśniła w słońcu woda rzeki, której brzeg tu i ówdzie obrastały krzaki.

Było spokojnie, cicho i ciepło. Ewę ogarnęło rozleniwienie. Upał wzmagął się coraz bardziej i w pewnej chwili przyszło jej na myśl, by się wykapać. Nie zdobyła się jednak na decyzję opuszczenia leżaka.

Naraz usłyszała opodal ludzki głos. Było to coś niby ciche mruknięcie. Doleciało ją z boku, od strony rzeki. Odwróciła bez zainteresowania głowę spodziewając się ujrzeć kogoś z domowników, nie było jednak nikogo. Nie ruchome zarośla pławiły się w słońcu, pomiędzy ich liśćmi migotały srebrem refleksy wody.

Zaciekawienie jej wzrosło, wstała więc z leżaka i udała się w stronę rzeki, która płynęła pomiędzy niskimi brzegami, obrośniętymi sitowiem i łożyną. Gdzieniedzie roślinność urywała się i w tych miejscach znajdowały się piaszczyste, małe plaże.

Doszła do rzeki. U jej nóg piasek schodził łagodną pochyłością w wodę. W miejscu, gdzie się z nią łączył, tracił swą sypkość i jasny kolor, tworząc ciemny pas, nasiąknięty wilgocią i twardy. Na tym ciemnym tle Ewa zobaczyła wyraźne, ostre odbicie męskiego obuwia. Ślad ten jak nagle pojawiał się, tak nagle niknął ginąc w suchym piasku.

Rozejrzała się dookoła. Ktoś musiał tędy przed chwilą przechodzić. Z prawej strony rzeka zakręcała chowając się za kępy krzaków. Z lewej była widoczna na dość dalekiej przestrzeni. Brzeg był pusty.

Przeniosła wzrok na piasek u swych stóp i stała jakiś czas wpatrzona w zagadkowy ślad. Kto to mógł być i dlaczego się skrył?

Spostrzegła Bena Lavery schodzącego z tarasu w płaszczu kąpielowym. Przywołała go skinieniem ręki.

— Kto mógł pozostawić ten ślad? — wskazała na odcinek stóp. — Czy Piotr jest w domu?

— Jest. Przed chwilą z nim rozmawiałem. Dlaczego jednak te odciski stóp tak panią zaintrygowały?

— Siedziałam na leżaku i posłyszałam coś niby ciche chrząknięcie. Wstałam, aby zobaczyć kto to, i nie znalazłam nikogo. Ktoś musiał jednak tędy przechodzić przed chwilą, ktoś, kto wołał, aby go nie widziano.

Lavery machnął ręką z pobłażliwym uśmiechem.

— Czemu interesuję się pani taką błahą sprawą? Skąd ten niepokój?

Ewa nie chciała się tłumaczyć.

— Jestem ostatnio nieco zdenerwowana — powiedziała wymijająco. — Musi pan jednak przyznać, że jest w tym coś intrygującego.

— Nie widzę nic takiego, a cała ta scena przypomina mi kłopoty Robinsona ze śladem Piętaszka — roześmiał się. — Moim zdaniem kręcił się tu jakiś rybak z miasteczka i to cała tajemnica!

— Czy istotnie przychodzą tu łowić ryby?

Lavery zawahał się.

— Tu raczej nie, gdyż jest to teren prywatny. Widywałem ich jednak nad rzeką. Zapewne któryś z nich przeszedł tędy i siedzi za najbliższymi krzakami. Zaraz się przekonam, proszę poczekać!

Odszedł w stronę zakrętu rzeki. Dziewczyna oczekiwała go przez dłuższą chwilę. Kiedy wrócił, rzuciła zaciękwioną:

— Znalazł pan?

Lavery zaprzeczył ruchem głowy.

— Ale to niczego nie dowodzi — dodał. — Mógł tylko

tędy przechodzić i odejść już tak daleko, że go nie spostrzegłem. Tu wszędzie jest zła widoczność.

— Może to istotnie był rybak — zgodziła się Ewa, na wpół przekonana.

— Któż inny mógłby się tu kręcić? Czy ma pani jakieś konkretne przypuszczenia?

— Nie, żadnych — skłamała.

— Więc nie zwracajmy sobie tym głowy! — zdecydował. — Czy pójdzie pani do wody? Jest niemożliwie gorąco, mam zamiar trochę popływać.

— Chyba nie — zawahała się Ewa — poczekam, aż się woda bardziej ociepli.

Poprzez rozciągający się przed domem trawnik szła Alicja. Zobaczyła ich i skierowała się w stronę rzeki.

— Wiesz, Alicjo, co przed chwilą wystraszyło naszą Ewę?

— Wystraszyło? — Alicja skierowała zdziwione spojrzenie na przyjaciółkę.

— Twój mąż trochę przesadza — powiedziała Ewa z uśmiechem. — Raczej zaciekało.

— Cóż takiego?

— Ślady stóp na piasku. Kilka odcisków, męskiego obuwia w jednym z najludniejszych krajów Europy! — rzucił rozbawionym tonem Lavery, wskazując żonie widoczne na piasku wgłębienia.

Alicja wpatrywała się w nie bez słowa, a potem przeniosła wzrok na Ewę; ta ze zdumieniem ujrzała, jak strach począł zmieniać rysy jej twarzy. Oczy zalęknione i rozbiegane nabierały wyrazu coraz większego przerażenia, a wargi drżały tak, że Ewa obawiała się, iż za chwilę wybuchnie płaczem.

Ben nie zauważył tej nieoczekiwanej reakcji i kontynuował spokojnie:

— Błahе zdarzenie, które zresztą łatwo sobie wytłumaczyć. Nie przypuszczałem, że jakiś amator

rybołówstwa może wywołać — zatrzymał się na chwilę i zakończył nieco ironicznie — takie zaciekawienie...

Alicja zdołała się opanować i odezwała się już spokojnie.

— Przypuszczasz, że to był rybak?

— Więc i ty masz wątpliwości?

— Nie, najmniejszych, mój drogi... Proponuję, abyśmy schowali się w cień. Dostaniemy porażenia, jeśli będziemy stali zbyt długo na takim słońcu.

— Namawiałem Ewę, żeby poszła ze mną do wody, ale obawia się, że jest za zimna.

— Chyba ma rację. Po południu kąpiel będzie przyjemniejsza.

— Zatem szukajcie cienia, ja idę...

Alicja przyniosła drugi leżak i wyciągnęła się obok przyjaciółki. Jakiś czas panowało milczenie, które przerywała Ewa.

— Alu, powiedz, co ci jest?

Alicja obróciła raptownie głowę w jej stronę i Ewa ujrzała znów na jej twarzy wyraz lęku.

— Co masz na myśli? Nic mi nie jest!

— Nie mówisz szczerze. Od pewnego czasu coś cię gnębi. Znam cię zbyt dobrze, aby tego nie spostrzec.

Alicja nie odpowiadała.

— Czy... czy sądzisz, że Ben również mógł coś zauważyć? — spytała wreszcie po cichu.

— Nie odpowiedziałas mi na pytanie. Czy wolisz nie odpowiadać?

Wargi Alicji poczęły drżeć, a na policzkach pojawiły się krople łez.

— Ja... nie mogę... Chciałabym... na pewno uczułamby ulgę, gdybym mogła się wypowiedzieć... Już parę razy chciałem z tobą o tym pomówić i... wstydziłam się... Przeżywam okropną historię i już nie mogę... — rozplakała

się. Łzy biegły jej z oczu i strużkami ściekały po policzkach. Milczała przy tym, kurczowo zaciskając palce na poręczach.

Ewa impulsywnie wyciągnęła ku niej rękę.

— Droga moja powiedz, co cię gnębi? Byłaś tak wystraszona, kiedy zobaczyłaś te ślady! Czego się obawiasz?

— Ja... nie wiem. On mnie szantażuje. Coraz częściej muszę płacić duże sumy... Już nie mam pieniędzy.. Wyczerpałam cały swój osobisty majątek. W ubiegły piątek zapłaciłam, wczoraj znów miałam wpłacić znaczną kwotę, ale jej nie zdobyłam, więc nie poszłam na spotkanie...

Ewa słuchała przerażona.

— Kto cię szantażuje?

— Filip Volbert. Tak przynajmniej sędzę, bo przy spotkaniach nie ukazuje twarzy.

— Za co? Czy możesz mi powiedzieć?

— Zeszłego lata poznałam go na Sycylii i... i straciłam głowę. Ma kilka moich biletów i parę zdjęć. Nic wielkiego, ale wystarczające jako dowód poufałości. Byłam na tyle głupia, że nie protestowałam, kiedy je robił...

— Czy nie ma sposobu, żeby to radykalnie załatwić? Czy rozmawiałaś z nim na ten temat?

— Nie. Otrzymuję tylko listy bez podpisu. Każe sobie wręczać pieniądze w sposób uniemożliwiający porozumienie się.

Alicja opowiedziała o swoim spotkaniu z człowiekiem w samochodzie.

— Czy jesteś pewna, że to Filip cię szantażuje? — spytała Ewa wysłuchawszy opowiadania.

— A któżby, skoro grozi wyjaśnieniem tej historii na Sycylii? — odparła ze zdumieniem Alicja.

— Zdjęcia i bilety mogły się dostać w inne ręce.

— To chyba nie znasz Filipa. Ja niestety poznałam go dobrze, ale jak już było za późno. On nie wypuszcza z rąk takiej zdobyczy.

Ewa musiała jej przyznać rację.

— Beznadziejna sprawa — ciągnęła Alicja cichym, zgnębionym głosem. — Czuję się jak goniona zwierzyna, której brak już tchu. Wydaje mi się, że jestem pod ciągłą i czujną obserwacją, że każdy mój krok i każde słowo ktoś notuje i zna. A ja już doprawdy nie mam sił, brak mi energii, by wciąż walczyć ze strachem, w jakim ostatnio żyję. Zdaję sobie sprawę, co by się stało, gdyby się Ben dowiedział. Nie chcę o tym nawet myśleć. Ale czuję, że moment katastrofy zbliża się nieuchronnie. Och, gdybym mogła dosięgnąć tego łotra, byłabym chyba zdolna do morderstwa!

— Alu, uspokój się. To tylko nerwy i wyczerpanie psychiczne. Na pewno nikt cię ani nie obserwuje, ani nie śledzi.

— Chcesz mi dodać otuchy, ale ja to zbyt silnie odczuwam, bym mogła się mylić. I dlatego kiedy zobaczyłam dziś te ślady, pomyślałam sobie, że nadchodzi mój prześladowca. Wczoraj wieczorem miałam mu znów wręczyć pieniądze — mówiłam ci już o tym — i nie poszłam. A teraz nie wiem, co bym wołała — czy żeby Ben dowiedział się o wszystkim, czy też by zemsta tamtego skrupiła się na mnie w inny sposób.

— Nie mów głupstw! Szantażyści nie popełniają czynów gwałtownych!

— Zatem Ben dowie się o wszystkim! A wówczas pozostanie mi tylko...

— Alu, ty naprawdę nie wiesz, co mówisz! Więc tak kochasz Bena?

Alicja spoglądała przez chwilę na rozległą panoramę.

Łzy jeszcze lśniły na jej policzkach. Wyciągnęła chusteczkę i osuszyła twarz, zanim odpowiedziała.

— Jest dla mnie zawsze taki dobry i czuły. Ale jednocześnie wyczuwam, że uważa mnie za swoją własność w sensie zupełnie materialnym; tak jak swoje mieszkanie, ten dom, przedmioty, które lubi i do których jest przywiązany. I jest na tym tle chorobliwie przeczulony. Wszelkie naruszenie tego stanu posiadania w jego przekonaniu równałoby się katastrofie, a winowajcę powinny spalić piekielne ognie. Więc możesz sobie wyobrazić, co by się stało i jak bardzo boję się skutków. Taka wiadomość mogłaby go złamać zupełnie. No i byłoby mi wstyd, okropnie wstyd, że dałam się wciągnąć w taką płytką, niesmaczną historię. Gdybym przynajmniej była zakochana... Ale nawet tego nie mam na swoje usprawiedliwienie.

— Z tego, co usłyszałam, sędzę, że bardziej boisz się Bena niż go kochasz?

Alicja uśmiechnęła się blado.

— Może i masz rację...

— Nie upadaj na duchu, moja droga. Nie przypuszczam, aby w ciągu najbliższych dni coś się stało, a przez ten czas zastanowimy się, co robić. Może uda się nam dosięgnąć z kolei pana Volberta.

— Co masz na myśli?

Ewa została zwolniona od odpowiedzi, gdyż ukazał się Ben Lavery. Z mokrych włosów spływała mu woda, którą ścierał z twarzy dłonią.

— Spenetrowałem oba kierunki rzeki — powiedział stając przed nimi. — I nikogo nie znalazłem.

— Nie wiem dlaczego, ale jestem pod wrażeniem tego zagadkowego faktu — rzuciła z niepokojem Alicja.

— Czy warto sobie tym zawracać głowę? Przecież nie obawiasz się chyba napadu?

— Te ślady i mnie też zaniepokoiły — wtrąciła Ewa.

— Widocznie czytała pani niedawno jakiś kryminał — powiedział żartobliwie Lavery.

— Lepsze to niż przeżywanie takiej historii...

Lavery obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

— Cóż za porównanie?! Czy ma pani coś konkretnego na myśli?

— Mam — powiedziała Ewa. Ujrzała jednocześnie, jak w oczach Alicji pojawił się wyraz zdumienia i strachu.

Lavery obserwował Ewę uważnie.

— I kogóż to dotyczy?

— Mnie — rzuciła swobodnie.

— A to ciekawe! W każdym razie jest pani na tyle w dobrym położeniu, że obronę prawną ma pani zapewnioną!

— Bardzo pan łaskawy, panie mecenasie. Ale moja rola jest bierna, zatem raczej przydałaby się obrona fizyczna.

— Ewo, co ty wygadujesz! — obruszyła się Alicja.

Lavery spoważniał.

— Czy nie mogłaby nam pani wytłumaczyć sensu tych słów?

— Nie, panie Benedykcie, nie mogę. Przynajmniej na razie.

Alicja spojrzała z niepokojem na przyjaciółkę, nie zdążyła jednak odezwać się, gdyż na tarasie ukazał się Piotr oświadczając, że lunch został podany. Udali się więc w stronę domu nie poruszając już tego tematu.

Siedzieli w bawialni przy kawie, kiedy najpierw doleciał z hallu odgłos rozmowy, a w chwilę potem otworzyły

się drzwi i Ewa ujrzała na progu pannę Bellano.

Obrzuciła obecnych szybkim spojrzeniem i podeszła do Lavery'ego z wyciągniętą dłonią.

— Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina, drogi mecenasie. Poznaliśmy się kilka miesięcy temu na bankiecie „Unii” — mówiła szybko i swobodnie.

— Mam nadzieję, że zechce mnie pan przedstawić swojej małżonce, abym mogła ją przeprosić za najście, Z panną Fontenay już się znamy

Lavery dokonał prezentacji z lekkim uśmiechem. Podczas przywitania z Ewą panna Bellano uśmiechnęła się promiennie Ewa zobaczyła jednak jej oczy, z których biła zimna nienawiść

— Właśnie siedzimy przy kawie. Może pani pozwoli? — zaprosiła Alicja wskazując jeden z foteli.

— Dziękuję bardzo, przyznam, że chętnie się napiję — szczebiotała panna Bellano. — Obecnie nie występuję gdyż naderwałam sobie ścięgno i lekarz zabronił mi tańczyć Tak się złożyło, że przypadkowo znalazłam się w Pontoise, co przypomniało mi dawną rozmowę z pani mężem. Zbyt zachęcająco opisał mi wtedy posiadłość państwa, bym mogła opanować ciekawość. Pomyślałam sobie, że państwo nie wezmą mi za złe jeśli tu wpadnę i obejrzę ich uroczy dom!

— Absolutnie nie — powiedział uprzejmie Lavery

— Pani obecność jest dla mnie pochlebnyim świadectwem, dowodzi bowiem, że moje zdolności krasomówcze są jeszcze coś warte.

— Musi tak być — uzupełniła Ewa — skoro to krasomówstwo skłoniło pannę Bellano do odbycia kilometrowego spaceru z naderwanym ścięgnem..

— Tak, ma pani rację. Zresztą muszę dodać że był to

z mojej strony bardzo, lekkomyślny krok, gdyż noga roz-
bolała mnie okropnie.

Opuściła powieki i na twarzy jej odmalował się dys-
kretny wyraz cierpienia. Panna Bellano była kobietą do-
świadczoną i wiedziała, jak razi w takiej grze wszelka
przesada.

Rozmowa zesła na tory zwykłych towarzyskich bana-
łów i trwała już godzinę, kiedy uroczy gość zorientował
się, że pobyt zaczyna się zbyt przyciągać.

— Na mnie już najwyższy czas — powiedziała wsta-
jąc. — Istotnie ta posiadłość jest urocza i z żalem ją
opuszczam.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale z grymasem bólu
zachwiała się na nogach.

— Och, moje ścięgno! — jęknęła. — Naprawdę zro-
biłam wielkie głupstwo udając się na tak długi spacer!

Przeszła kilka kroków kulejąc.

— Przecież pani nie dojdzie! Nie może pani iść taki
kawał drogi z tą nogą — zatroskała się Alicja.

Panna Bellano potrafiła opanować grymas bólu i
uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że ją rozchodzę. To chyba tylko
chwilowe.

— Może by pani została u nas na noc? Miejsca jest
dość. Do jutra noga wypocznie i będzie mniej bolała —
zapropozowała Alicja.

— A Piotr ewentualnie odwiezie panią rano samo-
chodem — dodała Ewa, co niekoniecznie musiało być
sugestią do natychmiastowego wykorzystania.

Jednakże panna Bellano prawdopodobnie nie dosłysza-
ła tej uwagi, gdyż zwróciła się z zaferowaną minką do
Lavery'ego.

— Małżonka pana, drogi mecenasie, jest tak miła i

dobra. Chętnie skorzystałabym z propozycji, gdyby nie obawa, że narobię kłopotu...

— Ależ to żaden kłopot! Alicja ma zupełną rację, do jutra ból minie, więc jeśli nikt pani nie oczekuje, proponuję, aby pani została.

Słowa brzmiały uprzejmie, lecz spojrzenie Lavery'ego, który nie spuszczał oczu z twarzy tancerki, było uważne i dociekliwe.

— A zatem bardzo państwu dziękuję.

— Dostanie pani pokój obok Ewy, będziecie miały wspólną łazienkę. Każę zaraz Piotrowi przygotować posiłek.

Panna Bellano z wyrazem ulgi na twarzy opadła z powrotem na fotel.

Alicja zajmowała ostatni pokój z północnej strony. Ponieważ Piotra nie było w pomieszczeniach służbowych, poszła korytarzem w nadziei, że odnajdzie go w tej części domu. Miękki chodnik tłumiał kroki, kiedy więc otworzyła drzwi do swojej sypialni, zaskoczyła go w chwili, gdy stał nachylony nad jej toaletą z listem w ręku.

Domyśliła się, co to był za list i serce w niej zamarło. Jak to się stało, że dotychczas go nie zniszczyła?! Na odgłos otwieranych drzwi służący obrócił się.

— Jak... jak Piotr śmie? — zdołała wykrztusić, niezdolna do powiedzenia niczego więcej.

Lokaj nie zdradzał zmieszania. Obserwował bez słowa rozdygotaną kobietę, jak gdyby oczekując jej dalszych słów. Alicja nie była jednak zdolna nic więcej powiedzieć. To, co się stało, odebrało jej resztę sił — nie starczyło ich już na przeciwstawienie się tej nowej, nieoczekiwanej katastrofie.

— Dlaczego, do diabła, nie zniszczyła pani tego listu?

Instrukcja przecież była wyraźna! — rzucił napastliwie Piotr. Sposób zaś, w jaki się odezwał, był równie zaskakujący.

Alicja zdrętwiała.

— Sama nie wiem... Zrobiłam straszne głupstwo — wyjąkała.

— Wprawdzie nie stawiała się pani na to spotkanie, ale list należało koniecznie zniszczyć!

— Skąd Piotr wie, że się nie stawiałam? — Raptowne podejrzenie zadrgało w jej głosie. Tej możliwości nie przewidywała. Na samą myśl o tym doznała zawrotu głowy.

Lokaj uśmiechnął się ironicznie. Nie miał już w sobie nic z ugrzecznionej gotowości do usług, jaka cechowała go dotychczas.

— Miała pani stawić się o dziesiątej wieczór, data i godzina zostały w liście ściśle podane. Któż jak nie ja — powiedział z sarkazmem — może lepiej wiedzieć, że była pani w tym czasie w domu.

— Ależ na ten wieczór prosił Piotr o zwolnienie! Skąd więc ta pewność?

— Informację otrzymałem od kucharki, proszę szanownej pani — oznajmił z przesadnym ugrzecznieniem.

— To są tylko słowa! Oczywiście, że Piotr nie przyzna się że mnie szantażował.

— Ja?!

— Jeśli nie sam, to wspólnie z panem Volbertem!

— Zatem przypuszcza pani, że te listy pochodzą od pana Volberta?

Zorientowała się, że mówi za dużo. Chwila oszołomienia minęła i dopiero teraz Alicja zdała sobie sprawę, jak skandalicznie zachowuje się służący. Była na siebie zła, że od razu, z miejsca, nie zbesztła go za to, że ośmielił się na indagację, a udzielając odpowiedzi, niejako akceptowała ten stan rzeczy.

Należało natychmiast zmienić tę sytuację, w której skutkiem chwilowego zaskoczenia znalazła się tak nieopatrznie.

— Jakim prawem Piotr ośmielił się rewidować moją toaletę!

— To, co znalazłem, zwalnia mnie od konieczności udzielania odpowiedzi. Jednocześnie pozwolę sobie zauważyć, że pani pozycja jest za słaba, aby zadawać mi tego rodzaju pytania.

— Piotr jest bezczelny — powiedziała, wyciągając rękę. — Proszę mi oddać ten list!

— Nie, list zabiorę, gdyż istnieje obawa, że znów zapomni go pani zniszczyć. Obecnie radzę uspokoić się i zachowywać z większym opanowaniem. Nie jest wskazane, aby ktoś powziął podejrzenia.

Ostrzeżenie przyszło w samą porę, gdyż na korytarzu rozległo się wołanie Lavery'ego:

— Alicjo, czy jesteś u siebie?

— Proszę natychmiast się opanować! — rzucił cicho, ale rozkazująco lokaj widząc, że na twarzy Alicji znów pojawił się wyraz przerażenia. Szybkim ruchem schował list do kieszeni i przybrał postawę dobrze wyszkolonego sługi.

— Pani miała dla mnie dyspozycje? — zgiął się w ukłonie.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Lavery.

— Tak, Piotrze. Proszę przygotować pokój obok panny Fontenay. Panna Ballano zostanie u nas na noc.

— Alicjo, mamy zamiar zagrać w brydża — powiedział Ben. — Będziesz wkrótce gotowa?

— Właściwie już jestem, przygotujcie karty, zaraz przyjdę.

Lavery odszedł, a Piotr skłonił się przed Alicją.

— Tak jest, proszę pani — powiedział usłużnie —

zaraz się tym zajmę. I zanim Alicja rozstrzygnęła wątpliwość, czy warto nadal prowadzić tę ryzykowną rozmowę — wyszedł z pokoju.

Około jedenastej towarzystwo rozeszło się do swoich pokoi życząc sobie dobrej nocy, co było ironią zupełnie nieświadomą, gdyż o godzinie jedenastej dwadzieścia raptowny, przenikliwy krzyk zaalarmował dom.

Pierwsza do pokoju Ewy wpadła Alicja. Zobaczyła chwiejącą się na nogach przyjaciółkę. Przytrzymując rozdartą na ramieniu koszulę, wpatrywała się w, leżące u jej nóg mężczyznę. Alicja poznała go natychmiast.

— Volbert... — wyszeptała, przykładając do ust drżące palce.

— Cicho! — rozległ się za nią dojmujący szept. Obróciła się gwałtownie i ujrzała utkwione w siebie surowe spojrzenie.

— Skąd pani to wie? — mruknął przez zęby lokaj. — Nie zna go pani, proszę o tym pamiętać! — Minął ją i podtrzymał chwiejącą się Ewę. Była w negliżu, więc wskazał Alicji zwisający przez poręcz fotela szlafrok. Do pokoju wpadli najpierw Lavery, a w chwilę później panna Bellano.

Filip Volbert leżał na boku, w jego plecach tkwił wbity do pół ostrza sztylet.

— Ewo, co tu się stało? — krzyknął Lavery.

Dopiero teraz dziewczyna wybuchnęła płaczem.

Panna Bellano z przerażeniem w oczach schyliła się nad leżącym, ale powstrzymał ją okrzyk gospodarza.

— Proszę nie dotykać! Nie wolno nic ruszać!

— Ależ... może on żyje...

Lavery nachylił się nad leżącym i ujął jego rękę, potem uniósł powiekę. Kiedy wyprostował się, miał skupiony wyraz twarzy.

— Nie żyje. Alicjo, przynieś Ewie coś na uspokojenie. Piotrze, proszę zawiadomić policję. — Lavery był opanowany. Polecenia wydawał spokojnym głosem.

Idąc do siebie po krople Alicja miała przed oczami obraz, który jeszcze długi czas pozostał w jej pamięci. Leżące zwłoki mężczyzny z odrzuconą do tyłu głową, którego półotwarte usta jakby chciały coś obwieścić lub wyznać, a nad nim słaniającą się, współprzutomną dziewczynę. Jedno z ramion trupa, wyciągnięte przed siebie, zdawało się wskazywać oskarżycielsko jej osobę. Czarnym kwadratem otwartych na taras drzwi zaglądała do pokoju parna noc. Elektryczne światło palącej się przy tapczanie lampy uciinało tę czerń u progu drzwi, rzucając jednocześnie tajemnicze cienie przedmiotów i ludzi na ściany pokoju.

Posłyszała za sobą kroki. Nadchodził Piotr.

— Idę zatelefonować po policję — powiedział ze zwykłą służbistością. — Radzę nie zapominać, że nie zna pani Volberta! Czy jeszcze ktoś wie o tej znajomości?

— Panna Fontenay — wyszeptwała Alicja.

— Należy prosić ją o dyskrecję. Może zechce być lojalna.

— Będzie, skoro ją o to poproszę! A teraz może Piotr zechce przynieść mi szklankę wody! — rzuciła rozdrażniona ponowną poufałością. Służący już bez słowa zniknął w mroku korytarza.

Po krótkiej chwili znalazła krople i powróciła na miejsce dramatu. Ewa już przyszła nieco do siebie. Wkrótce zjawił się Piotr ze szklanką wody, którą wypija wraz z lekarstwem.

— Teraz — zabrał głos Lavery — może zechce nam

pani opowiedzieć, co tu zaszło? Dlaczego postąpiła pani tak... gwałtownie?

Ewa spojrzała ze zdumieniem na adwokata.

— Więc pan przypuszcza... — wykrzyknęła przenosząc wzrok na otaczające ją twarze. — Więc sądzicie, że to ja go zabiłam?!

— To chyba oczywiste! — wykrzyknęła Bellano.

— Nie. To nie ja — Ewa spojrzała bezradnie na Alicję, a potem na jej męża. — Musicie mi wierzyć... Ja naprawdę tego nie zrobiłam...

— Ależ nikt tego nie twierdzi, moja droga! — spróbował ją uspokoić Lavery. — Panna Bellano na pewno nie ma podstaw do tak krańcowej opinii.

Alicja zbliżyła się do przyjaciółki i objęła ją ramieniem.

— Powiedz nam, kochanie, co tu zaszło, i nie denerwuj się, jesteś przecież u przyjaciół.

— Kiedy rozeszliśmy się, wróciłam do siebie — mówiła Ewa rwącym się głosem. — Przeorałam się i właśnie miałam nałożyć szlafrok, by iść do łazienki, kiedy raptem zobaczyłam w otwartych na taras drzwiach pana Volberta. Stał uśmiechnięty, potem bez słowa zaczął zbliżać się ku mnie i powiedział: „A więc jestem”... Straciłam zupełnie głowę. Tak mnie zaskoczył, że nie mogłam wydobyć głosu. Byłam w negliżu, co jeszcze bardziej mnie onieśmiało. Gdybym wówczas zdołała krzyknąć, może stałoby się wszystko inaczej. Ale cofałam się tylko i powtarzałam bezradnie „proszę stąd wyjść”... czy też: „proszę wyjść natychmiast”... On jednak nie zwracał uwagi na moje słowa, tylko uśmiechał się. Potem chwycił mnie w objęcia, był agresywny i brutalny. W pewnej chwili odwróciłam głowę, by uniknąć pocałunków, nie widziałam więc, co się wokoło dzieje. Raptem, jego ramiona zwolniły uścisk, poczułam, jak osuwa się na podłogę. Wtedy dopiero,

zdaje się, krzyknęłam.

Po tej relacji zapanowała krótka cisza. Przerwał ją Lavery.

— Zatem nie widziała pani nikogo? Przecież ten sztylet, który tkwi w jego ciele, nie mógł przyjść sam.

— Nie, nie widziałam nikogo. Byłam strasznie wzburzona. Ktoś musiał zadać ten cios, ale nie widziałam kto.

— Bzdura! Wszystko to bzdura!! — wykrzyknęła Beliamo. — To pani go zabiła!

— Prosiłbym o większe opanowanie — powiedział Lavery spokojnie. — Będzie pani miała jeszcze okazję do wypowiedzenia swojej opinii w czasie dochodzenia.

— Ma pan rację, poczekam, aż zjawi się tu policja! — Wówczas wyjawię, co wiem o tej niewinnej owieczce!

Ewa spojrzała na tancerkę ze zdziwieniem, ale zachowała milczenie.

— Powinni już tu być lada chwila — mruknął Lavery spoglądając na zegarek. Proszę, aby panie przeszły do jadalni. My z Piotrem zostaniemy przy zwłokach.

— Dlaczego, do diabła, jeszcze ich tu nie ma? — mruknął, kiedy kobiety opuściły pokój. — Co w Pontoise powiedzieli Piotrowi?

— Nie zgłaszałem wypadku w Pontoise — odpowiedział spokojnie lokaj.

— Jak to nie w Pontoise? Więc gdzie?

— Nie otrzymałem wyraźnego polecenia, dokąd mam telefonować, więc zadzwoniłem do naszego komisariatu w Paryżu.

— W Paryżu? Dlaczego?

— Lokalna policja jest zwykle niechętna przyby-
szom, zwłaszcza jeśli przysparzają kłopotów. Natomiast
komisarza Allenbecka pan mecenas zna i on zna pana me-
cenasa. Pomyślałem więc, że lepiej będzie, jak ściągnę go
tutaj.

Lavery popatrzył na służącego.

— Hm... — mruknął wreszcie. — Rzadko mi się zda-
rza, żeby ktoś myślał za mnie, w dodatku sensownie. To
nie było głupie. Ale co powiedzą ci tutejsi? Będzie powód
do obrazu.

— Allenbeck już sobie poradzi. Zresztą nadmieniał, że
wstąpi po nich jadąc tutaj. Prosiłem go o przybycie w
imieniu pana mecenasa.

— Dobrze Piotr zrobił, dziękuję.

Lavery założył ręce za plecy i podszedł do otwartych
drzwi wpatrując się w ciemność nocy. Na niebie tysiące
gwiazd drgało mrowiem nikłych światełek. W pokoju pa-
nowała cisza zakłócana jedynie odległym kumkaniem żab.
Nieruchomy kształt na podłodze rysował się wydłużoną,
ciemną bryłą w słabym świetle nocnej lampki.

Wreszcie Lavery obrócił się i spojrzał na służącego.

— Co Piotr sądzi o tym zabójstwie — wskazał głową
leżące zwłoki. — Czy wierzy Piotr oskarżeniom tej tan-
cerki?

— Że zbrodni dokonała panna Fontenay? — Służący
wzruszył nieznacznie ramionami. — Jest to równie moż-
liwe, jak to, że dokonał jej pan mecenas, ja lub któraś z
pań, a może sama panna Sellano?

— Jak to każde z nas? A motyw?

— Znalezienie istotnego motywu ograniczyłoby
oczywiście zasięg podejrzeń, ale nie o to przecież pan
mecenas pytał.

— Na jakiej zasadzie opiera Piotr swoje twierdzenie?
— Czy widzi pan, gdzie leżą zwłoki?
— Oczywiście, w samym rogu pokoju.
— Pomiędzy drzwiami na korytarz i drzwiami do łazienki. Czyli można było go dosięgnąć spoza obu tych drzwi. Policja podchwyci to natychmiast, pan mecenas zobaczy.

— A panna Fontenay istotnie mogła nikogo nie spozstrzec — powiedział cicho Lavery — ale mogła też...

— Tak — potwierdził spokojnie służący — Mogła równie dobrze zauważyć mordercę... — I nie zdradzić go?

— Z sobie wiadomych przyczyn.

— To wszystko nie wyklucza jednak faktu, że i panna Fontenay, broniąc się przed napastnikiem, zadała mu cios.

— To wydaje mi się najmniej prawdopodobne. Wówczas zapewne, pod wpływem wzburzenia, przyznałaby się do czynu. Zresztą skąd znalazłby się na podorędziu sztylet? Nie, jeśli ona popełniła to zabójstwo, zrobiła to z premedytacją, a o to znów trudno tę dziewczynę posądzić.

— Jednak gwałtowność, z jaką atakuje ją Ballano, jest zastanawiająca. Co za dowody przeciw niej może posiadać?

Dalszą rozmowę przerwał zbliżający się warkot samochodu. Z ciemności wytrysnęły dwa kliny światła, a kiedy auto zatoczyło łuk przed domem, omiotły białą poświatą jego ściany, przesunęły się po suficie pokoju i rozjarzyły reflektorami szyby drzwi. Po chwili rozległy się szybkie kroki i na progu stanął barczysty mężczyzna.

— Witam pana, komisarzu! Cieszę się, że zechciał pan przybyć — pośpieszył na powitanie Lavery.

Komisarz Allenbeck w milczeniu przywitał się z adwokatem, potem wskazał na towarzyszącego mu tęgiego jegomościa w mundurze.

— Komisarz Fournier z Pontoise.

Lavery postanowił od razu wziąć byka za rogi.

— Jestem panu winien wyjaśnienie — zwrócił się do prowincjonalnego dygnitarza — w związku z nietaktem, jaki popełnił mój służący. Poleciałem mu wezwać policję w przekonaniu, że zadzwoni do Pontoise. Dopiero potem dowiedziałem się, że zadzwonił do komisarza Allenbecka, któremu podlega dzielnica, w jakiej zamieszkujemy w Paryżu. Oczywiście zmyłem mu głowę za ominięcie władz terenowych, a obecnie pozostało mi tylko złożyć to wyjaśnienie i prosić pana o wyrozumiałość.

Małe oczka komisarza Fourniera zaświeciły w tłustej twarzy.

— Pana służący zrobił dobrze. Znamy się z komisarzem Allenbeckiem i jestem zadowolony, że mogłem go przywitać na swoim terenie — na ostatnich słowach położył nacisk. — Jednakże zgodnie z otrzymanym poleceniem on będzie odpowiedzialny za przebieg śledztwa i on je będzie prowadził.

Allenbeck, nie zwracając uwagi na tę wymianę zdań, badał zwłoki. Potem wstał i otrzepując spod nie, zwrócił się do ekipy technicznej.

— Zdjęcia i pomiary — powiedział krótko. — Ostrożnie z tym kordem. Wątpię, czy znajdziemy na nim odciski, ale proszę zbadać dokładnie. Lekarz ma wkrótce przybyć, po oględzinach niech porozumie się ze mną.

Przeszedł się po pokoju obrzucając wewnątrz uważnym

spojrzeniem. Otworzył drzwi prowadzące do przedłazienkowej sionki i Obejrzał się na Lavery'ego.

— Tędy prowadzi droga do łazienki — wyjaśnił ten.

— Każde dwie sypialnie mają jedną łazienkę.

— Zatem pokoje łączą się ze sobą poprzez tę ubicację?

— Te, które przedziela wspólna łazienka.

Komisarz zamknął drzwi i podszedł do tapczanu, Zatrzymał się chwilę przy nocnym stoliku, a potem wyszedł na taras. Po chwili błysnął stamtąd snop światła ręcznej latarki. Światło to przez chwilę biegało w różne strony, a potem zniknęło z ciemnego tła otwartych drzwi.

Wkrótce Allenbeck wrócił do pokoju.

— Może przejdziemy teraz do reszty towarzystwa? Zdaje się, że panie są w stołowym pokoju? Kolego Fournier, pan nam nie odmówi swego towarzystwa? Nasi technicy dadzą sobie radę i bez nas.

— Dobrze, idziemy — zgodził się Fournier.

— Rzeczy znalezione przy zmarłym proszę mi dostarczyć możliwie szybko — rzucił Allenbeck, zapraszając gestem Lavery'ego i Piotra do wyjścia.

Żyrandol jasno oświetlał pokój. Wokół jego żarówek latały ćmy. Twarze kobiet pozbawione makijażu wyglądały blado i mizernie. Nikt się nie odzywał.

Allenbeck siadł przy stole i położył przed sobą notatnik, Fournier z założonymi na plecach rękami stał obok kołyszając się na rozstawionych nogach. Jego małe oczka przesuwwały się kolejno po twarzach.

— W czym pokoju nastąpiło zabójstwo? Proszę o przebieg wypadków.

Ewa powtórzyła swoją relację. Była już opanowana i mówiła spokojnie. Dopiero przy końcu głos się załamał.

— Czy pani знаła zabitego?

- Tak.
- Od dawna?
- Od kilku miesięcy.
- Jak się nazywa?
- Filip Volbert.
- Pani personalia?

Podczas kiedy dziewczyna je podawała, Allenbeck szybko pisał w notesie.

— Zmarły był wszystkim znany? — uniósł głowę i spojrzął po obecnych.

— Nie, panie komisarzu — zabrał głos Lavery. — Ja nie znałem pana Volberta, aczkolwiek to nazwisko obito mi się o uszy.

— Kto prócz panny Fontenay znał zmarłego?

Wystraszone spojrzenie Alicji mimo woli pobiegło w stronę służącego. Stał on z boku, jednak spojrzenie to nie uszło jego uwagi, gdyż odpowiedział nań ledwie dostrzegalnym, zaprzeczającym ruchem głowy.

— Ja znałam go również — odezwała się panna Bellano.

— Dawno?

— Od kilku lat.

— Zatem zmarłego znały tylko dwie osoby. Zabójstwo, jak wynika z, relacji panny Fontenay, zostało popełnione około 23.20. Czy wszyscy mieszkańcy tego domu są na miejscu?

— Wszyscy, prócz naszej kucharki.

— Chwilowo nie będzie nam potrzebna. Gdzie państwo znajdowali się, gdy rozległo się wołanie?

Głos zabrał Lavery.

— Rozeszliśmy się krótko przed jedenastą. Ja byłem w swoim pokoju.

— Czy wspólnie z małżonką?

— Nie. Zajmujemy oddzielne pokoje.

- A pani? — Allenbeck zwrócił się do Alicji
- Byłam również w swoim pokoju.
- Pani Bellano?
- W łazience.
- Gdzie są poszczególne sypialnie?
- Moja obok panny Fontenay.
- Gdzie pan się znajdował? — Allenbeck zwrócił się do służącego.
- Kończyłem sprzątanie po kolacji w tym pokoju.
- Wynika z tego, że każdy z mieszkańców był sam. Nikt nie zabrał głosu. Komisarz Fournier głośno sapnął. W tej chwili wszedł funkcjonariusz i położył przed Allenbeckiem owiniętą w papier paczkę.
- Przedmioty znalezione przy zmarłym.
- Dziękuję. Czy jest coś ciekawego?
- Raczej nie, prócz tej kartki, którą znaleźliśmy w bocznej kieszeni marynarki.
- Allenbeck przeczytał kartkę i wsunął ją do notesu.
- Proszę zebrać odciski palców obecnych osób — polecił urzędnikowi, po czym zwrócił się do towarzystwa:
- Będą państwo musieli poddać się tej formalności. Tymczasem poproszę o personalia. — Spisywał je szybko. Konsternacja nastąpiła dopiero w czasie zeznań tancerki.
- Czy to jest pani właściwe nazwisko, czy sceniczne?
- Sceniczne — odparła cicho Bellano.
- A rzeczywiste? Kobieta milczała.
- Słucham panią — przynaglił.
- Volbert...

W przeciwieństwie do obecnych, komisarz przyjął odpowiedź bez wrażenia.

— Czy zmarły był pani krewnym?

— Był moim mężem.

— Od dawna?

— Od trzech lat.

— Czy zaproszenie do tego domu nie objęło pani męża?

Tancerka opowiedziała szczegóły swego przybycia. Komisarz słuchał nie przerywając, a kiedy skończyła, jakiś czas siedział zamyślony bawiąc się ołówkiem.

— Mimo chorej nogi szła pani piechotą przeszło kilometr tylko dlatego, aby obejrzeć posiadłość państwa Lavery? — spytał z uśmiechem.

— Tak... byłam ciekawa...

— Pani Volbert — Allenbeck przestał się uśmiechać — takie wyjaśnienia mogą być wystarczające na gruncie towarzyskim, ale policja jest bardziej wymagająca. W pani interesie leży, abym usłyszał prawdę. Ostrzegam przed odpowiedzialnością za wprowadzenie mnie w błąd!

Wargi kobiety zaczęły drgać.

— Ja... powiem wszystko... Filip stracił głowę dla tej dziewczyny, to znaczy dla panny Fontenay, i wcale nie krył się z tym przede mną. Byłam rozgoryczona i... wzburzona. Kiedy więc wczoraj znalazłam w jego kieszeni kartkę panny Fontenay z wezwaniem do Pontoise, postanowiłam go uprzedzić i nie dopuścić do ich spotkania.

— Moją kartkę? — wykrzyknęła Ewa. — To niemożliwe!!

— Tę kartkę doręczono panu komisarzowi przed chwilą. Włożyłam ją z powrotem do kieszeni, by nie obudzić jego podejrzeń.

— To jakieś straszne nieporozumienie! Ja żadnej

kartki nie pisałam! Chcę ją zobaczyć! — Ewa zerwała się z fotela i stanęła przed komisarzem.

— Chwileczkę, proszę pani — powstrzymał ją gestem ręki, po czym sięgnął do notesu.

— Kartka pisana jest na maszynie, u dołu widnieje podpis „Ewa”. Treść jest następująca:

„Jestem w Ponteose. W niedzielę wieczorem zaczekaj, aż znajdę się u siebie”.

— Więc pani stwierdza, że ta kartka nie pochodzi od pani?

— Stanowczo nie!

— Czy wysłanie takiej kartki mogło skłonić Volberta do przybycia?

Ewa nie odpowiedziała od razu. Rozumiała intencję postawionego pytania i wyczuła, że oczy wszystkich obecnych są skierowane na nią.

— Nie potrafię na to odpowiedzieć — rzekła wreszcie. — Pan Volbert istotnie okazywał mi zainteresowanie. Nie wiem jednak, czy przyjechałby, gdybym go wezwała kartką takiej treści. Nie byliśmy w tak bliskich stosunkach, żeby to mogło wystarczyć.

— Okazuje się, że wystarczyło — mruknął Fournier.

— To wszystko jest zawracanie głowy! — wybuchnęła nagle tancerka. — Udaje niewiniątko, ale wie, że ten dziwkarz palił się do niej! To ona go zabiła!

— Spokój! — Głos Allenbecka zabrzmiał ostro. — Nie pytam pani o zdanie i nie życzę sobie, aby mi przerywano — dokończył już spokojniej. — Pani Volbert, radzę uważać przede wszystkim na siebie! — Słowa te zabrzmiały jak groźba.

— Dlaczegoż to, panie komisarzu? — Bellano zmrużyła impertynencko oczy i zmierzyła Allenbecka

wyzywającym spojrzeniem.

Ten wstał z krzesła i stanął przed zebranymi. Zanim przemówił, spojrzął kolejno po wszystkich. Alicja uciekła spojrzeniem przed tym badawczym wzrokiem, Ewa przyglądała się swym nocnym pantoflom, Bellano odwzajemniła się wrogim błyskiem oczu. Lavery stał obok fotela żony z ironicznym uśmiechem na twarzy. Oblicze służącego wyrażało obojętność i cierpliwą rezygnację.

— Otóż sytuacja tak się przedstawia — odezwał się Allenbeck — że nikt z obecnych tutaj nie jest wolny od podejrzeń, nikt bowiem nie ma alibi na czas popełnienia zabójstwa. To jest aspekt pierwszy. A jeśli chodzi o samo zabójstwo, mogła je oczywiście popełnić panna Fontenay, ale równie dobrze i każde z was...

— Jak to? — wykrzyknęła Alicja.

— Volbert został zabity w narożniku pokoju, gdzie znajduje się dwoje drzwi. Jedne prowadzące na korytarz, drugie bezpośrednio do łazienki. Załóżmy teraz, że to nie panna Fontenay popełniła morderstwo, i zastanówmy się, czy to jest możliwe? Ze względu na położenie zwłok okaże się, że taka ewentualność jest równie prawdopodobna. Jak mogłoby się to odbyć? A więc ktoś podsłuchuje pod którymiś z tych dwojga drzwi, potem je uchyla i zadaje cios. Przypuszczam, że mógł tego dokonać wyciągniętym ramieniem, nawet nie przekraczając progu. Panna Fontenay, zaabsorbowana walką z napastnikiem, niczego nie zauważa.

— Świetnie! — mruknął z uznaniem Lavery.

— Skoro weźmiemy pod uwagę — ciągnął komisarz — znane nam okoliczności, możemy również założyć, że to żona zabitego popełniła ten czyn, wie bowiem, dokąd

i po co udaje się jej mąż. Zjawia się na miejscu wcześniej, uzyskuje zaproszenie pod bardzo naciągniętym, pretekstem, a potem pełna nienawiści czatuje pod drzwiami ze sztyletem w ręku. Uderza i, wycofuje się do swojego pokoju. — Allenbeck urwał raptownie i wyciągnął wskazujący palec w stronę tancerki.

— Tak było! — rzucił ostro.

Bellano pod wpływem tego nagłego oskarżenia zerwała się na nogi z histerycznym krzykiem.

— Nie! Nie! Ty głupcze! A kartka? Czy też ją napisałam? Po jaką cholere miałabym ją pisać! Mogłam go łatwo zakłuć w domu, bez tego cyrku!

Głos komisarza zabrzmiał nieoczekiwanie spokojnie.

— To był tylko jeden z możliwych wariantów. Chodziło mi o to, aby wykazać, że nie tylko panią Fontenay możemy podejrzewać. Sprawca jest między wami, a kto nim jest, wykaże dalsze śledztwo.

Ewa zabrała głos.

— Twierdzenie, że sprawca musi znajdować się między nami, również nie wydaje się takie niezbite. Ślady, które widzieliśmy w ciągu dnia, podważają to założenie.

— Ślady? — zainteresował się komisarz. — O co chodzi?

Lavery udzielił wyjaśnień.

— Należy je zaraz zbadać, jeżeli się jeszcze nie zatarły — zaproponował Fournier.

— Niech pan wyda odpowiednie polecenie, kolego. Może pan Lavery wskaże miejsce, a my przez ten czas zbierzemy odciski palców.

Zabieg przeszedł szybko i w milczeniu. Jeszcze w czasie dokonywania tych czynności wrócił Fournier z adwokatem.

— Nic z tego. Nawet nie było co zdejmować. Oświetliliśmy dokładnie teren, ale ślady już się pozacierały, a poza tym pan Lavery niestety je zdeptał — oświadczył komisarz.

— Moja wina — przyznał Lavery — ale nie przywiązywałem do tego faktu większego znaczenia i właśnie w tym miejscu wchodziłem i wychodziłem z wody podczas kąpieli.

Fournier machnął ręką.

— Do tej pory i tak nic by już z nich nie zostało. Mimo wilgoci piasek osypuje się szybko na krawężniach i pozostają tylko wgłębienia.

— Przypuszczani, że ślady te, jeśli nie zostawił ich jakiś rybak lub włóczęga, jak pan zakłada, pochodzą nie od ewentualnego mordercy, lecz od zamordowanego.

— Jak to? — W głosie Lavery'ego zadrgało zdumienie.

— Nie znając tej miejscowości przybył tu zawczasu na rekonesans, by za dnia zorientować się w położeniu domu. Z kartki nie wynikało również, który pokój zajmuje panna Fontenay. Ciemności nocy sprzyjają nie wszystkim poczynaniom, chciał więc za dnia rozeznać się w sytuacji.

— To możliwe, ale — jeśli to nie panna Fontenay piła tę kartkę — równie możliwe jest, że w ten sposób Volbert został tu zwabiony, a morderca ukrywał się obserwując dom.

— Po co morderca miałby tak komplikować sobie zadanie, aby aż tutaj ściągać swoją ofiarę?

Lavery słuchał z opuszczoną głową. Wyjął papierosa i jakiś czas kręcił go w palcach.

W tej chwili do Allenbecka podszedł funkcjonariusz. W rękę niósł kord, trzymając go za długie i wąskie ostrze.

Położył go przed komisarzem i nachylił się nad jego uchem.

Allenbeck w milczeniu potakiwał głową. Potem sięgnął po ołówek i przez pewien czas robił notatki. Wreszcie mruknął „dziękuję” i zwrócił się do obecnych.

— A więc, proszę państwa, oto broń, od której zginął Volbert. Jest to niemiecki kord noszony przez oficerów lotnictwa. Czy ktoś zna ten przedmiot?

— O Boże! — Okrzyk Ewy był odpowiedzią na to pytanie.

— Pani poznaje ten kord?

— To jest mój sztylet! — powiedziała łamiącym się głosem. — Lub taki sam, jaki mam w biurze do rozcinania papieru. Pamiątka z wojny, którą otrzymałam już dawno.

— I używała go pani w biurze?

— Tak.

— Czy dopiero teraz pani go spostrzegła? Przecież tkwił w ranie!

— Nie przyglądałam się dokładnie zwłokom, zresztą światło było słabe i rzucało cienie.

— Możliwe. Czy sztyletu tego używała pani do ostatnich dni?

Dziewczyna zawahała się.

— Nie. Teraz sobie przypominam, że już od pewnego czasu nie miałam go w ręku, ale nie zwróciłam na to uwagi. Sądziłam, że gdzieś leży i znajdzie się sam.

— No i znalazł się — mruknęła Bellano.

— Tak. Ale to jeszcze nie wszystko. Na rękojeści tej broni znaleźliśmy odciski palców tylko jednej osoby. Mia-nowicie — pani.

Dziewczyna opuściła głowę, przykładając dłońe do

skroni. Zaczęła coś szeptać do siebie, ale można było zrozumieć tylko poszczególne słowa.

— To on... człowiek z Montfort... ostrzegano mnie...

Pusta filiżanka po kawie upadła na podłogę i rozbiła się z hukiem na drobne kawałki. Skonfundowany służący schylił się i zaczął szybko zbierać skorupy. Kiedy wyprostował się, rzucił przeproszającym tonem:

— Państwo wybaczą. Stała na samym brzegu stolika i niechcący ją strąciłem.

— Głupstwo — rzucił zdawkowo Allenbeck — proszę gdzieś odłożyć te skorupy. A panią, panno Fontenay, jestem zmuszony...

— Pan komisarz wybaczy — wtrącił nieoczekiwanie Piotr. — Czy mogę coś powiedzieć?

Allenbeck spojrzał na lokaja i zamilkł wyczekująco.

— Przepraszam, że zabieram głos. — Piotr mówił cicho, nie patrząc na nikogo. — Ale sprawa wydaje mi się ważna. Otóż właśnie przyszło mi na myśl, że kartka jest w pewnym sensie dowodem, że to nie panna Fontenay popełniła to zabójstwo.

— No... no... A dlaczegoż to?

— Bo gdybym chciał kogoś zabić, nie posyłałbym wezwania z podpisem.

— Czyn został popełniony pod wpływem impulsu, niekoniecznie musiał być przewidziany! — prychnął Fournier.

— Przeczy temu kartka. A poza tym czy taki niewygodny do noszenia sztylet zabrano również pod wpływem impulsu?... — powiedział Piotr spokojnie i równie cicho.

Komisarz Allenbeck nie zabierał głosu. Rozpoczął spacer po pokoju przyglądając się w przejściu rozwieszanej

na ścianach ceramicie. Wreszcie zatrzymał się nagle przed służącym i zmierzył go wzrokiem.

— Podając mi tę pigułkę, chciał pan wstrzymać moją decyzję, co?

Służący skłonił się lekko. — Tak było istotnie.

— Bo bezpieczniej będzie, jak panna Fontenay pozostanie na wolności niż w rękach policji?

— Jak dla kogo — mruknął w odpowiedzi lokaj.

Allenbeck podrapał się po nosie.

— No dobra, przemyślimy sobie to wszystko — spojrział na zegarek. — Zaraz będzie świtać, zwalnim teraz, państwa na kilka godzin snu, zabraniam jednak opuszczać dom. Resztę rozmów odbędę rano. Kolego Fournier, zostawcie mi dwóch ludzi, resztę zabierajcie.

Istotnie niebo zaczęło nabierać seledynowej barwy. Pierwszy, ledwie jeszcze widoczny brzask wydobywał już z ciemności kontury drzew.

Ewa zrezygnowała z zastępczej sypialni, przyjmując gościńnię w pokoju Alicji. Kiedy mijala służącego, rzuciła mu cicho:

— Dziękuję, Piotrze.

Zamiast odpowiedzi lokaj uniósł jedynie brwi do góry. Co miał oznaczać ten gest, nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

Komisarz Allenbeck otrzymał pokój do swojej dyspozycji. Piotr przygotowywał właśnie prowizoryczne posłanie, kiedy zjawił się na progu. Podeszedł do otwartego okna i najpierw wyjrzał na zewnątrz, a potem zamknął je starannie. Następnie obrócił się do służącego.

— Doskonale się składa, że właśnie jesteś. Pogadamy sobie teraz w cztery oczy... Jak na mój gust zbyt często spotykam cię, braciszku, w podobnych okolicznościach.

Teraz dla odmiany zostałeś służącym.

Słowa brzmiały przyjaźnie, lecz wyraz twarzy komisarza nie harmonizował z jego żartobliwym tonem.

Światła dawno już pogasły we wszystkich pokojach. Jedyne z sypialni Allenbecka sączyło się ono wąską strużką spod wychodzących na korytarz drzwi.

Gdy zgasło, mroczny cień przesunął się przez korytarz. Dopadł telefonu i cichym, ale nagłym tonem zamówił błyskawiczną rozmowę z Marsylią. Potem aparat został nakryty kocem, a człowiek pozostał przy nim w cierpliwym oczekiwaniu, by na pierwszy sygnał natychmiast podnieść słuchawkę.

O siódmej rano komisarz Allenbeck, rzeński, ale niezbyt wypoczęty, stwierdził, że postawione wieczorem posterunki tkwiły na swoich miejscach. Reszta nocy minęła spokojnie i obecnie zmęczeni ludzie wyczekiwali na zmianę.

Komisarz skierował się do bawialnego pokoju. Krzątał się tu służący nakrywając do śniadania.

— Dzień dobry, panie komisarzu — lokaj obrzucił Allenbecka szybkim spojrzeniem — zaraz podam śniadanie.

— Żadnego śniadania, nie jestem tu gościem! — Tym razem słowa zabrzmiały opryskliwie.

Piotr nie wyglądał jednak na speszonego.

— Przepisy przepisami — powiedział spokojnie — ale na czczo źle się pracuje.

Uwaga nie była pozbawiona słuszności, toteż Allenbeck okazał skłonność do ustępstw.

— Mogę co najwyżej wypić filiżankę kawy — mruknął. — Nic poza tym. Zaraz przyjedzie Fournier ze zmianą, coś mi na pewno przywiozą.

— Jak pan sobie życzy. Kawę zaraz przyniosę.

Allenbeck podszedł do okna i wyglądał w milczeniu. Po chwili odwrócił się.

— Niech to diabli! Jeśli ty maczałeś w tym palce, a teraz zacierasz ślady i dziewczyna skutkiem tego wymknie mi się z rąk, to mnie popamiętasz!

— Pan komisarz raczy żartować.

Allenbeck miał ochotę odpowiedzieć coś dosadnego, jednak wejście Lavery'ego zamknęło mu usta.

— Dobrze, że pan jest — zwrócił się do niego. — Chcę panu zaproponować mały spacer.

— Jestem do usług — odparł uprzejmie Lavery.

Wyszli przed dom i skierowali się w stronę rzeki.

— Zatem — zreasumował Allenbeck, kiedy po chwili zawrócili ku domowi — nic pan nie może wnieść do sprawy... Volberta pan nie znał...

— Nie.

— Pańska małżonka zapewne również nie? — Spod na wpół opuszczonych powiek padło szybkie, badawcze spojrzenie, którego Lavery, zdawało się, nie spostrzegł.

— Chyba nie. W każdym razie nigdy mi o nim nie wspominała.

— Kto pierwszy znalazł się w pokoju tej dziewczyny?

— Moja żona i służący już tam byli, kiedy przybiegłem. W chwilę potem zjawiła się Bellano.

Weszli na taras.

— Zatem dziękuję panu, mecenasie. Spodziewałem się więcej po naszej rozmowie, no, ale trudno. Widzę, że nadjeżdża Fournier, więc pana pożegnam.

Lavery zniknął w domu, a komisarz skierował się w stronę nadjeżdżających samochodów.

Kolejno prowadzone rozmowy zastąpiły wczorajsze ogólne przesłuchanie. Kiedy ciało zostało zabrane i odjeżdżająca sanitarka skryła się za obłokiem kurzu Allenbeck rozejrzał się dookoła.

Dom oblewało pełne słońce nadchodzącego południa, a drzewa dokoła stały nieruchomo pławiąc się w upalnym powietrzu. Nie było widać nikogo, wszędzie panował spokój. Wydawało się nieprawdopodobne, że właśnie w tym uroczym zakątku tak niedawno rozegrał się dramat.

Komisarz jeszcze raz obejrzał teren wokół domu. Otaczał go twardy, ubity żwir, na którym nie mogły pozostać żadne ślady. Hipoteza, że sprawca przyszedł z zewnątrz, była nie do sprawdzenia.

Allenbeck wszedł pomiędzy drzewa i natknął się na pannę Bellano. Siedziała w leżaku, zasłonięta od strony domu krzakami.

— Pragnienie samotności?

— Konieczność — odparła tonem niezbyt zachęcającym do rozmowy. — Po wczorajszym występie niezbyt mnie tu lubią — dodała szczerze.

— Sama sobie pani winna. — Komisarz przysiadł na leżącym obok kamieniu. — Należy panować nad nerwami, tym bardziej jeśli pani sama jest równie podejrzana.

— Mówi pan tak, aby mnie nastraszyć, ale wiecie dobrze, że tego nie zrobiłam.

— Dlaczegoż mamy to tak dobrze wiedzieć?

— Chyba i dla policji musi być jasne, że mordercą jest autor tej kartki. Gdybym chciała zabić Filipa, nie musiałabym ani jej pisać, ani go tu wciągać.

— Nie jestem taki pewny. Panna Bellano, pałając nienawiścią do rywalki i męża, postanawia pozbyć się wiarołomnego małżonka, ale w taki sposób, aby całą winę

zwalić na rywalkę. Co wówczas robi? Píše kartkę podpisując ją imieniem tamtej, wciska się do jej towarzystwa i oczekuje na okazję z zawczasu ukradzionym sztyletem. Resztę wiemy. Co pani na to, pani Volbert?

— Zwykle duperele, panie komisarzu — odparła krótko tancerka.

Komisarz roześmiał się.

— Tkwi w nich jednak dużo sensu. Powiedziałem to dlatego, by uprzytomnić pani, że obie jesteście równie podejrzane.

— Przynajmniej jestem w dobrym towarzystwie — rzuciła zjadliwie panna Ballano. — Jak długo ma pan zamiar nas tu trzymać?

— Przypuszczam, że za kilka godzin będziemy mogli się rozstać — oczywiście chwilowo.

— Nie spodziewam się niczego innego — burknęła.

— Proszę mi teraz odpowiedzieć na parę pytań. Jeśli odpowiedzi będą wyczerpujące, może zwolnię panią od razu po tej rozmowie.

— Wał pan.

— Czy prowadziliście ze zmarłym wspólny dom?

— Nie. To małżeństwo było największym nonsensem, jaki dotąd popełniłam. Ja przebywałam w różnych miastach i krajach, w zależności od kontraktów, Filip zaś mieszkał stale w Paryżu.

— A w czasie kiedy występowała pani w tym mieście?

— Wówczas mieszkaliśmy wspólnie. Również wtedy, kiedy miałam przerwy w pracy.

— Ale nie uchodziliście za małżeństwo?

— Nie. Na żądanie Filipa. Zresztą nie byłam temu przeciwna, gdyż w naszej branży tak jest lepiej.

— Kto był pani agentem?

— Mond.

— Pani zatem zna jego biuro?
— Oczywiście. Bywałam u niego nieraz. I właśnie podczas jednej z takich wizyt ukradłam ten zakichany sztylet!

— Tego oświadczenia nie będę uważał za przyznanie się — uśmiechnął się Allenbeck.

— Na tyle doceniam pańską inteligencję.

— Mam poczucie humoru, ale do pewnych granic, radzę to mieć na uwadze — powiedział spokojnie komisarz. — Z czego żył pani mąż?

Bellano wzruszyła pięknymi ramionami. — Nie mam pojęcia. Nigdy mi się nie zwierzał. Miał na ogół pieniądze i nie interesowałam się, skąd je ma.

— Nigdy to pani nie zastanawiało?

— Może i tak, ale przypuszczałam, że robi interesy.

— Czy nic pani nie nasuwało podejrzeń, że są to interesy niezbyt czyste?

Tancerka milczała przez pewien Czas.

— Tak — przyznała wreszcie — były chwile, że miałam takie podejrzania.

— Na czym oparte?

— Trudno mi określić. Urywki zdań w rozmowach, niektóre telefony odbierane w czasie jego nieobecności, wreszcie strzępy opinii, jakie na przestrzeni tych kilku lat objęły mi się o uszy.

— Czy szantaż również wchodził w grę?

Znów chwila milczenia, a potem krótka odpowiedź.

— Chyba tak.

— Skąd to przypuszczenie?

— Był taki jeden telefon, przeszło rok temu. Filipa nie było w domu, dzwoniła jakaś kobieta. Kiedy powiedziałam, że mówi jego żona, zaczęła histerycznie krzyczeć, że ma tego dość, że nie da więcej ani grosza, a

jeśli nastąpią dalsze groźby, oskarży go o szantaż...

— Powtórzyła pani tę rozmowę mężowi?

— Powtórzyłam.

— Jaka była reakcja?

— Obrócił wszystko w żart, mówiąc, że to są skutki robienia interesów z wariatkami.

— Co robił mąż przez cały wczorajszy dzień?

— Nie wiem. Wyszedł z domu około południa bez wyjaśnień. Nie pytałam go nawet, bo po przeczytaniu tej kartki byłam wściekła i nie chciałam z nim rozmawiać.

— Czy wiedział, że czytała pani tę kartkę?

— Chyba nie. Po wyjściu Filipa pozostałam w domu rozmyślając nad sytuacją. Potem postanowiłam udać się do Pontoise i wykorzystując przelotną znajomość z Laverym, uzyskać zaproszenie na noc. Chciałam ich nakryć, by skompromitować tę dziewczynę. To było celem mego przybycia tutaj. Zadzwoiłam do Casino i pod pretekstem chorej nogi odwołałam występ. Potem zjadłam na mieście obiad i przyjechałam do miasteczka. W pociągu obmyślałam sobie jeszcze szczegóły, no i wpadłam w ten cały kompot.

— Hm — Allenbeck przez chwilę obserwował widoczny pomiędzy krzakami fragment rzeki. Widział, jak refleksy słońca skakały po sunącym nurcie, a w pobliżu brzegu nenufary wystawiały z wody swoje główki w otokach zielonych listków. Obserwował ich białe kielichy i żółte wnętrza.

„Wyglądają jak jajka na twardo, przecięte na pół” — pomyślał mało romantycznie, potem wrócił myślą do nurtującego go problemu i powiedział:

— Muszę dokonać rewizji w waszym mieszkaniu. Wydam odpowiednie dyspozycje, jeśli wyrazi pani pisemną zgodę.

— A jeśli nie zgodzę się?

— Będę zmuszony zatrzymać panią do czasu uzyskania zezwolenia na rewizję. Dziś jest niedziela, więc dopiero jutro mogę to zezwolenie otrzymać.

— Musiałabym zatem spędzić noc w areszcie? Czy nie jest to presja, panie komisarzu?

— Raczej ustępstwo z mojej strony. Formalnie powinienem panią zatrzymać. Nie może pani znaleźć się sama w mieszkaniu, które służyło zabitemu, przed dokonaniem tam rewizji.

Panna Bellano wyduła wargi.

— Zgadzam się, niech pan wyda odpowiednie polecenia.

— Pojedzie pani w towarzystwie urzędnika po cywilnemu. Moi ludzie będą czekać na was na dworcu i udacie się razem na miejsce. Oczywiście dokonanie rewizji nastąpi w pani obecności.

— A potem?

— Potem poproszę, aby meldowała się pani co dzień u mnie w biurze, powiedzmy o godzinie jedenasta rano.

— O jedenastej mam zwykle próbę.

— Zatem o dziesiątej trzydzieści. Proszę teraz przygotować się do powrotu, a ja wydam tymczasem telefoniczne dyspozycje.

Wstał z kamienia. Bellano obserwowała go przez chwilę spod oka, potem bez słowa podniosła się również i ruszyła ku domowi.

— Wołanie panny Fontenay rozległo się, kiedy pani była u siebie? — Allenbeck poprawił się w fotelu i zaczął wachlować kapeluszem.

— Wróciłam z łazienki i właśnie miałam się położyć.

— Alicja siedziała przy otwartym oknie, z drugiej strony toalety.

— Czy będąc w łazience słyszała pani jakieś odgłosy dochodzące z pokoju męża?

— Ten dom nie jest akustyczny — padła zimna odpowiedź.

— Jednak krzyk panny Fontenay pani usłyszała?

— Miałam na myśli zwykłe natężenie głosów. Ewa krzyknęła głośno.

— Czy pani знаła przedtem pana Volberta? — pytanie rzucone było od niechcienia.

— Nie, nie znałam.

Allenbeck przestał się wachlować i jakiś czas spoglądał na siedzącą obok kobietę. Alicja opuściła wzrok i czekała na dalsze pytania. Ponieważ milczenie przedłużało się, popatrzyła na komisarza i zetknęła się z jego spojrzeniem. Ujrzała szare oczy o poważnym, nieco surowym wyrazie. W utkwionym w nią wzroku dostrzegła raptem współczucie i serce jej przeniknął lęk. Ten człowiek wiedział — on znał prawdę!

— To Piotr — wyjąkała. — To on panu powiedział...

— Piotr? — Nieważne, skąd to wszystko wiem. Pana Volberta już dawno mamy na oku i wiemy więcej, niż pani przypuszcza.

Alicja ukryła twarz w dłoniach i cicho płakała.

— Proszę się uspokoić — Allenbeck nachylił się i położył dłoń na ramieniu kobiety — Ta sprawa pozostanie między nami.

Opuściła ręce i poprzez łzy spojrzała na komisarza.

— Czy mogę na to liczyć?

— Może pani. To moja zawodowa powinność. Od jak dawna panią szantażował?

— Już blisko rok.
— Hm. Kawał czasu.
— Tak. Cały rok ustawicznego lęku, rok umierania ze strachu...

— Co było podłożem szantażu?
— Pewien mój lekkomyślny krok.
— Mianowicie?

Alicja jakiś czas walczyła ze sobą, wreszcie padło wyznanie.

— Zdradziłam męża.
— Skąd Volbert o tym się dowiedział?
— Bo... bo to był właśnie on...
— Czy mąż niczego się nie domyślał?
— Dlaczego pan pyta?
— Snuję przypuszczenia. Jeśli ta historia dotarła do jego wiadomości, to wówczas...

— Byłby to nowy motyw zabójstwa. To pan ma na myśli? Nie, gdyby Ben dowiedział się o tej sprawie, jego zemsta osiągnęłaby przede wszystkim mnie! Zresztą jest wykluczone, bym nie zorientowała się, że on coś wie...

— To zabójstwo uwolniło panią od zmory ostatnich czasów... — rzucił po chwili Allenbeck wachlując się kapeluszem ze zdwojoną energią.

Alicja zdawała się nie spostrzegać, jakie znaczenie może mieć ta wypowiedź, gdyż spytała tylko:

— Czy tak pan sądzi?
— Wątpi pani? — zdziwił się Allenbeck.
— Obecnie nie jestem już taka pewna, że to Filip mnie szantażował.

— A któż w takim razie?
— Nasz służący Piotr...

Allenbeck gwizdnął cicho, ale nie odpowiedział.

— Na czym pani opiera to przypuszczenie? — zapytał po dłuższym namyśle.

Opowiedziała mu incydent z listem.

— Miał zatem do pani pretensję, że nie zniszczyła pani listu?

— Był przy tym niesłychanie napastliwy i arogancki.

— A to stary łobuz! — powiedział tylko Allenbeck, po czym rzucił kolejne pytanie:

— Sądząc z pani wątpliwości, nie wiedziała pani, komu wręcza pieniądze?

— Nie.

— Jak się to odbywało?

Alicja opisała przebieg spotkań.

— Tych listów pani nie ma?

— Nie. Prócz ostatniego, który zabrał Piotr.

— No, z Piotrem to sobie poradzimy! Kiedy pani ostatni raz widziała zmarłego?

— Już bardzo dawno. Nie spotykałam się z nim od czasu tamtej historii.

— Zna pani jego adres?

Alicja rzuciła zaniepokojone spojrzenie.

— Tak, znam... Podał mi go jeszcze wówczas... Ale nigdy nie korzystałam z tej wiadomości.

— Jakie stosunki łączą panią z panną Fontenay?

— Jest moją serdeczną przyjaciółką.

— Pracuje w agencji Monda?

— Tak. Jest jego sekretarką.

— Czy pani zna Monda?

— Dość powierzchownie, ale znam.

— Gdzie go pani poznała?

— O ile sobie przypominam, w jakimś lokalu, przez męża. Potem parę razy był u nas.

— Czy łączy go z mężem jakieś interesy?

— Wiem tylko, że Ben jest doradcą prawnym jego agencji.

— Czy pani odwiedzała pannę Fontenay w biurze?

— Parę razy.
— Dawno to było?
— Ostatni raz ze trzy miesiące temu:
— Na tym na razie zakończymy tę rozmowę. Za parę godzin cofnę zakaz opuszczania tego domu pod warunkiem, że będę mógł osiągnąć państwa w każdej chwili w Paryżu.

Komisarz wstał z fotela.

— Przed wyjazdem poproszę o wręczenie mi kluczy od domu — powiedział kierując się ku drzwiom.

Panna Bellano opuściła towarzystwo jeszcze przed lunchem. Przeszedł on w ciężkim nastroju. Rozmowy przy stole ograniczały się do słów rzuconych z konieczności. Piotr usługiwał jednak jak zwykle sprawnie i czujnie.

Kiedy posiłek się skończył, Alicja natychmiast wstała.

— Wybaczcie, że was opuszczam — powiedziała z przepraszającym uśmiechem — ale źle się czuję. Piotrze, proszę o kawę do mego pokoju.

Kiedy opuszczała bawialnię, Ewa zauważyła, jak odprowadziło ją zatroskane spojrzenie Lavery'ego.

W tej chwili na progu pojawił się komisarz Allenbeck.

— Jestem zmuszony prosić panią o chwilę rozmowy — zwrócił się do Ewy. Ta wzdrygnęła się.

— Może przeszkadzam? — Lavery uniósł się nieco z krzesła.

— Nie, proszę się nie fatygować, zabieram pannę Fontenay ze sobą.

Allenbeck przepuścił dziewczynę i nie odzywał się, zanim nie zamknął drzwi jej dawnej sypialni.

— Musiałem panią zaprosić tutaj, choć zdaję sobie

sprawę, że taki zabieg nie należy do przyjemności, ale musimy odtworzyć sytuację. Chcę jednak uzyskać od pani pewne dodatkowe szczegóły.

— Jestem strasznie zdenerwowana tym wszystkim — powiedziała cicho dziewczyna — i... boję się, czy zdołam zapanować nad sobą. — Broda jej zaczęła drżeć niepokojąco.

— No... no... proszę się uspokoić — powiedział do brodusznie komisarz. — Nie będę pani dręczył ponad konieczność.

Przełknęła łyżę i spróbowała się uśmiechnąć.

— Proszę się dobrze zastanowić — ciągnął Allenbeck. — Chcę możliwie dokładnie wiedzieć, gdzie pani znajdowała się w chwili, gdy Volbert upadł na podłogę?

Ewa rozejrzała się po pokoju.

— Tu — wskazała miejsce w narożniku pomiędzy drzwiami.

— Hm... Więc pani stała plecami do rogu pokoju?

— Tak. Cofałam się przed nim, aż znalazłam się tutaj.

— Zatem miała pani drzwi od łazienki po lewej stronie, a korytarzowe po prawej?

Ewa spojrzała na boki.

— Tak, panie komisarzu.

— Dobrze. Teraz stanę na pani miejscu, ot tak, a pani zechce mi odtworzyć sytuację. No, proszę, proszę. Niech się pani nie krępuje i pokaże, jak panią obejmował. No śmiało, jestem tylko manekinem... Dobrze, dziękuję, to mi wystarczy.

Ewa cofnęła się lekko zarumieniona.

— Trochę zaczynam rozumieć tego nicponia — powiedział Allenbeck spoglądając żartobliwie na dziewczynę, co sprawiło, że jej rumieniec stał się intensywniejszy.

— Czy na pewno dokładnie w takiej pozie znajdowaliście się wówczas?

— Jestem tego zupełnie pewna.

— Volbert miał więc z kolei drzwi do łazienki z prawej strony, a korytarzowe z lewej?

— Tak.

— To wyjaśnia nam pewne rzeczy. Jest niemożliwe, aby cios mógł być zadany spoza tych drzwi, jeśli morderca nie wszedł do pokoju. Wtedy zaś musiał ukazać się w pani polu widzenia...

— Co pan chce przez to powiedzieć? — rzuciła ze zdumieniem dziewczyna.

Komisarz rozejrzał się, jakby nie słysząc pytania, i podszedł do nocnego stolika.

— Czy to pani własność? — wskazał rozłożoną książkę.

— Tak. Miałam zamiar trochę poczytać w łóżku.

— I tak ją pani przygotowała do czytania?

— Nie. Ja ją czytałam. Chciałam iść do łazienki, ale postyszałam stuknięcie drzwi. Sądząc, że to Bella no tam poszła, wzięłam książkę, żeby zaczekać, aż łazienka będzie wolna. Istotnie, po chwili doszedł mnie zgrzyt klamki. Odłożyłam więc książkę i sięgnęłam po szlafrok. W tej chwili właśnie zjawił się pan Volbert w drzwiach od tarasu.

— Gdy pani zaczęła się rozbierać, nie zamknęła pani tych drzwi?

— Nie. Było okropnie duszno, a okolica jest przecież nie zamieszкана...

Komisarz wskazał na fotele.

— Chcę jeszcze omówić parę kwestii — rzekł, kiedy usiedli. — Proszę mi powiedzieć, co pani robiła w ciągu dnia poprzedzającego morderstwo? Mam na myśli ten dzień, kiedy przyjechaliście tutaj.

Kiedy skończyła relację, Allenbeck rzucił kolejne pytanie.

— O której telefonował Mond?

— O trzeciej.

— Czy dobrze było słyhać?

— Ależ tak! — W głosie. Ewy zabrzmiało zdziwienie.

— Kiedy Mond poinformował panią o swym wyjeździe?

— Po otrzymaniu wiadomości od agenta w Marsylii.

— Jego nazwisko i adres?

Zapisał uzyskane informacje.

— Czy otrzymała pani jeszcze jakieś wiadomości, oprócz tego telefonu?

— Nie.

— Czy nie zauważyła pani ostatnio nic szczególnego w jego zachowaniu?

— Nie... Chociaż... Przez kilka ostatnich dni był jakby czymś przygnębiony. Coś go trapiło.

— Czy nic na ten temat pani nie mówił?

— Nie.

— Czy znał Volberta?

— Ależ oczywiście. Pan Volbert odwiedzał naszą agencję.

— W jakim celu?

— Tego nie wiem. Jego wizyty ograniczały się do rozmów w cztery oczy z panem Mondem.

— Jaki był ich wzajemny stosunek?

— Mond zdecydowanie go nie lubił.

— Czy wyrażał przed panią opinię na ten temat?

— Ostrzegał mnie przed Volbertem.

— Co było powodem tych ostrzeżeń?

Ewa opowiedziała propozycję Volberta i reakcję Monda.

— Zatem Volbert już od pewnego czasu interesował się pani osobą?

— Tak.

— Teraz rozumiem, dlaczego pani wezwanie odniosło natychmiastowy skutek.

— Moje rzekome wezwanie — chciał pan chyba powiedzieć?

Allenbeck z uśmiechem kiwnął głową.

— No tak, oczywiście... Wciąż zastanawia mnie jednak, dlaczego zabójca usiłował rzucić na panią podejrzenie? Czy nic nie przychodzi pani na myśl? Owa kartka z pani podpisem i pozostawione umyślnie ślady pani palców? Gdyby nie ta książka i parę wiadomości, jakie posiadam, a czego sprawca nie wie i nie mógł przewidzieć, już by pani siedziała pod kluczem.

Ewa wzdrygnęła się.

— Co książka ma z tym wspólnego? — spytała mimo wszystko zaciekawiona.

— Ma... ma... — rzucił żartobliwie Allenbeck.

— Czy i na temat przypuszczalnego sprawcy nic pan nie zechce powiedzieć? Wydaje mi się, że ma pan już określone podejrzenia?

— Do pewnego stopnia. No, ale wracajmy do sprawy. Nie odpowiedziała pani na moje pytanie dotyczące kartki i śladów na rękojęści. Nie ma pani żadnych podejrzeń? Czy nic nie zaszło takiego, co mogłoby mieć jakiś związek lub naprowadzić nas na ślad?

Ewa zawahała się i spostrzegła, że nie uszło to uwagi komisarza.

— Zdaje się, że coś pani przyszło na myśl?

Należało natychmiast znaleźć wyjście z sytuacji. Chciała być lojalna w stosunku do Monda. Prosił, aby do jego powrotu nie mówić nikomu o tej zagadkowej sprawie,

i obiecała mu to. Naraz przypomniała sobie kartkę Varese'a.

Opowiedziała komisarzowi przebieg wizyty u starego profesora. Kiedy skończyła, ten gwizdnął cicho.

— Czy to ma istotne znaczenie? — zainteresowała się Ewa.

— Bo ja wiem — Allenbeck wzruszył ramionami już z obojętnym wyrazem twarzy. — Należy to dopiero wyjaśnić. W każdym razie zabraniam pani powtarzać komukolwiek przebieg naszej rozmowy.

— Pan Varese to taki miły staruszek — próbowała, zaprotestowała Ewa.

— O la, la... Pan Varese miły, pan Mond porządny, Alicja kochana, a morderstwo zostało popełnione! — rzucił z irytacją Allenbeck, opanował się jednak natychmiast i zakończył pogodnie:

— A więc ani słowa! Poza tym...

Rozległo się pukanie do drzwi i na progu ukazał się Lavery.

— Wzywa Paryż — zwrócił się do komisarza obrzucając wnętrze lustrującym spojrzeniem.

Allenbeck wstał pośpiesznie z fotela, czekał jednak cierpliwie, aż Ewa i Lavery opuszczą pokój. Potem zamknął za nimi drzwi na klucz, który schował do kieszeni. Dopiero wówczas skierował się do aparatu.

Z filiżanki stojącej na tacy wąską smugą unosiła się para! Piotr postawił ją wraz z cukiernicą na stoliku i skierował się ku drzwiom.

— Chwileczkę — zatrzymała go Alicja.

Służący opuścił opróżnioną tacę i stanął w oczekiwaniu. Alicja z zakłopotaniem szukała najbardziej odpowiednich słów. Ponieważ milczenie przeciągało się, co było

gorsze od najgorszych sformułowań, odezwała się z determinacją.

— No tak, okazuje się, że komisarz wszystko wie!

— Dlaczego pani sądzi, że wie ode mnie?

— A od kogóż by? — powiedziała ze zniecierpliwieniem, gdyż spodziewała się wykrętnej odpowiedzi.

— Czy nikt inny poza nami o tym nie wiedział? — spytał spokojnie lokaj.

Alicja zawahała się. Przypomniała sobie rozmowę z Ewą. Wahanie to nie uszło uwagi służącego.

— A więc jednak? — powiedział ironicznie. — Ale to nie ma znaczenia, gdyż istotnie wie o tym ode mnie.

— A więc to jednak Piotr! — w głosie Alicji zadrgała gorączka.

— Tak. Chcę jednak, by pani zrozumiała powody tego kroku.

— To Piotra rzecz — powiedziała zimno Alicja. — Sam fakt jest ważny, nie powody.

— Czyżby? Pani jest rozdrażniona, a to nigdy nie wpływa na jasność myśli — powiedział z sarkazmem.

— Proszę, może zatem Piotr wyjaśni mi te istotne powody — powiedziała z drwiną.

— Co robi podróżny w czasie pożaru stepu? — padło nieoczekiwane pytanie.

— Nie rozumiem — zdziwiła się Alicja. — Co to ma wspólnego? Przypuszczam, że ucieka.

— Od ognia niełatwo jest uciec. Robi co innego: sam podpała step.

Alicja zaczęła rozumieć.

— Czy... czy w tym wypadku zaistniało niebezpieczeństwo?

— Oczywiście. W trakcie śledztwa szantaż na pewno zostałyby wykryty. Rewizja w mieszkaniu zamordowanego lub, być może, inna przyczyna mogły naprowadzić policję

na ślad, tej sprawy. A wówczas najmniejsza wzmianka przy przesłuchiowaniu pani męża obudziłaby jego czujność, no i...

— O Boże! Że też nie przyszło mi na myśl!

— Natomiast wyjawiając z własnej inicjatywy tę sprawę Allenbeckowi, uzyskałem od niego obietnicę, że nie będzie ona poruszona z panem Lavery.

— Jakaż ja byłam głupia! Jak mogłam nie przewidzieć tego niebezpieczeństwa!

— Zatem już nie ma pani do mnie pretensji?

— Och, Piotrze! — Alicja podeszła do służącego i położyła mu dłoń na ręku. — Ustawiczny strach paraliżuje mi myśli! Niechby to śledztwo wreszcie się skończyło! Jeszcze ciągle się boję, nie mogę uwolnić się od lęku, mimo jego śmierci... — A jednocześnie... Jeszcze i Piotr... Bo już nic nie rozumiem. Ostatnio bałam się Piotra, sądziłam, że to Piotr jest przyczyną moich zgrzyot, a teraz wydaje mi się, że Piotr jest mi przyjazny... a i pannę Fontenay tylko Piotr uchronił przed aresztowaniem, bo nawet Ben nie potrafił tak naświetlić sytuacji...

Uniosła wzrok i nieoczekiwanie spotkała się spojrzeniem ze stojącym przed nią mężczyzną.

Utkwione w nią oczy nabrały dziwnego wyrazu. Było to tak nieoczekiwane i tak zdumiewające, ale też tak nieodparcie wyraźne, że zmieszana do ostatnich granic opuściła powieki, z twarzą oblaną rumieńcem.

Najwyższym wysiłkiem woli opanowała wzburzenie. Trwało jednak dłuższą chwilę, zanim ośmieliła się znów podnieść wzrok.

— Komisarz Allenbeck nie sprzeciwia się teraz, aby państwo opuścili Pontoise. — Piotr zmienił temat. — Czy nie zechce pani spakować rzeczy? Ja tymczasem przygotuję samochód.

Przesunęła dłonią po czole.

— Dobrze, Piotrze, proszę porozumieć się z mężem. Ja będę gotowa za kilka minut.

Służący wyszedł. Alicja nie zabrała się jednak do pakowania. Opadła na fotel i zamyśliła się głęboko. Była zbyt subtelna, by nie rozumieć wymowy minionej chwili, aby nie ujrzeć tego, co raptownie ukazało się jej oczom, a jednak — rzecz zdumiewająca — nie rodził się w niej żaden sprzeciw, oburzenie czy choćby ironiczna myśl. Czyż nie powinna być zgorzozna, czy nie powinna chociaż pogardliwie wrzucić ramionami? A przecież po prostu było jej przyjemnie, dotychczasowy lęk gdzieś zniknął, a rodziło się poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Mężczyzna zatrzymał się przed uchyloną furtką i obrzucił dom lustrującym spojrzeniem, potem minął furtkę i wszedł na ganeczek.

Obok guzików dzwonka widniały dwie tabliczki. Odczytał je kolejno, nacisnął guzik znajdujący się przy nazwisku Varese i czekał cierpliwie, dopóki nie rozległ się buczący sygnał.

Na piętrze, w otwartych drzwiach mieszkania, czekał na przybyśza gospodarz.

— Czy pan Varese?

— Tak, to ja.

— Jestem komisarz Allenbeck. Chcę z panem porozmawiać.

Staruszek cofnął się w głąb mieszkania, a potem przepuścił przed sobą gościa wskazując mu drzwi do pokotu.

Allenbeck obrzucił wewnątrz uważnym spojrzeniem.

— Czy jest pan sam?

— Tak, panie komisarzu — stary profesor starał się

ruchliwością pokryć zakłopotanie. — Proszę, może zechce pan usiąść. — Zdjął bonżurkę zwisającą z poręczy fotela i skierował się z nią do drugiego pokoju. Po chwili wrócił. Jego gość stał spokojnie czekając na zakończenie tej krzątaniny.

— Proszę siadać — powtórzył zaproszenie pan Varese. — Już jestem do pańskiej dyspozycji.

Allenbeck nie odzywał się jednak patrząc bez słowa na gospodarza, którego to spojrzenie wyraźnie peszyło. Wreszcie zapytał:

— Kiedy wrócił pan z Pontoise?

— Ja? — zdumiał się profesor.

— Pan, pan. Przecież pytanie jest chyba wyraźne.

— Ależ... ja nie byłem w Pontoise.

— Hm. A czy znał pan Filipa Volberta?

— Nie, ale słyszałem to nazwisko od panny Fontenay.

— Przy jakiej okazji?

— Nie przypominam sobie. Kiedyś je wspomniła.

— Nie pamięta pan, kiedy to było, ale nazwisko pan zapamiętał. No, no. Prosiła pana o dyskrecję, co?

— Ależ nie! — zachnął się starszek.

— Co o nim mówiła?

— Ja... nie pamiętam. Doprawdy nie wiem.

— Panie Varese! — przerwał ostro komisarz. — Pan mi tu kręci, a sprawa nie jest błaża! Otóż Volbert został zamordowany i pana podejrzewam o dokonanie tego morderstwa!

Stary profesor znieruchomiał. Siedział sztywno wyprostowany przed komisarzem i wpatrywał się w niego wyblakłymi oczami, wyraźnie wstrząśnięty. Po chwili zmarszczył brwi i pochylił głowę, a cała jego postać jakby skurczyła się i zwiotczała.

— Więc jednak — mruknął do siebie. Uniósł głowę i spojrzął na gościa. — To brzmi poważnie! Ale oskarżając

trzeba mieć jakieś dowody! Co pan ma przeciwko mnie?
— rzucił zaczepnie.

— O dowodach jeszcze pomówimy. Na razie stwierdzam, że usiłuje pan wprowadzić mnie w błąd. Pan był w Pontoise, panie Varese, i nie chce się pan do tego przyznać!

— Pan się myli. Nie wiem, dlaczego z taką pewnością...

— Dość tych wykrętów! — przerwał Allenbeck. — Skąd pan ma te nenufary? — wskazał wazon stojący na stole.

Varese spojrział we wskazanym kierunku i mimo opalenizny widać było, że zbladł.

— Te nenufary... — zawahał się, a potem powtórzył — te nenufary...

— Tak! Tak! Te nenufary! Powiem panu zresztą sam, aby dowieść, że wiem więcej, niż się panu zdaje! — Allenbeck zaczął mówić zważając, by to, co mówi, brzmiało prawdopodobnie.

— Był pan w Pontoise, panie Varese. Zjawił się pan tam rano i ukrywał nad rzeką. W czasie kąpieli Lavery'ego siedział pan w nadbrzeżnych krzakach obserwując go i właśnie tam zerwał pan te kwiaty, które są dostatecznym dowodem, że usiłował pan mnie okłamać! Mógłbym wymienić jeszcze więcej szczegółów świadczących o tym, że znam i inne pana poruszenia, ale tego, co powiedziałem, wystarczy! Jeśli nie zacznie mi pan odpowiadać szczerze, poproszę pana o pofatygowanie się ze mną do komisariatu. Będzie pan tam miał dość czasu na rozważanie, czy można bezkarnie okłamywać organa śledcze!

Stary profesor splótł dłonie zafrasowanym gestem.

— Jeśli nawet byłem, to jeszcze nie dowód, że zabiłem Volberta.

— O tym jeszcze pomówimy. Teraz natomiast chcę wiedzieć: był pan w Pontoise czy nie?

— A więc tak, byłem!

— Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

Varese poprawił się w fotelu.

— Zatem, jak pan wie, chociaż doprawdy nie mam pojęcia skąd, istotnie wczoraj rano udałem się do Pontoise. Kiedy wreszcie odszukałem dom Laverych, była blisko jedenasta. Ukryłem się w krzakach obserwując, co robią mieszkańcy. Widziałem, jak Lavery kąpał się, ale potem położyłem się w cieniu krzaków i zasnąłem. Obudziłem się głodny, więc zjadłem zabrany prowiant. Zacząłem się wahać, czy spełnić do końca swój zamiar i zostać na noc. Perspektywa ta z bliska przestała być tak pociągająca, jak mi się początkowo wydawało. Nic się nie działo i to było najbardziej nużące. Zacząłem dochodzić do wniosku, że moje obawy były bezpodstawne, że dałem się unieść wyobraźni. Pod wieczór ostatecznie zrezygnowałem z obserwacji i postanowiłem wrócić do Paryża. To właśnie wtedy zerwałem te nenufary. Wróciłem do domu około dziesiątej wieczór z przeświadczeniem, że zrobiłem z siebie idiotę. Dzień jednak, który spędziłem nad rzeką, był uroczy i to mi wynagradzało poczucie, że się naraziłem na śmieszność. To wszystko, co mam do powiedzenia. Teraz dowiaduję się, że jednak popełniono tam morderstwo. Czy może mi pan powiedzieć, o której to się stało?

— Nieco po jedenastej.

— Jak zginął Volbert?

— Czy nie za dużo tych pytań, panie Varese?

— Chcę po prostu zaspokoić ciekawość.

Allenbeck spojrzął spod oka na starego.

— Morderstwo zostało popełnione w pokoju panny Fontenay. Są również poszlaki, że to ona popełniła ten

czyn, ale na razie nie wyciągamy z tego konsekwencji.

— Panna Fontenay? — wykrzyknął stary profesor — Mój Boże! Więc miałem rację... miałem...

— O co panu chodzi, panie Varese? — zainteresował się Allenbeck.

— Nic, nic — stary machnął ręką, wyraźnie zgnębiony.

— Nie bardzo jakoś chce mi się wierzyć w to wszystko, co pan powiedział. Po co urządzał pan tę wywiadowczą wycieczkę i po kiego licha była ta obserwacja? Co panem powodowało?

Varese siedział zamyślony przygryzając wargi. Wyraz strapienia nie schodził z jego pomarszczonej twarzy. Wreszcie odezwał się:

— Zanim odpowiem, tylko jedno pytanie: czy słyszał pan coś o człowieku z Montfort?

Allenbeck był tak zaskoczony, że tylko z największym trudem udało mu się opanować zdumienie.

— Cóż to znówu za historia? — powiedział przesadnie swobodnym tonem.

— Panna Fontenay otrzymała list, w którym ktoś ostrzegął ją przed „bestią z Montfort” — tak został nazwany przez tajną prasę pewien zbir z czasów okupacji...

— Kochany panie profesorze — powiedział z nieoczekiwaną serdecznością komisarz — doprawdy nic z tego nie rozumiem. Niechże pan zechce opowiedzieć całą rzecz możliwie dokładnie; Miałem ciężki dzień i jestem zbyt zmęczony, aby wysilać się nad rozwiązywaniem rebusów

— Tak, tak... rozumiem — powiedział pan Varese z błyskiem ledwie uchwytej ironii w oczach. — Zatem niechże pan słucha.

Wyjątkowo zwięźle i bez dygresji opowiedział zdarzenie z gazetką i przebieg rozmowy z dziewczyną. Allenbeck nie przerywał ani słowem.

— No, dobrze — powiedział, kiedy relacja dobiegła końca. — Ale co to ma wspólnego z pańską wycieczką do Pontoise?

Stary profesor był w rozterce i wyraźnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Stukał palcami w poręcz fotela i nie patrząc na komisarza, milczał uparcie. Wreszcie zdecydował się, ale mówił z ociąganiem:

— Bo... jak to panu powiedzieć... Otóż... doszedłem do przekonania, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo... Widzi pan, takie ostrzeżenie to jednak coś jest. To tak jak para z garnka; pokrywa zasłania wnętrze; ale para dowodzi, że coś się tam gotuje. Nie wiem, czy pan mnie rozumie, ale pomyślałem, że trzeba być w pobliżu, no i pojechałem. Bardzo polubiłem tę dziewczynę. Pojechałem, stary osioł, ale wróciłem za wcześnie. Zabrakło mi, niestety, cierpliwości, wszystko naraz wydało mi się śmieszne, więc machnąłem ręką. Gdyby nie to, gdybym był konsekwentny; zobaczyłbym tego mordercę Volberta, okna musiały być oświetlone, trudno zabić po ciemku. Mówi pan, że dziewczyna jest podejrzana? Nonsens. Nigdy w to nie uwierzę. Jestem przekonany, że to ten człowiek dokonał morderstwa. Wydaje mi się, że byłoby jednak najlepiej, żeby pan ją aresztował — zakończył nieoczekiwanie.

— Dlaczego? Przeczy pan sam sobie!

— Bo grozi jej niebezpieczeństwo. Ja to panu mówię! Z jakiegoś powodu znalazła się pomiędzy bestiami, które się gryzą, a to stwarza ponure możliwości.

Allenbeck zmienił nagle temat.

— Panie profesorze, widzę tu ładny zbiór książek — wskazał na zapchaną etażerkę.

— A tak, czytuję sobie wieczorami — przyznał Varese zdziwiony.

— Same kryminalne powieści?

— Moja ulubiona lektura — bąknął z zażenowaniem starzec.

— No tak, teraz rozumiem — rzucił Allenbeck wstając z fotela. Mimo pytającego spojrzenia profesora, nie wyjaśnił mu jednak, co miał na myśli.

Zszedł na dół i stanął przed drzwiami Ewy Fontenay.

Dziewczyna była już w domu. Na widok komisarza wyraz zaskoczenia i niepokoju pojawił się na jej zmęczonej twarzy.

— Nie będę pani długo męczył — powiedział siadając. Przyszedłem tylko dlatego, żeby panią zbesztać! — pogroził jej palcem.

— Za co?

— Zataiła pani zdarzenia bardzo istotne dla śledztwa!

Ewa domyśliła się, o co chodzi komisarzowi.

— Byłam związana obietnicą daną Mondowi. Prosił o zachowanie tej sprawy w tajemnicy do czasu jego powrotu.

— Ach, tak?... Więc panu Mondowi zależało na tym, aby nikt się o tej historii nie dowiedział? Ale skoro już wiem, to może mi pani opowie wszystko?

Słuchał uważnie, a kiedy skończyła, mruknął:

— Hm... ciekawe. Dlaczego Volbert panią ostrzegął?

— Sądzi pan, że to Volbert?

— Tak. Wyczuwam, że, wie on dużo o Mondzie. Musieli się o coś pokłócić. Może właśnie o panią.

— Co Volbert wie o Mondzie? — zapytała z zaciekawieniem.

— Nic takiego — burknął komisarz — co mogłoby

zainteresować pannę Fontenay. A w ogóle ani słowa nikomu o naszej rozmowie! Nikomu! Rozumiemy się, moja młoda damo? Nawet temu pani miłemu staruszkowi!

— Rozumiemy się, szanowna władzo — odpowiedziała tym samym tonem, zamykając za nim drzwi.

Policjant, idący bulwarem du Chateau o godzinie pierwszej w nocy, spostrzegł ciemny kształt leżący pod drzewem. Latarnia paliła się obok, więc pod sklepieniem gałęzi zalegał mroczny cień. Zaciekawiony podszedł bliżej. Ujrzał wówczas leżącego mężczyznę.

Jego marynarka była poplamiona, co nasunęło mu podejrzenie, że ma do czynienia z pijakiem. Nachylił się więc nad leżącym i potrząsnął go za ramię. Głowa obróciła się bezwładnie i policjant ujrzał pełną, białą jak papier twarz, o wywróconych gałkach oczu, zakrytych do połowy powiekami. Z kąta warg sączyło się wąskie pasemko śliny. Policjant wyprostował się gwałtownie i podniósł do ust gwizdek.

Przy zmarłym nie znaleziono żadnych dokumentów. Ubranie było uszyte z pierwszorzędnego materiału i miało etykietkę dobrej krawieckiej firmy. W kieszeni spodni znajdowały się papierosy, klucze, chustka i zwitek banknotów. Ich sumę, rodzaj i numery wciągnięto skrupulatnie do protokołu. W zanadrzu marynarki znajdował się rewolwer i kartka zapisanego papieru. Był to jakiś prywatny list bez znaczenia. Na jego marginesie widniało, odnotowane ołówkiem krótkie zdanie w hiszpańskim języku. W małej kieszonce marynarki znaleziono wieczne pióro, a na samym dnie maleńką flaszeczkę ze specjalnym korkiem i gumowym dnem. Urządzenie to pozwalało opróżniać

kroplami zawartość flaszki, którą stanowiła bezbarwna ciecz o aromatycznym zapachu.

Ciało zostało zabrane do prosektorium, gdzie natychmiast przystąpiono do sekcji. Pierwszym zadaniem, jakie stanęło przed policją, było zidentyfikowanie zwłok. Drugą kwestią do ustalenia pozostało rozstrzygnięcie, czy zaszedł wypadek samobójstwa, czy też została popełniona zbrodnia. Fakt znalezienia przy denacie trucizny wskazywał dość wyraźnie na samobójstwo.

Z pierwszym zagadnieniem uporano się bardzo szybko. Numer rewolweru nie znajdował się w rejestrach, ale dwa telefony wystarczyły do ustalenia adresu krojczego firmy, która szyła zmarłemu garnitur. Była czwarta rano, kiedy obudzono go i przywieziono do kostnicy. Nazwisko denata zostało ustalone, a wystraszony krojczy odwieziony policyjnym autem do domu. Zmarły był człowiekiem, którego poszukiwał komisarz Allenbeck. Natychmiast powiadomiono go o wypadku.

Ewa wstała o siódmej, zmęczona i rozbita. Przeżyte wrażenia, a zwłaszcza to ostatnie, najbardziej dramatyczne, sprawiły, że długo nie mogła zasnąć, a potem sen był pełen koszmarów i zjaw. Budziła się i znów zasypiała, wyczerpana nerwowo i przygnębiona.

Nie spieszyła się z ubieraniem, gdyż pracę w agencji zaczynała o dziewiątej. Wzięła prysznic i w porannym szlafroku przeszła do kuchni, by naparzyć sobie mocnej kawy. Wówczas odezwał się dzwonek. Była na to przygotowana.

Okazało się, że miała słusność. Na progu stał komisarz

Allenbeck w towarzystwie mężczyzny o przebiegłych oczach.

— Już na nogach? — przywitał ją. — Spodziewała się pani naszej wizyty?

Ewa wzruszyła ramionami.

— Oczywiście! Wprawdzie nie tak wcześnie, ale przypuszczałam, że pana jeszcze nie raz zobaczę.

— Pracujemy sprawnie, jak pani widzi. Nieomal od świtu! — Weszli do bawialnego pokoju. — Mam jednak co innego na myśli niż sprawę w Pontoise. O której był tu u pani wczoraj Mond?

— Mond? — Spojrzała na Allenbecka szeroko rozwartymi oczami. — Przecież on jest w Marsylii.

Allenbeck popatrzył na nią uważnie.

— Jest pani tego pewna?

— Tak mi się wydaje! Po powrocie zastałam nawet w skrzynce jego pocztówkę z pozdrowieniami!

— Głupstwo! — machnął ręką. — Więc nie był u pani?

— Nie, nie był! — oświadczyła stanowczo.

— Dobra! Przeprowadzimy w takim razie rewizję.

— Jeśli pan jest w posiadaniu nakazu...

— Proszę załatwić formalności i dokonać rewizji — zwrócił się do towarzyszącego agenta.

Ewa mimowolnym spojrzeniem zlustrowała pokój, po czym zwróciła się do komisarza:

— Nic tu nie jest pozamykane. Proszę tylko nie robić zbytniego nieporządku.

— Bez obaw, panienczko — rzucił agent przechodząc do kuchni.

— Czy zaszło coś nowego? — spytała Allenbecka.

— Cóż mogło zająć?

— Nie wiem. Pytał pan o Monda.

— Tak, pytałem. I co z tego?

— To, że skojarzyłam sobie to pytanie z waszą obecnością.

— Widzę, że chce mnie pani pociągnąć za język. Powiem szczerze: przestałem mieć do pani zaufanie!

— Policja i zaufanie! — powiedziała kpiąco. — Trochę to komiczne, musi pan przyznać.

Allenbeck uśmiechnął się mimo woli, zaraz jednak spoważniał.

— Panno Fontenay, zwracam się do pani z apelem o szczerłość. Wyjawię otwarcie, na czym rzecz polega, a w zamian za to powie mi pani rzetelną prawdę — dobrze?

— Ależ oczywiście, panie komisarzu. — Uniosła ze zdziwieniem brwi do góry, a spojrzenie jakie utkwiła w jego twarzy, pełne było ufności. — Czy przypuszcza pan, że mogłabym kłamać?

Allenbeck spojrział na dziewczynę z ukosa i bez słowa pokiwał głową.

— Miał mi pan coś powiedzieć? Zatem słucham.

— Znaleźliśmy Monda... — rzucił zawieszając głos.

— Szukaliście go?

Allenbeck chrząknął.

— Miałem co innego na myśli. Znaleźliśmy go martwego. Został otruty.

Mimo przenikliwego spojrzenia komisarza Ewa nie odwracała wzroku.

— Otruty... — przeciągnęła. — To straszne! Głos jej zadrżał. — Najpierw Volbert, a teraz Mond! Co to ma znaczyć?!

— Otóż to właśnie! Ale nie powiedziałem jeszcze wszystkiego! Wie pani, gdzieśmy go znaleźli?

— Skądże mogę wiedzieć?

— O dwie przecznice stąd. Leżał na ulicy. I dlatego nie wierzę ani jednemu pani słowu! On tu był!!! I...

— I ja go otrułam? To pan chciał powiedzieć?

— Nie, nie — zaprzeczył żywo. — Absolutnie nie mam zamiaru pani o to oskarżać! Chcę tylko wiedzieć, o której tu był i o której wyszedł?

— Sądzi pan, że tu był — powiedziała spokojnie — i czeka pan na moje potwierdzenie? Tylko dlatego, aby uzgodnić czas?

— Nie bądź taka cwana! — rzucił brutalnie Allenbeck. — Mam dość tego kręactwa! Był tu czy nie?

— Nie! — wykrzyknęła z irytacją. — Nie był i proszę o grzeczniejszy ton!

— Czekaj, panienko, my się jeszcze porachujemy! — rzucił ze złością.

Wszedł agent i na pytające spojrzenie komisarza odpowiedział ledwo uchwytnym, przeczącym gestem. Nie uszedł on jednak uwagi dziewczyny.

Rewizja w pokoju bawialnym została dokonana sprawnie i szybko. Po dziesięciu minutach było jasne, że nie dała rezultatu.

— Gdyby się pani namyśliła — Allenbeck był już spokojny — proszę do mnie zadzwonić. Zostawię pani numer telefonu — wyciągnął notes i nakreślił szybko litery i cyfry.

— Kto ma klucze do biura? — spytał kładąc kartkę na stole.

— Jeden komplet ja, drugi pan Mond.

— Proszę o pani klucze.

Ewa sięgnęła po torebkę.

— Co mam teraz robić? Czy agencja przestanie istnieć?

— Na razie będzie w biurze siedział kto inny. Potem postawię władzom sądowym wniosek o ustanowienie likwidatora. Jeśli pani do tego czasu zmądrzeje, są szanse na objęcie tej funkcji. Uważam, że pani kandydatura jest najwłaściwsza.

— O ile tymczasem nie wsadzi mnie pan do paki — powiedziała wychodząc za nimi do hallu.

— Mam na to wielką ochotę! — rzucił już ze schodów.

Dla Alicji nastały teraz szczęśliwe dni. Nieznośny, przytłaczający ją tak długo koszmar zniknął po owej dramatycznej nocy. Była to ulga nadzwyczajna i tak nagła, że dopiero po pewnym czasie w pełni ją odczuła.

Wróciła z miasta trochę zmoknięta, gdyż spadł deszcz, pierwszy od paru tygodni. Drzwi otworzyła własnym kluczem. Potem przebrała się i przeszła do salonu, chcąc obejrzeć ostatnie tygodniki. Usiadła w niskim fotelu, obok stolika, na którym stał wazon z ogromnym bukietem mimosy.

Dlatego zapewne Piotr jej nie spostrzegł. Uświadomiła to sobie, kiedy zobaczyła, jak wchodzi do salonu. Przestała szeleścić kartkami pisma i siedziała bez ruchu.

Skierował się do gabinetu. Przez otwarte, dwuskrzydłowe drzwi widziała, jak podszedł do biurka. Chwilę przyglądał się żydowskiemu świecznikowi, potem otworzył teczkę, w której leżała bieżąca korespondencja jej męża. Przerzucił ją jak gdyby szukając czegoś, następnie zamknął i odłożył na bok. Stał bez ruchu, głęboko zamyślony. Widziała dobrze jego szpakowatą, mocno osadzoną głowę i surowy profil. Wreszcie stała się rzecz najdziwniejsza. Sięgnął po stojącą na biurku fotografię — wiedziała, że to była jej fotografia — i ujawszy w obie ręce, wpatrywał się w nią długo ze swą zwykłą, nieruchomą twarzą.

— Czy dobrze wyszłam na tym zdjęciu? — odezwała

się raptem idąc za impulsem, powodowana pragnieniem, by ujrzeć na jego twarzy wyraz zmieszania, zaskoczenia, strachu, coś ludzkiego, zrozumiałego, coś co by zdarło wreszcie tę maskę doskonałej obojętności.

Drgnął gwałtownie, ale mimo to ruchem powolnym i pewnym postawił jej portret na miejscu.

Wyszedł z gabinetu i zbliżył się do niej.

— Już drugi raz dałem się pani zaskoczyć — powiedział żartobliwie. — Starzeję się zupełnie wyraźnie.

W Alicję wstąpił duch przekory.

— Piotr omija moje pytanie. Czy istotnie ta fotografia jest warta oglądania?

Nie spuszczać z niej wzroku odpowiedział tak cicho, że ledwie go dosłyszała poprzez monotony gwar ulicy dochodzący aż tutaj, mimo zamkniętych okien.

— Tak, Alicjo, o ile pragnienie może być miernikiem wartości.

Alicja zerwała się na nogi z rozchylonymi ustami i falującą pierśią.

— Proszę milczeć! Nie chcę słuchać takich słów! Dlaczego Piotr przeglądał papiery mego męża?! A ja sądziłam już, że mogę Piotrowi ufać, że mogę na nim polegać! Teraz widzę, że myliłam się, to nie Volbert, a Piotr... Bo to Piotr nadal nas śledzi i obserwuje! A że Piotr daje mi do zrozumienia że... no, że... — nie mogła się zdobyć na użycie właściwego słowa — to tylko dlatego, abym się wyzbyła podejrzeń!

Służący nie spuszczał z niej oczu, toteż kiedy Alicja umilkła i uniosła wzrok, spojrzenia ich spotkały się. Z największym wysiłkiem i zażenowaniem odwróciła głowę.

— Ja... ja... już sama nie wiem, co mam o tym sądzić... — zakończyła bezradnie.

Z ulicy doszedł głuchy warkot przejeżdżającej ciężarówki, od którego cicho zadzwoniły szyby.

— Pyta pani, dlaczego przeglądałem papiery? — odezwał się pomijając jej ostatnie słowa. — Bo zaszyły wypadki, o których pani nie wie.

— Co się stało? — rzuciła z przestraczem.

— Powiem za chwilę. Obecnie chcę poruszyć sprawę o wiele ważniejszą. Otóż nie wolno pani powiedzieć nikomu o tym, co pani widziała, ani o czym rozmawiamy. Nikomu, nawet własnemu mężowi.

— Dlaczego? Nie mogę się na to zgodzić! Nie chcę nic taić, mam już dość tej konspiracji!

— Jestem zmuszony panią o to prosić — powiedział z naciskiem. — Nikt, ani mąż, ani policja, dosłownie nikt nie może o tym wiedzieć!

Zawahała się.

— Nic z tego nie rozumiem! Ale tym bardziej takiej obietnicy nie chcę dać! — zakończyła stanowczo.

— Proszę nie utrudniać sytuacji. Zmusza mnie pani do postawienia sprawy inaczej.

— No proszę, jak? — zmrużyła oczy.

— Jeżeli przekonam się, że nie zachowała pani milczenia, sprawa szantażu i jego powodów stanie się wiadoma pani mężowi.

— Ależ to nowy szantaż! — wybuchnęła oburzona do głębi. — Piotr stosuje haniebną presję!

— Stawia mnie pani w sytuacji przymusowej.

— Nie rozumiem.

— Na szczęście ja zacząłem w porę rozumieć — powiedział zagadkowo.

— Więc mam zachować milczenie?

— Całkowicie. To kwestia życia lub śmierci. — Po chwili dorzucił nieoczekiwanie:

- Mond został zamordowany.
Alicja zaniemówiła.
- Mond?! Skąd Piotr wie? — szepnęła mimo woli ścisząc głos.
- Dziś rano byłem przesłuchiwany w tej sprawie.
- W jaki sposób zginął?
- Został otruty. Morderca lub morderczyni — drugie słowo zaakcentował — wsunęła flakonik z trucizną do jego marynarki, by zasugerować samobójstwo.
- Czy wiadomo, kto popełnił tę zbrodnię?
- Nie, ale został znaleziony na bulwarze du Chateau, co zapewne nasunie Allenbeckowi pewne skojarzenia.
- Jakie? — zdziwiła się.
- Jest to dzielnica Neuilly.
- Dzielnica Neuilly? — powtórzyła, a po chwili szepnęła z przerażeniem: — O Boże!
- Właśnie. Został znaleziony niedaleko mieszkania panny Fontenay.
- Ależ Piotrze! Co ma znaczyć ta insynuacja?! — obruszyła się oburzona do głębi. — Po cóż miałyby to zrobić? Ewa trucicielką? Nie, to niemożliwe!!
- Zagadnienie, co jest możliwe, a co nie, chyba nigdy nie doczeka się ustalenia. W każdym razie to bardzo zagadkowa historia i przypuszczam, że Allenbeck będzie miał twardy orzech do zgryzienia.
- Coś niesłychanego! Najpierw Volbert, a teraz Mond!
- Sprawa jest skomplikowana, i to bardziej, niż pani się wydaje. Najmniejsza niedyskrecja może spowodować nieobliczalne następstwa.
- Ale jeśli policja będzie mnie pytać?
- Zasada musi pozostać zasadą. Absolutnie nikomu ani słowa! Domagam się tego bezwzględnie!

— Znów to samo! — wzruszyła ramionami. — Najpierw odnoszę wrażenie, że Piotr troszczy się o mnie... o moje bezpieczeństwo — poprawiła się natychmiast. — A w chwilę potem muszę ulec groźbie. I to jakiej — ordynarnego szantażu!

— Nie należy używać zbyt mocnych słów — mruknął, po czym dorzucił. — Trochę cierpliwości! Już wkrótce będę prosił o zwolnienie mnie ze służby.

— Dlaczego?! — krzyknęła, zdumiona nieoczekiwanym oświadczeniem.

— Muszę więcej czasu poświęcić osobistym sprawom.

— Czy to naprawdę konieczne? Teraz kiedy... kiedy sam Piotr mówi, że istnieje niebezpieczeństwo?! — zawałała się. — Och, sama nie wiem, co mówię!

— Nie zgłaszam rezygnacji od dziś. Uważałem jednak za swój obowiązek uprzedzić panią zczasu o swojej decyzji.

— Mąż będzie nią zaskoczony Ja... ja również wolałabym, aby Piotr został

— Mimo nieufności, jaką w pani wzbudzani? — powiedział nieco ironicznie

— Proszę nie kpić! — rzuciła rozdrażniona. A zresztą chce Piotr iść — proszę bardzo! Ostatecznie o służbę nie jest tak trudno. Przypuszczam, że na miejsce Piotra przyjdzie ktoś, kto potrafi przynajmniej zachować odpowiedni dystans!

— O właśnie! — dodał już z wyraźną ironią.

Alicja odwróciła się, ostatecznie dając do zrozumienia, że nie ma ochoty dalej prowadzić rozmowy.

— Przypominam o konieczności zachowania milczenia — powiedział za jej plecami — To nie jest prośba, lecz żądanie. Konsekwencje są pani wiadome — zakończył twardo.

Słyszała, jak wychodził. Dławiąca ją żałość znalazła ujście w wybuchu płaczu. Jakiś czas pochlipywała, aż poczuła ulgę.

— Nareszcie pozbędę się tego aroganta — mruknęła, wycierając chusteczką oczy. — Niech sobie idzie do diabła!

Kiedy w godzinę później Ben Lavery wszedł uśmiechnięty do salonu, zastał żonę nad ostatnimi żurnalami mód. Jak zwykle pocałował ją w czoło i przeszedł do gabinetu. Zauważyła, że niósł w ręku jakiś pakunek owinięty w bibułkę. Po chwili wrócił do salonu.

— Alu — powiedział z tajemniczą miną — mam tu coś dla ciebie.

Podszedł, kryjąc ręce za plecami.

— Co to jest?! — wykrzyknęła zaintrygowana.

— Cała ta historia w Pontoise bardzo tobą wstrząsnęła. Postanowiłem więc zatrzeć czymś przykrość tamtych chwil.

— Ben?! Co tam masz?! — zerwała się z fotela.

Przekomarzał się z nią chwilę, wreszcie podał jej małą paczkę.

Alicja rozwinęła bibułkę. Ukazało się wiśniowe, skórzane pudełko. Kiedy otworzyła wieko, na czarnym aksamicie wnętrza zajaśniała wspaniałym blaskiem kolia z brylantów.

Wzruszenie zatamowało Alicji oddech. Brylanty grały tęczowym ogniem. Platynowa koronka oprawy rysowała się dyskretnym matem na ciemnym tle.

Druga pocztówka od Monda nadeszła w środę. Ewa przeczytała jej treść i ze zdziwieniem przyjrzała się podpisowi, który znała zbyt dobrze, alby mieć zastrzeżenia co do jego autentyczności. Data stempla

La Ciotat mówiła, że pocztówka została wysłana w poniedziałek.

Zmarszczyła brwi i zastanawiała się chwilę. To pismo człowieka, który już nie należał do żyjących, zrobiło na niej niesamowite wrażenie.

Przecież kiedy te słowa były pisane, Mond już nie żył! Znaleziono go w nocy z niedzieli na poniedziałek, tu w Paryżu, niestety tak blisko jej mieszkania! Ale stempel był odcisnięty wyraźnie i data nie budziła żadnej wątpliwości.

W piątek otrzymała następną pocztówkę. Data stempla wskazywała środę jako dzień wysłania, a podpis i charakter pisma były znów bez wątpienia autentyczne. Co to miało znaczyć? Czyżby policja popełniła omyłkę? Czyżby to nie Monda znaleziono owej nocy, a kogo innego? Ale natychmiast naszło ją wspomnienie owego tragicznego wieczoru... Tak, to musiał być Mond. Może jednak był to tylko koszmarny sen? Ale tej absurdalnej możliwości przeczyła znów wizyta Allenbecka, wizyta jak najbardziej realna. Jeszcze raz obejrzała pocztówkę. To jednak było pismo Monda, a daty podane przez piszącego zgadzały się z datami stempla. Co się za tym kryło? Gdzie tkwi rozwiązanie tej zagadki?

Poczuła, że jest gotowa na wszystko. Musi dowiedzieć się prawdy, nie może czekać biernie, aż ta pajęcza sieć, którą czuła wokół siebie, spęta ją całkowicie!

Wsunęła kartki do torebki i pod wpływem nagłej decyzji zabrała się do pakowania. W ciągu kwadransa mały nesester był gotowy do podróży.

Dopiero siedząc w wagonie zaczęła się zastanawiać, czy mądrze zrobiła udając się w tę podróż, czy walcząc z nieznanym niebezpieczeństwem, nie naraża się na jeszcze większe? Ale pociąg pędził już w noc z dudnieniem i

kołysaniem ciężkich wagonów. Za późno było na zmianę decyzji. Zrezygnowana wtuliła się w kąć miękkiego siedzenia i zamknęła oczy próbując zasnąć. Miarowy stuk kół działał usypiająco, ale rozdygotane nerwy nie pozwalały na sen.

W pewnej chwili uniosła powieki i spostrzegła utkwione w siebie spojrzenie siedzącego naprzeciw mężczyzny. Jego ciemne oczy świeciły spod gęstych, krzaczastych brwi. Przyglądał się jej badawczo, ale widząc, że nie śpi, natychmiast prześliznął się spojrzeniem dalej. W półmroku przysłoniętej lampy nie mogła dokładnie rozeznaczyć jego rysów. Zauważyła jedynie, że opierał złożone dłonie na łasce o kościanej rączce.

Opuściła powieki pełna nowego niepokoju. Co oznacza to badawcze spojrzenie? Czy jest śledzona? A może było to tylko spojrzenie mężczyzny, któremu się podobała?... Wreszcie, nie wiadomo kiedy, zasnęła.

Obudziła się w blasku porannego słońca. Pierwsze jej spojrzenie padło na miejsce zajmowane przez nieznanego. Było puste.

Zbliżało się już południe, kiedy wysiadła w La Ciotat. Czuła zmęczenie i zdawało się jej, że jest lepka od brudu.

Pensjonat „Lotos” mieścił się nad samym morzem, niemal zawieszony na skraju urwiska. Bezmierny, granatowy obszar kończył się ostrą linią horyzontu. Grzywiaste fale biegingy dołem, rozbijając się o skalisty brzeg. Długie pasma piany, niby strzępki waty, znaczyły granicę ziemi i wody.

Roztrzęsiona taksówka zatrzymała się przed podjazdem. Ewa weszła do chłodnego hallu z walizeczką w ręku.

Rozejrzała się ciekawie dokoła. Hall był mały. Znajdowała się w nim pusta obecnie szatnia oraz lada recepcji.

Poprzez otwarte dwuskrzydłowe drzwi widać było salę jadalną z bufetem umieszczonym w głębokiej wnęce. Schody z hallu prowadziły zapewne do pokoi na piętrze.

Za ladą siedział tęgi mężczyzna o byczym karku. Spod krótkich rękawów kolorowej koszuli wystawały ramiona atlety.

Mimo pełnego sezonu znalazł się szczęśliwie wolny pokój. Pozbyła się największej obawy, jaka trapiła ją w końcowej fazie jazdy, że po prostu nie będzie miała gdzie się zatrzymać. Teraz była już zdecydowana nie cofać się w pół drogi, bez względu na to, co by się miało stać.

Wzięła kąpiel i zmieniła sukienkę. Trochę zmęczona, ale już odświeżana zeszła na dół z bijącym sercem. Zbliżała się chwila rozwiązania tajemniczej zagadki.

Kolorową koszulę grubasa spostrzegła za bufetem i ruszyła w jego kierunku. Na sali nie było dużo osób. Podeszła do bufetu i zaskoczona zatrzymała się na miejscu.

Obok znajdowała się kabina telefoniczna. W oświetlonym wnętrzu ujrzała sylwetkę człowieka, a szary kapelusz i laska z kościaną rączką wisały na poręczy pobliskiego krzesła. Ewa opanowała się i podeszła do bufetu. Grubas zmierzył ją lustrującym spojrzeniem i zawodowy uśmiech ukazał się na jego twarzy.

— Proszę pana — odwzajemniła uśmiech — chciałabym zobaczyć się z panem Mondem. Podał mi adres tego pensjonatu.

Jasne oczka miały maleńkie, czarne źrenice. Ich spojrzenie nabrało raptem czujnego wyrazu, potem przebiegło po jej postaci.

— Pan Mond? Zaraz... Niech sobie przypomnę...

Wyraźnie chciał zyskać na czasie. Wreszcie oświadczył:

— Proszę, niech pani zaczeka. Muszę sprawdzić.

Znikł za portierą. Ewa patrzyła jeszcze za nim, kiedy raptem postyszała trzaśnięcie drzwiami kabiny. Udając przestraszoną, obróciła się gwałtownie.

Tak, to był on, jej towarzysz podróży. Udając, że go nie poznaje, odwróciła się obojętnie. Słyszała, jak zabiera kapelusz i laskę, a potem oddała się w stronę wyjścia.

Po kilku minutach portiera zafalowała i ukazała się kobieta o ascetycznej twarzy. Wielkie, ciemne oczy miały jednak blask nieomal młodzieńczy.

— Pani pyta o pana Monda?

— Tak, muszę się z nim zobaczyć.

— Czy zaszło coś ważnego? — Ciemne oczy usiłowały przewiercić ją na wskroś. Zza kotary wyszedł grubas i stanął za kobietą.

— Jestem jego sekretarką. Istnieje ważny powód, dla którego muszę się osobiście z nim zobaczyć.

— Skąd pani wie, że znajduje się tutaj?

— Bo mi podał swój adres, to chyba proste! — wzruszyła ramionami.

— A czy pan Mond wie, że pani miała przyjechać?

— Ależ oczywiście! — rzuciła jak najbardziej naturalnym tonem. — Nie tylko wie, ale mnie oczekuje!

Para za bufetem zamieniła porozumiewawcze spojrzenia. Kobieta rozstrzygnęła jakiś nurtujący ich problem.

— Pan Mond jest na tarasie — wskazała otwarte szeroko drzwi, przez które widać było wycinek krajobrazu zalany słońcem. — Je właśnie lunch.

Ewa skierowała się w stronę otwartych na taras drzwi. Serce biło jej mocno, trzymała jednak nerwy na wodzy. Jeszcze kilkanaście kroków, a przekona się. Jeszcze siedem,

sześć, pięć... oto próg... Czyżby istotnie miała ujrzeć Monda?

Taras otaczały palmy. Dom rzucał przyjemny cień na rozstawione stoliki. Gdzie cień ten nie sięgał, wykwiwały kolorowe czasze ogrodowych parasoli. Tylko kilka stolików było zajętych. Jakieś małżeństwo nieokreślonej narodowości, starszy pan o suchej, pomarszczonej twarzy, grubas w okularach towarzyszący młodej dziewczynie. Przesuwała wzrokiem po siedzących, aż wreszcie w samym rogu zobaczyła znajomą twarz.

— O tam — spoza niej ukazało się grube ramię i rąbek kolorowego rękawa — w tamtym rogu.

— Dziękuję, widzę — powiedziała panując nad sobą. Potem Skierowała się w stronę siedzącego mężczyzny, pochłoniętego jedzeniem.

— Dzień dobry panu, panie Mond — powiedziała, zatrzymując się przed jego stolikiem.

Brańczyz uniósł głowę znad talerza. Ręka niosąca do ust widelec znieruchomiła w powietrzu, a szare oczy stały się okrągłe i duże.

— Pani... pani... tutaj! — wymamrotał.

— Niech pan nie patrzy na mnie jak ostatni gamoń! — syknęła. — Jesteśmy obserwowani!

Zerwał się z miejsca wyciągając rękę.

— Cóż za gość! Jakie nieba panią zesłały? O dniu szczęśliwy!

— Niech się pan przestanie wygłupiać! — Słowom tym towarzyszył promienny uśmiech. Zajęła miejsce i pochyliła się ku niemu.

— Proszę udawać, że mnie pan oczekiwał! Kelner nadchodzi!

Istotnie kelner zbliżył się do ich stolika. Kątem oka zauważyła, że ciemny prostokąt drzwi był już pusty. Zamówiła lunch. Musiała przyznać, że jej towarzysz wykazał

bystrość i szybką orientację, gdyż jeszcze zanim kelner odszedł, spytał swobodnie:

— Spodziewałem się pani wczoraj. Dlaczego pani się spóźniła?

— Sprawy agencji, drogi panie Mond — odparła tym samym tonem.

Kelner oddalił się, by zrealizować zamówienie.

— No, a teraz — powiedział odsuwając talerz — proszę o wyjaśnienie, co znaczy ta napaść na samotnego mężczyznę?

— Nie wygląda pan na wystraszonego — powiedziała kpiąco. — Wyraz pana twarzy objawiał raczej tępotę. Wyszło to tak znakomicie, że chciało mi się klaskać.

— Czy po to przyjechała pani z Paryża, aby mi to powiedzieć?

— Nie tylko. Zanim jednak wyjaśnię przyczynę mego przyjazdu, coś panu powiem. Gdybym wiedziała, że pana tu zastanę, nie przyjechałabym na pewno. Mówię o tym, by sytuacja była jasna!

— Tak — przyznał poważnie. — Teraz już wszystko znakomicie rozumiem!

Nadszedł kelner, więc nie odpowiedziała. Dopiero gdy zostali sami, oznajmiła:

— Jestem wściekle głodna i będę pożerała, a nie jadła. Dlatego proszę tak się we mnie nie wpatrywać.

— Ewo! Nie widziałem pani tak długo...

Nie odpowiedziała, okazując istic młodzieńczy apetyt. Brańcyc milczał zamyślony błędząc spojrzeniem po rozległej tafli morza.

— Teraz proszę mi dać papierosa. — Odsunęła talerz i poprawiła kredkę wargi.

Podał jej paczkę, potem ogień.

— Pożera pana ciekawość, co tutaj robię?

— A panią, skąd się tu wziąłem jako Mond?

— Tylko rzeczowa wymiana informacji może być treścią naszej rozmowy. Uprzedzam, że nie mam zamiaru z panem flirtować, bo pan mi się zdecydowanie nie podoba!

— Więc pani nie jest mną zachwycona? Cóż za niezajomość ludzi!

— Proszę mi wreszcie powiedzieć, co pan tu robi? Dlaczego występuje pan jako Mond? Co to wszystko znaczy?

— Może po kolei? Jestem za mało rozgarnięty, aby opanować tyle tematów...

— A zatem — co pan tu robi?

— Nic. Wałkonię się.

— Wyczerpująca i inteligentna odpowiedź! Ale może wreszcie się dowiem, dlaczego występuje pan jako Mond?

— Hm... Kiedy pani jeszcze jadła, zastanawiałem się, co odpowiem na to pytanie. I muszę wyznać, że nic dostatecznie przebiegłego nie przyszło mi na myśl.

— A więc?

— Jest człowiek, który będzie umiał lepiej na nie odpowiedzieć, a mianowicie pani szef. Niech go pani o to zapyta.

Ewa spojrzała uważnie na uśmiechniętą twarz swego towarzysza.

— Tak pan sądzi?

— Z całą pewnością. Wystarczy podejść i zapytać: panie Mond, dlaczego zmusza pan pewnego miłego młodzieńca do wysiadania beczynnie na wybrzeżu, zamiast zezwolić mu na to, czego pragnie — mianowicie na przebywanie ze mną w Paryżu?

Roześmiała się, lecz zaraz spowaźniała.

— Przestańmy żartować, gdyż sytuacja jest niewesoła

i nie zadaję tych pytań przez zwykłą ciekawość!

— Nic nie może być poważniejsze nad to, że jestem w pani zakochany po uszy!

Wydeła wargi.

— To pan wysyłał te pocztówki? — Wyjęła z torebki kartki Monda i rzuciła je na stół.

Wziął je do ręki.

— Są ohydne! Nie mam tak złego gustu!

— Więc pan zaprzecza?

Brańcyc przyglądał jej się chwilę, wreszcie rzucił:

— Może ja z kolei panią o coś zapytam? Czy to, że pani je otrzymała, skłoniło panią do przyjazdu?

— Otóż właśnie! Nareszcie widzę trochę sensu w pana słowach!

— Pocztówka z pozdrowieniami to zwykła rzecz.

— W pewnych okolicznościach staje się jednak zupełnie niezwykłą. Proszę sprawdzić — kiedy zostały nadane?

— Dwudziestego pierwszego i dwudziestego trzeciego.

— Tak. A w nocy z dwudziestego na dwudziesty pierwszy znaleziono Monda martwego na ulicy!

Brańcyc gwizdnął cicho i spojrzał w oczy dziewczyny.

— A to dopiero! Co mu się stało? Wypadek?

— Nie. Został otruty lub też sam się otruł. Gdy potem zaczęłam otrzymywać od niego pocztówki, postanowiłam przekonać się, o co tu chodzi.

— No, no... — powiedział z podziwem w głosie. — Dzielna z pani dziewczyna! Mogła się pani dostać w niezłą kabałę! Na szczęście jednak — zakończył w swoim stylu — czekało tu na panią dzielne ramię i wierne serce!

— Pan nie ma pojęcia, jak mi pan działa na nerwy!
— zawołała z pasją.

— To jednak lepsze niż obojętność. Ale wydaje mi się, że trzeba będzie rzeczywiście zastanowić się nad sytuacją.

— Mam wrażenie, że jest ona dla pana dość kłopotliwa.

— Tak pani sądzi? Dlaczego?

— Bo pan tu siedzi jako Mond, nadając zawczasu przygotowane przez niego kartki, nie wiadomo w jakim mętnym celu i zapewne kryjąc w ten sposób jego machinacje. Jeśli teraz śledztwo wykaże, że coś przeskrobał, to panu winszuję!

— Dziękuję. Mam nadzieję, że pozostanie mi pani wierna, gdy będę siedział. Ale to później. Teraz chciałbym wiedzieć, jak panią przywitano, gdy zapytała pani o Monda? Z kim pani rozmawiała?

— Najpierw z dymisjonowanym atletą, potem z zakonnicą po cywilnemu.

Brańczyc uśmiechnął się.

— Tak. To się zgadza. Są małżeństwem i właścicielami tego pensjonatu.

— Byli mocno zaskoczeni i skonsternowani.

— Zrozumie pani ich konfuzję, jeśli powiem, że znała Monda. Nawet więcej niż znała.

— Cóż to wszystko ma znaczyć?

— To, że w sposób bardzo lekkomyślny znalazła się pani w niebezpieczeństwie. Wszystko zależało od mojej reakcji...

— Teraz rozumiem, dlaczego grubas odprowadzał mnie do drzwi tarasu! Czułam, że mnie obserwuje, ale nie znałam przyczyny

— Musieli być bardzo wystraszeni. Powstała sytuacja, której nie przewidzieli. Nie mieli innego wyjścia,

jak zdać się na los szczęścia i obserwować, co z tego wyniknie.

— Jak mam zachowywać się obecnie?

— Jak osoba wtajemniczona w tę zamianę ról. To ich uspokoi.

— A w przeciwnym razie?

— Przestraszone zwierzę zawsze jest niebezpieczne.

— A jeśli chodzi o pana?

— Ja w pewnym sensie znajduję się pod ich opieką, ale i obserwacją. Każdy stan zagrożenia dotyczący mnie obejmuje ich też.

— Ach! Zatem to pańscy współpracownicy? — w głosie jej zadrgała gorycz.

— Tylko do pewnego stopnia. — Po chwili dodał: — Mond to była jednak cwana sztuka!

— Ale stąd wniosek, że nie wiedzą o jego śmierci.

— Naturalnie, że nie! Przeglądam skrupulatnie prasę. Nie było najmniejszej wzmianki.

— Policja trzyma to zapewne w tajemnicy ze względu na dobro śledztwa.

— Tak. I dopóki nie dowiedzą się, że nie żyje, wszystko dobrze. Gdyby jednak wyszło to na jaw, będą przerażeni, bo śledztwo może wykryć dwóch Mondów pod jednym paszportem...

— No i pan leży.

— Postaram się nie dać pani tej satysfakcji.

— Muszę przyznać, że nie wygląda pan na wystraszonego. Dowodzi to, że albo jest pan ciemnym typem, albo...

— No, śmiało!

— Albo agentem policji.

— Zapewniam panią, że ani jednym, ani drugim. Powiem pani tylko tyle, ile mogę. Jestem polskim

dziennikarzem, bardzo zakochanym we francuskiej dziewczynie o ciemnych oczach i ślicznej buzi.

— Znowu to samo! Niech pan lepiej powie, co teraz robić?

— Nic. Skoro pani już tu jest, proponuje abyśmy korzystali z pięknej pogody jak dwoje turystów.

— Jak długo?

— Dopóki nie dostaną depeszy z Paryża, co powinno teraz nastąpić lada dzień. Do tego czasu cieszymy się słońcem i pięknem morza! A przede wszystkim, niech mi wolno będzie cieszyć się pani obecnością!

Wyczuła szczerłość tych słów i spojrzała na niego spod rzęs.

— Tak — powiedziała z nutką rozkapryślenia — a potem zamkną mnie razem z panem.

— Rozumiem. Wydają się pani podejrzany i myśli pani, że najlepiej będzie wrócić najbliższym pociągiem do Paryża,?

— Jeśli mam być szczerą, to istotnie pana rola wydaje mi się nieco dziwna...

Położył dłoń na jej rękę.

— Czy nie jest pani zdolna podjąć tego ryzyka?

Przez chwilę widzieli tylko swoje oczy. Dziewczyna pierwsza odwróciła głowę, marszcząc brwi. Jakiś czas siedziała bez słowa, a, zmarszczone czoło nadało jej twarzy wyraz surowości. Wreszcie wyprostowała się z uśmiechem.

— No dobrze. Spróbuję.

Wyraz radości, jaki ukazał się na jego twarzy, sprawił jej przyjemność.

— Dajmy więc spokój tym rozważaniom, i chodźmy się wykąpać. Robi się niesamowity upał!

Wkrótce schodzili ku morzu w kąpielowych płaszczach.

— Pokażę pani pewien uroczy zakątek. Kiedy leżałem tam pomiędzy głazami, myślałem sobie nieraz, że byłoby pięknie, gdyby pani była przy mnie. Chciałbym — zawahał się — abyśmy teraz tam poszli. Tak rzadko w życiu realizują się marzenia...

Po dziesięciominutowej wspinaczce, wśród zwałów kamieni, ukazała się mała kotlinka, pokryta miałkim, białym piaskiem. Nawisała nad nią ogromna skała, rzucając przyjemny cień, a po bokach zasłaniały widok wielkie, rozrzucone chaotycznie głazy. Jedyne morze było widoczne, gdyż kotlinka kończyła się kamiennym progiem, pod którym ziała dziesięciometrowa przepaść. Kiedy zrzucili płaszcze i stanęli na tym progu, Ewa ujrzała pod sobą ciemnozieloną wodę, sennie pluskającą o kamienny brzeg.

— Pływa pani? — zapytał spoglądając na jej smukłą sylwetkę.

— Nie będzie pan miał ze mną kłopotu!

— Zwykle skaczę stąd — powiedział z wahaniem. — Ale możemy skorzystać z innej drogi — wskazał przejście pomiędzy skałami. — Głazy tworzą tam jakby schody.

Ewa spojrzała w dół. Leniwe fale wzdymały się na dnie przepaści u jej nóg.

— Jakoś to będzie! — rzuciła, poprawiając czepek. — Niech pan startuje!

Poleciał głową w dół, niby brązowa strzała. W sekundę potem skoczyła za nim.

Wynurzyli się niedaleko siebie, a potem popłynęli zgodnie naprzeciw biegnącym falom.

Po wyjściu z wody położyli się w cieniu skały. Kąpiel, ciepło i zmęczenie podróżą zrobiły swoje. Zasnęła niemal natychmiast.

Obudził ją cichy szept rozlegający się nad uchem. Na wpół obudzona, uniosła nieco powieki.

Szept znów się powtórzył. Doleciały ją słowa:

— Ewo, dochodzi piąta, należy już iść.

Rozbawiona., udała, że spi. Naraz poczuła na skroni delikatny dotyk warg. Wówczas uznała, że będzie lepiej, jak otworzy oczy.

Obróciła się na plecy i widząc nachyloną nad sobą twarz mężczyzny, wyciągnęła ramię, przykładając mu palec do ust.

— Już nie śpię. Dalsze budzenie zbyteczne.

— Obiad jest o piątej. Dyrekcja prosi uprzejmie szanownych gości o punktualne przestrzeganie pory posiłków — wyrecytował.

— Jak długo spałam? — Usiadła i przeciągnęła się.

— Dwie bite godziny, czego nie wymawiam.

— A pan musiał się przez ten czas straszliwie nudzić — powiedziała z zakłopotaniem.

— Mogłem patrzeć na panią — rachunek został w ten sposób wyrównany.

— Już się to więcej nie zdarzy! — rzuciła ze złością.

Milczał jakiś czas patrząc na morze.

— Mam nadzieję, że jeszcze nieraz będę świadkiem pani snu — powiedział wreszcie.

Zarumieniła się gwałtownie.

— Idziemy! — zerwała się na nogi. — Pan jest jak zwykle niemożliwy! Żałuję, że zgodziłam się zostać!

Ale po obiedzie poszli do „Bleu Mer” na dansing, a kolację zjedli na tarasie pensjonatu. Morze było teraz ciemne i tajemnicze, linia horyzontu gubiła się w mroku, tylko szum fal dochodził do nich jednostajnym, monotonnym łoskotem. Siedzieli bez słowa. Po pewnym czasie Kamil rozejrzał się i stwierdził, że byli już niemal sami.

— Możemy sobie teraz pogawędzić — rzucił półgłosem.

— Czuję, że panią coś gnębi. Mówiłem różne głupstwa, ale obserwowałem panią cały czas. Ewo, ja naprawdę panią kocham, niech mi pani zaufa.

Milczała przez dłuższy czas. Czekał cierpliwie, nie mówiąc nic więcej.

— Powiem panu, chociaż i ja czuję, że pan ukrywa coś przede mną — odezwała się nagle, widząc powziąwszy postanowienie. — Odwołał się pan dzisiaj do mojej ambicji. Będę więc konsekwentna w ponoszeniu ryzyka.

Uśmiechnęła się, jakby chcąc go przeprosić za to, co powiedziała. Potem oświadczyła:

— Jestem podejrzana o otrucie człowieka.

Zamilkła oczekując reakcji z jego strony Kamil spytał jednak spokojnie.

— Monda?

— Tak

— Jak się to stało?

— Zanim dowie się pan, co zaszło tego tragicznego wieczoru, muszę wspomnieć o wcześniejszych wypadkach. Opowiedziała o kopercie, ostrzeżeniu i wreszcie o zdarzeniach w Pontoise. Słuchał nie przerywając. Kiedy skończyła rzucił

— Prasa przemilczała zabójstwo Volberta

— To się stało na uboczu, a policja zapewne chciała zachować wszystko w tajemnicy do czasu zakończenia śledztwa. Tak samo było i po śmierci Monda

— Dlaczego poczuwa się pani do winy z powodu tej śmierci?

— Sama tego zupełnie nie rozumiem. Wszystko wskazuje na to, że istotnie ja go otrułam. Zawahała się. — Do tego stopnia, że nie wiem, czy naprawdę tak nie było. Może zrobiłam coś, czego nie wiem, czego nie pamiętam.

— Ewo, co pani wygaduje! Proszę opowiedzieć mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami!

Ewa zaczęła mówić. Zdarzenia tamtego wieczoru, scena po scenie, przepływały przed jej oczami. Znowu przeżywała to samo, znów napięcie, strach, przerażenie kolejno ogarniały ją tak jak wówczas...

Najpierw była wizyta Allenbecka. Dowiedziawszy się od Varese'a o kopercie i ostrzeżeniu, chciał usłyszeć od niej potwierdzenie tych informacji.

Po jego wyjściu upadła na fotel zmęczona i wyczerpana nerwowo do ostatnich granic. Myśli jej były chaotyczne, niezdolne zatrzymać się dłużej na jakimikolwiek zagadnieniu.

Po upalnym dniu nastąpiła duszna, gorąca noc. Do palącej się na stoliku lampy leciały owady poprzez otwarte okna i drzwi. Z ciemności nocy dochodził daleki szum miasta. Korony drzew rysowały się ostro na tle świetlistej luny obejmującej białą, mżącą poświatą cały widnokrąg.

Pogrążona w myślach, tylko podświadomie łapała dochodzące odgłosy. Gdzieś z kamiennego bezmiaru, dyszącego znojem dnia i dusznością nocy, doleciał odległy, krótki gwizd lokomotywy, niby wołanie o pomoc utrudzonej istoty. Potem niedaleko rozległ się odgłos stukającego o trotuar obuwia.

W mieszkaniu był cicho i przytulnie. Przez uchylone do hallu drzwi dochodziło z sypialnego pokoju miarowe tykanie budzika. Lampa rzucała krąg światła na dywan i stolik. Światło to lśniło na poręczach foteli, a czerwień stojących w wazonie goździków zamieniało w żywy płomień.

Spojrzała na zegarek. Minęła jedenasta. Wstała więc, by pójść spać, kiedy u drzwi wejściowych rozległ się krótki dzwonek.

Zaintrygowana przeszła do hallu i nacisnęła guzik.

Nie słyszała stuku drzwi na dole ani odgłosu stąpań, ale po chwili kroki rozległy się pod samymi drzwiami mieszkania. Otworzyła i ujrzała przed sobą Monda.

— Pan? — Była tak zdumiona, że nie mogła powiedzieć ani słowa więcej. Gość wszedł do hallu i rozejrzył się dookoła.

— Przepraszam bardzo za spóźnioną wizytę — wyciągnął rękę — ale muszę z panią porozmawiać. Może mi pani poświęcić trochę czasu?

— Proszę bardzo. Kiedy pan wrócił? — rzuciła cofając się w głąb mieszkania. Uczucie zaskoczenia minęło; pozostała tylko ciekawość.

— Przed dwoma godzinami — odpowiedział idąc za nią.

Przekreśliła wyłącznik zapalając w bawialni lampę sufitową. Znów zauważyła szybkie, lustrujące spojrzenie gościa.

— Trzyma pani drzwi otwarte mimo parterowego mieszkania? — rzucił żartobliwie wychodząc na taras.

— To bardzo spokojna dzielnica. Zresztą noce są tak parne, że nie wytrzymałabym w zamkniętym mieszkaniu.

Widziała sylwetkę Monda na ciemnym tle nocy. Padało na nią światło z mieszkania. Wrócił do pokoju i czekał z galanterią, aż usiadła w jednym z foteli. Wówczas zajął drugi.

— Nie jest pani bardzo senna, możemy porozmawiać bez przeszkód?

— Któż by miał nam przeszkodzić? Dlaczego przerwiał pan tak nagle pobyt na wybrzeżu? Po powrocie do domu zastałam pańską pocztówkę — wskazała leżącą na stoliku kartkę. — Dziękuję za pamięć!

— Panno Ewo — Mond oparł łokcie o poręcz fotela

i złożył rozstawione palce obu rąk. — Powiem pani szczerze: wiem, co tu zaszło.

— Wie pan? Skąd?!

— Powiadomiono mnie telefonicznie — rzucił zdawkowo, po czym ciągnął dalej: — I dlatego tu jestem. Jak się to stało? Proszę mi opowiedzieć możliwie dokładnie.

Uniosła głowę i spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę. Na pełnej twarzy gościł uśmiech, ale w utkwionych w nią oczach, spoglądających spoza tłustych fałd policzków, dostrzegła wyraz czujnej, napiętej uwagi. Przypomniała sobie ostrzeżenie Allenbecka i zawahała się.

Musiał to zauważyć, gdyż dodał natychmiast:

— Oczywiście nie chcę, stawiać pani w niezręcznej sytuacji. Nie chodzi mi o tok śledztwa, lecz jedynie o przebieg zdarzeń, które i tak zapewne poznam z tutejszej prasy.

Ten argument wydawał się słuszny, toteż poczuła ulgę, że może uniknąć kłopotliwej sytuacji. Opowiedziała, co zaszło.

— Morderca za pomocą tej kartki zapewne ściągnął swoją ofiarę do Pontoise? Ale dlaczego właśnie tam?

— Oczywiście dlatego, aby na mnie skupić podejrzenie. Dowodzi tego również wzięcie mojego sztyletu, widział go pan zapewne w biurze?

— Bardzo się cieszę, że wyszła pani z tego obronną ręką. Uważam to za dowód wielkiej przenikliwości władz śledczych.

— Byłam jednak o krok od aresztowania. Nie zgadnie pan jednak, czyja interwencja mnie uratowała.

— Czyżby Lavery'ego? — Mond przechylił głowę

na bok i z zaciekawieniem spoglądał na dziewczynę.

— Nie... Piotra, służącego Laverych.

Zdumienie gościa było nieomal komiczne. Opadł na oparcie fotela i siedział bez ruchu, wpatrzony w Ewę. Małe wargi ułożyły się jak do gwizdnięcia, nie wydały jednak żadnego odgłosu. Po chwili zamrugał powiekami i pochylił się do przodu.

— Pani mówi — Piotra! W jaki sposób? Już z góry stwierdzam, że zaskarbił sobie całą moją wdzięczność za pomoc, jakiej pani udzielił! Ale jak mu się to udało?

Ewę znów ogarnęły wątpliwości, czy słusznie postępuje dając się wciągnąć w taką rozmowę. Teraz jednak nie mogła jej już przerwać.

— Zwrócił komisarzowi uwagę — powiedziała z wahaniem — że właśnie ta kartka dowodzi mojej niewinności.

— Co było dalej?

Wyczuła nacisk zawarty w tonie pytania. Uczucie niezadowolenia, że nie przerywa tej rozmowy, wzmagало się. Spojrzała w mrok nocy poprzez otwarte okno. Łuna nad miastem gasiła blask gwiazd. Na jej tle postrzępione kontury liści wyglądały jak czarna koronka, a ogród pławił się w ciemnościach i lepkiej duszności nocy. Jeden z rzadkich podmuchów nadleciał z mroku i, zafalował brzegiem firanki. Przeniosła wzrok na gościa i powiedziała wolno:

— Dalej było normalne śledztwo: co, kto, gdzie i tak dalej, cały szereg pytań o intencjach przeważnie łatwych do rozszyfrowania.

Mond wstał z fotela i przeszedł się po pokoju. Potem zatrzymał się przy dziewczynie i położył dłoń na jej ramieniu. Ręka była ciężka i gorąca. Obróciła się ku niemu,

aby uwolnić się od tego zbliżenia, które przejęło ją raptownym wstrętem.

Uniosła wzrok i popatrzyła w jego małe oczka. Światło lampy odbijało się w nich dwoma ostrymi refleksami nadając spojrzeniu wyraz drapieżności i okrucieństwa.

Cofnął rękę i przeszedł się po pokoju.

— Czuję, że wolałaby pani jak najmniej mówić o tym wszystkim. Pewnie polecono wam nie udzielać żadnych informacji? Więc tylko jeszcze jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy mówiła im pani o kopercie i ostrzeżeniu?

W tej chwili jakby coś sobie przypomniał. Zdawało się, że odpowiedź niewiele już go obchodzi. Wyjął z kieszeni kartkę papieru i obracał ją w palcach. Na jego pełnych policzkach ukazały się dwa dołeczki, a oczy błyskały teraz wesoło i przyjaźnie.

Z bezmiaru nocy doleciał daleki stuk biegnącego pociągu. Czy powinna była tak mu się zwierzać? Ogarnęło ją uczucie osamotnienia, dalekie od spokoju i bezpieczeństwa. Gdzieś zatraciła się zwykła przedsiębiorczość, energia i odwaga — wydała się sobie słaba i bezradna...

— Niech pani nie odpowiada — zabrzmiał cichy głos. — Nie trzeba. Już więcej o nic nie będę pytał;

Wzdrygnęła się i przetarła dłonią czoło. Pokój trwał jak poprzednio, widny i zaciszny, a siedzący naprzeciw człowieka uśmiechał się do niej życzliwie.

— Ale skoro już tu jestem, chcę panią o coś poprosić — ciągnął. — Dostałem list od przyjaciela. Pisany jest po niemiecku, ale kończy go hiszpańskie zdanie, dla mnie niezrozumiałe. Pani, zdaje się, zna hiszpański?

— Owszem, znam.

— Czy mógłbym panią prosić o przetłumaczenie tego zdania?

— Ależ chętnie! Proszę pokazać

Mond uniósł do oczu zapisaną kartkę. Jakiś czas przebiegał ją wzrokiem, wreszcie rzucił:

— O, mam. Jest to zdanie końcowe Brzmi ono: He aqui la única salida que me ha quedado..

— Oto jedyne wyjście, jakie mi pozostało — przetłumaczyła Ewa

— Zaraz, zaraz.. Więc jak to jest?

— Oto jedyne wyjście, jakie mi pozostało — powtórzyła

— Oto jedyne wyjście., hm, żebym tylko dobrze zapamiętał, bo to ważne.. Wie pani co, proszę mi to napisać!

— Proszę bardzo. — Sięgnęła po blok i rozejrzała się za piórem Mond podał swoje

— Służę pani.

Szybko skreśliła parę słów i podała kartkę Mondowi, Ten znów przeszedł się po pokoju, potem zatrzymał się przed nią.

— Jak pani sądzi? Kto mógł popełnić to morderstwo?

Pytanie zawisło w powietrzu Kto? Nie patrzyła na Monda, A jeżeli... jeżeli to on, o którym sądziła, że jest daleko, a był przecież tu, tak blisko! Może wrócił nie przed dwoma godzinami, lecz znacznie wcześniej?

Znów przyszło uczucie lęku, tym razem bardziej uchwytne

— Przypuszczam że to „kto” nie tylko nam nie daje spokoju — uśmiechnęła się.

— Tak pani sądzi? W każdym razie moja dzisiejsza obecność tutaj mogłaby się wydać policji podejrzana,

gdyby o niej wiedziała — powiedział patrząc jej w oczy.

— Jeśli mam być szczerą, to i mnie się tak wydaje — odparła.

— Naprawdę? — Już nie dobroduszny, ale ironiczny uśmiech pojawił się na jego ustach. — Ale to nie ma znaczenia — machnął ręką lekceważącym gestem. — Zresztą powiem pani, co o tym myślę, ale w zamian muszę otrzymać coś do napicia się. Jest duszno i mam pragnienie.

— Przepraszam, że dotąd nie pomyślałam o tym! Co prawda nic w domu nie mam, bo jak pan wie, byłam w Pontoise.

— Może trochę alkoholu?

— Owszem, jest whisky i wermut — co pan woli?

— A czego pani się napije?

— Chyba kieliszek wermutu — powiedziała z wahaniem — obawiam się jednak, że będzie zbyt ciepły. — Skierowała się do podręcznego baru i wyjęła butelkę i dwa kieliszki.

— Gorzej byłaby, gdybyśmy mieli pić ciepłą whisky — powiedział z uśmiechem.

Umieściła kieliszki na małej tacy i postawiła ją na stoliku obok butelki.

— Napijemy się za pomyślne zakończenie tej ponurej historii i za naszą dalszą współpracę! — powiedział Mond z ożywieniem, nalewając wino. — Ale... może ma pani trochę wody sodowej?

— Zaraz zobaczę — skierowała się w stronę kuchni.

Kiedy wróciła z wodą, stał oglądając jeden z obrazów. Rzucił jej pytające spojrzenie.

— Zupełnie niezła rzecz — zauważył ze znanstwem. — Holenderska szkoła, druga połowa siedemnastego wieku, prawda? — Nie czekając na odpowiedź, odebrał wodę

i dolał ją do kieliszków. Potem ujął tacę i skłonił się przed Ewą.— Życzę pani pozbycia się wszystkich kłopotów — powiedział, po czym dodał z lekkim uśmiechem — zresztą i sobie też... — Czekał, aż wypiła, a potem z tym samym uśmiechem poszedł za jej przykładem

— Och, teraz dopiero czuję, jak bardzo chciało mi się pić! — Odstawił pusty kieliszek — A teraz moje dziecko, ponieważ pani jest tak zmęczona, proszę sobie usiąść, a ja zajmę się czynnościami gospodarskimi i posprzątam.

— Co pan chce robić? — zdziwiła się.

— Posprzątam. Weźmiemy butelkę i tacę do kuchni, aby je ładnie wytrzeć; swój kieliszek wymyję i odstawię grzecznie na miejsce. A pani zostało coś niecoś na dnie, nic to nie szkodzi, ale ten kieliszek pozostawimy na stoliku — mówił bez przerwy krzątając się po pokoju — tak będzie właśnie dobrze... — dalszych słów nie dosłyszała, gdyż zniknął za drzwiami.

Była nieco zdziwiona tym jego zamiłowaniem do porządku. Usiadła w fotelu z nadzieją, że gość wkrótce wyjdzie i wreszcie będzie mogła się położyć. Czuła się coraz bardziej ociężała i senna.

Po chwili usłyszała za plecami kroki, ale nie chciało się jej obrócić. Były to jednak dziwne kroki. Stąpnięcia rozlegały się to mocno, to znów słabo, jak gdyby zastanawiał się, czy ma iść dalej. Obejrzała się gwałtownie:

Mond stał oparty o stół i dyszał z wysiłkiem. Był blady, a z czoła spływały mu strużki potu. W pewnej chwili głowa zaczęła mu drgać w gwałtownych podrzutach.

— Co panu jest?! — wykrzyknęła wstrząśnięta tym widokiem.

— Światło... Zgaś to przeklęte światło — wymamrotał poprzez zwarte szczęki. Zamilkł raptownie, dysząc ciężko Wreszcie znów się odezwał:

— Otrułaś mnie... ty gadzino... — Uniósł głowę i wpił się spojrzeniem w jej twarz. Ujrzała w jego wzroku dziką nienawiść. Był to widok tak nieoczekiwany i przerażający, że na chwilę zaniemówiła.

— Ale nic ci z tego nie przyjdzie... — mamrotał do siebie — zabiję cię i tak...

Zobaczyła, jak próbował sięgnąć ręką w zanadrze, ale ramię drgało mu w gwałtownych skurczach i dłoń nie mogła dosięgnąć zamierzonego celu. Zatoczył się i odwrócił głowę ku ścianie.

— Zgaś wreszcie to diabelskie światło!!! — wykrztusił z pasją.

Odzyskała głos.

— Panie Mond! Co się z panem dzieje?! Czym mogę panu pomóc?

— Ty przeklęta żmijo! — postyszała w odpowiedzi. — Gdzie jest apteka?!

— Za najbliższym rogiem. Co panu przynieść?

— Koraminy, ale nie ma głupich, sam pójdę... — Zatoczył się i oparł plecami o futrynę. Jakiś czas dyszał z wysiłkiem, wreszcie oderwał się i przeszedł przez hall. Otworzył sobie drzwi i zniknął w mrokach klatki schodowej.

Pobiegła za nim i nacisnęła włącznik światła. Ujrzała go, jak stał oparty o poręcz i szukał nogą stopnia.

— Znów to przeklęte światło! — wymamrotał zstępując w dół.

Po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi wyjściowych i stuk żelaznej furtki. A potem oddalający się coraz bardziej, nieregularny odgłos kroków..

Dopiero wówczas zobaczyła Varese'a stojącego w mroku

klatki schodowej. Widziała, jak drżał ze strachu. Mimo to kiedy wszedł za nią do mieszkania rzucił zdecydowanym tonem

— Co tu się stało?

Osunęła się bez sił na fotel i w krótkich słowach poinformowała go o przebiegu wydarzeń

— Gdzie jest ta kartka? Jak pani mogła napisać coś podobnego! — wykrzyknął, kiedy skończyła

— O co panu chodzi? — wyjąkała, zdumiona.

— O tę kartkę z hiszpańskim tłumaczeniem!

— Leży tam, na biurku

Porwał ją i wyciągnął zapalniczki. Kiedy spłonęła, zebrał popiół i wyszedł z nim do kuchni. Po chwili wrócił po kieliszek. Potem zjawił się z butelką i kieliszkami na tacy i kazał Ewie postawić je na miejscu. Znów zaczął się krzątać bezceremonialnie po mieszkaniu, obejrzał wszystkie kąty podłoga hallu nie podobała mu się widocznie, gdyż przyniósł ścierkę i sam ją przetarł. Wreszcie jeszcze raz obejrzał kuchnię i przydreptał do bawialni.

— Niech pani słucha, moja droga — powiedział stojąc przed nią z czupurną miną. — Nie było tu nigdy Monda! Rozumie pani?

— Ależ dlaczego? — zdziwiła się.

— Dlatego, że obecnie już na pewno nie żyje. Jak go znajdą w pobliżu pani mieszkania, jasne jest, że na panią padnie podejrzenie o otrucie. Po historii w Pontoise będzie to takie zagęszczenie podejrzeń wokół pani osoby że nieuchronnie panią aresztują!

— Tak... — wyjąkała wstrząśnięta

— Póki jednak nie udowodnią, że on tu był, jest pani stosunkowo bezpieczna!

Zaczęła rozumieć sytuację.

— Panie profesorze! — powiedziała gorąco. — Dziękuję za pomoc i obiecuję postępować, jak pan radzi!

— Zadowolenie odmalowało się na twarzy Varese'a.

— Niech się pani spodziewa niedługo wizyty tego komisarza, bo nasza policja pracuje sprawnie. Proszę nie dać się zastraszyć ani zaskoczyć podstępными pytaniami. I również ani słowa nikomu innemu!

— Kiedy już wiem, o co chodzi, dam sobie radę — powiedziała odprowadzając go do drzwi.

— I jak pan widzi, nie dotrzymałam obietnicy — zakończyła z uśmiechem swe opowiadanie.

— Wydaje mi się dziwne — mruknął zamyślony Kamil — że Allenbeck nie zabronił pana opuszczać Paryża.

— Jak pan sądzi — dlaczego?

— Kazał panią śledzić, aby przekonać się, co pani będzie robiła.

— Teraz domyślam się, kim jest ten jegomość!

Opowiedziała mu o człowieku z laską.

— No widzi pani! Znajdujemy powód łagodności Allenbecka.

— Czy nie narażam pana na niebezpieczeństwo?

— Nie. Należy jednak zachować te pocztówki, mogą się przydać dla poparcia wyjaśnień, jeśli będzie pani o to nagabywana.

— Przecież śmierć Monda pana demaskuje! Nie wiem, dlaczego gra pan jego rolę, ale bardzo mi się to nie podoba!

Zarumieniła się gwałtownie, zdając sobie sprawę, że powiedziała więcej, niż chciała. Oczekiwała, że podchwyci to w swój zwykły, na wpół żartobliwy sposób, ale Brańcyc odpowiedział poważnie:

— Proszę mi ufać. Niestety, nic więcej nie mogę teraz powiedzieć, ale już niedługo obiecuję wyjaśnić pani wszystko.

— Wierzę panu — powiedziała po prostu. — A teraz

pora spać, już jest bardzo późno — dorzuciła sięgając po torebkę. Mimo tych wszystkich kłopotów przeżyłam przyjemny dzień — uśmiechnęła się. — Jadąc tu nie spodziewałam się, że spotkam pana.

Ujął jej rękę i bez słowa uniósł do ust.

Kiedy przechodzili przez na wpół już oświetloną jadalnię, zauważył, że siedzący za bufetem grubas odprowadza ich nieufnym i chmurnym spojrzeniem.

Mieszkali na tym samym piętrze. Ewa zatrzymała się przed swoimi drzwiami i wyciągnęła rękę.

— Dobranoc!

— Jeszcze sobie to wszystko przemyślę — powiedział. — A teraz mam do pani prośbę — spojrzął na nią z uśmiechem.

— Słucham — uniosła ku niemu oczy z obawą, że usłyszyna banalną propozycję.

— Czy nie moglibyśmy mówić sobie po imieniu?

Roześmiała się.

— „Na imię mi Kamil — zacytowała. — Chwila zaś, kiedy pand użyje tego imienia, będzie dla mnie chwilą triumfu!”

— Pamięta pani? — wykrzyknął zdumiony. — O, ja idiota! Jak mogłem popełnić taki błąd!

— Właśnie! Nie mogę przecież dopuścić, aby pan triumfował. Obiecałam to sobie bardzo solennie.

— Kobiety są tak urocze, kiedy nie dotrzymują obietnic.

— I mnie się to zdarza, ale nie widzę w tym nic uroczonego. Tej obietnicy jednak dochowam — otworzyła drzwi do swego pokoju.

— No, trudno — westchnął. Zatem dobranoc.

— Dobranoc — rzuciła znikając za drzwiami. Potem je uchyliła i dodała:

— Pozwalam ci śnić o mnie, Kamilu..

Kiedy następnego dnia zasiedli do obiadu przy swoim stoliku, podszedł do nich gospodarz z depeszą w ręku.

— To dla pana — podał kopertę.

Kamil szybko rozerwał opaskę i przeczytał: „Wracaj do Paryża. Pozdrowienia dla Ewy. Raoul.”

— Musimy wracać — westchnął. — Było cudownie, ale czułem, że to szybko się skończy.

Ewa spojrzała na adres.

— Na nazwisko Monda? — szepnęła. — Więc jeszcze ktoś wie o tej mistyfikacji?

— Przeczytaj treść, znajdziesz tam jeszcze jeden powód do zdziwienia.

— Pozdrowienia dla Ewy? Kamilu, co to znaczy? Kto to jest ten Raoul?

— Wspaniały typ! Dowódca mojej grupy z Resistancje. Poznasz go w Paryżu!

— Czy masz do niego zaufanie?

— Wielkie nieba! Dziewczyno, mówisz herezje! Jestem szczęśliwy, że on ma do mnie trochę zaufania!

— Skąd on wie, że tu jestem? Przecież nikomu nie mówiłam o swoim wyjeździe.

— Daje mi w ten sposób do zrozumienia, że o tym wie, i zakłada, że zastanowię się, skąd ma tę wiadomość. A że jest przyjacielem Allenbecka, który prowadzi śledztwo w sprawie Monda i Volberta, stąd jasne, że wie o tym od niego.

— A skoro Allenbeck wie, to znaczy, że śledzi moje poruszenia...

— Świetnie! Widzę, że już się orientujesz!

— Czyli w ten sposób Raoul daje ci znać, że jestem śledzona?

— Tak. Nie przypuszczając oczywiście, że już to wiemy. A teraz pewna ciekawostka, która na pewno cię zainteresuje.

- No?
- Wiesz, jak się nazywają nasi gospodarze? Państwo Beyer, ale nazwisko panieńskie madame brzmi Mond.
- Coś niesłychanego! Zatem to jego krewna?!
- Siostra.
- Kamilu... Co to znaczy?

Brańczyk uśmiechnął się.

— Rodzinka. Brat przyjeżdża, zostawia paszport, prosi, aby zameldować go na pobyt kilkudniowy — co ułatwia się przy zgłaszaniu gości w sposób zbiorowy — umieszcza pod swoim nazwiskiem niejakiego Brańczyka, ze względu na otoczenie i służbę, a sam fruwa po świecie jako człowiek-nikt. Siostra i szwagier godzą się, zapewne są od niego w pewnym stopniu zależni i oto masz cały obrazek. Jako zastępcą posłużył się człowiekiem, który zgłosił się do niego o pomoc w urzędzeniu się na terenie Francji, gdyż nie chciał rzekomo wracać do swojej ojczyzny. To była nadzwyczajna okazja, którą też wykorzystał natychmiast. Taki nieporadny, trochę zalękniony cudzoziemiec proszący o pomoc i gotów do wykonania wszelkich zleceń, bez znajomości stosunków i ludzi, a pełen obawy przed policją — nadawał się doskonale do tej roli. Można mu było wiele obiecać, a potem, gdyby stał się niewygodny, łatwo i bez ryzyka spławić bez śladu.

— Mond był jednak bardzo ostrożny. Skąd mógł wiedzieć, że ten cudzoziemiec jest istotnie tym, za kogo się podaje?

— Cudzoziemiec miał list polecający od jednego z jego przyjaciół, człowieka poważnego i zasługującego na zaufanie.

— Wiesz, co mi przychodzi na myśl? — Ewa zmieniła temat.

- No?
- Mówisz, że ta kobieta, jego siostra, nazywa się Mond? A więc to jego prawdziwe nazwisko! Czy jesteś pewny swoich informacji?
- Tak. Nie wałkonilem się tak bardzo, jak może przypuszczasz.
- Jeżeli to jego prawdziwe nazwisko, wówczas Mond nie jest Clestilem!
- Brańcyc zmarszczył brwi.
- Co masz na myśli?
- Wiemy, że tamten ukrywa się pod przybranym nazwiskiem. Skoro Mond to nazwisko prawdziwe, zatem nie jest on Clestilem!
- Brawo, pani Pinkerton! To spostrzeżenie powinno sprawić Raoulowi trochę kłopotu! No, a teraz idź się pakować, ja załatwię gospodarza.
- Ja swoje wydatki pokrywam sama!
- Nie przejmuj się. Powinnaś mnie przyzwyczajając do tej smutnej konieczności!
- Podróż do Paryża odbyli bez przygód. Ewa przespała ją używając ramienia Kamila jako poduszki.

Jednostajne brzęczenie muchy nie pozwalało myśleć spokojnie. Początkowo nie zwracał uwagi na ten uprzykrzony, monotony dźwięk, wreszcie jednak wyprostował się w fotelu i spojrzął na lampę.

Mucha brzęczała zataczając wokół niej szybkie kręgi. Łagodne światło padało żółtym kręgiem na blat biurka. Komisarz machnął ramieniem.

Chwył się udał. Uznał to za dobry omen i zabrał się z powrotem do studiowania rozłożonego materiału.

Protokół znał już niemal na pamięć. Od początku zresztą

nie interesował go zupełnie. Natomiast list — jeden, jedyny list pomiędzy znalezionymi zdjęciami, ten był niby orzech kokosu. Zawierał smakowitą treść, do której nie można było się dostać. Zdjęcia stanowiły materiał, rzucający światło na rzeczy nie dotyczące głównego kierunku śledztwa. Częściowo stało się już wiadome, kogo przedstawiają i jakiego rodzaju machinacjom służyły. Ustalenie reszty było kwestią czasu i może żmudnych, ale nieskomplikowanych dociekań.

Również mężczyzna w mundurze i czapce sterczącej butnie ku górze, z poziomo rozłożonymi, długimi skrzydłami orła, został już zidentyfikowany.

List jednak — ten stanowił temat dociekliwych myśli komisarza. Mimo późnego wieczoru siedział jeszcze w biurze rozgryzając jego treść i starając się dojść, kto mógł być jego autorem. Był to w każdym razie ktoś, kto dużo wiedział o Volbercie.

Cisza panująca w gabinecie sprzyjała rozmyśleniom. Poczuł głód, ale po chwili już o nim zapomniał. Rozważał wszystkie za i przeciw analizując szczegółowo i beznamiętnie możliwości i szanse. Żadna z ewentualności nie pasowała całkowicie do istniejących wymogów. Gdzieś było czegoś brak, to znów powstawał zbyt podejrzany nadmiar szans.

Kwestia, kto był autorem tego listu, nie wyczerpywała jednak całego zagadnienia. Nie mniej interesujące było, kogo mógł on dotyczyć. Czy istotnie człowieka w mundurze? A może chodziło tu o zupełnie coś innego, o kogoś, kto stał poza całym tym bigosem? Zakres działalności Volberta był przecież dość szeroki. Śledztwo w tym kierunku, mimo że właściwie dopiero rozpoczęte, dało spory materiał wykazując bogaty repertuar środków presji, pomysłowość w ich stosowaniu i spory zasób kompromitujących

dowodów, jakie ten człowiek umiał zebrać. Volbert był w swojej specjalności nie byle tuzem. Jednocześnie coraz wyraźniej i w coraz ostrzejszych konturach zaczęła się rysować postać pani Volbert. Kobiety wchodziły w zakres działalności mężczyzny, mężczyźni zaś — jego zaradnej połowicy. Stanowili zgraną parę drapieżników

List pisany był na zwykłym papierze, na maszynie i nie miał podpisu. Nie wykryto również żadnych śladów palców, co dowodziło, że piszący lub pisząca musieli używać rękawiczek. Brzmiał zaś, jak następuje:

„Przesyłam ci materiały dotyczące osoby, którą znasz. Nazwisko jej załączam na osobnej kartce. Możesz wykorzystać te materiały. Mówią zbyt wiele, aby nie warte były zapłaty. Nie bierz od razu dużo — im dłużej będziesz ciągnął, tym więcej uzyskasz.”

Kartki, o której mówił autor, przy liście nie było. Tylko w lewym górnym rogu znajdowały się dwa małe otworki, jakie pozostawia po sobie szpilka.

Kto napisał ten list? Kogo on dotyczył? Alicji? Monda? Oba te zagadnienia były bardzo absorbujące i na oba nie mógł udzielić odpowiedzi, nawet ze znikomą szansą prawdopodobieństwa. Varese? Lavery? Ewa? Może nikt z nich? Może list nie dotyczył tej sprawy?

Wycucie mówiło mu jednak, że nie powinien mieć wątpliwości. Znalezienie autora listu — był przekonany — wyjaśniłaby dużo.

Allenbeck niechętnie zamknął teczkę i wstał z za biurka. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Postanowił jeszcze tego wieczoru pogawędzić z panią Volbert. Kolacja mogła zaczekać.

Zgasił światło i wyszedł na korytarz. Zgłosił dyżurnemu

podoficerowi kolejne miejsca pobytu i wkrótce był na ulicy.

Magiczne słowo „policja” otworzyło mu drogę za kulisy. Sam znalazł właściwe drzwi i po krótkim stuknięciu, nie czekając na zezwolenie, wszedł do garderoby tancerki.

Panna Bellano musiała akurat skończyć swój występ, bo była w trakcie przebierania się. Nie okazała zdziwienia na jego widok ani zażenowania swoim niekompletnym strojem. Uważała bowiem, że kobieta w bieliźnie wzbudza żywsze zainteresowanie niż ubrana w najwytworniejszą toaletę.

— O, szanowna władza! — wykrzyknęła beztrąsko.
— Proszę się odwrócić, bo jestem nie ubrana! A tam jest lustro! — dorzuciła żartobliwie, wskazując gotownię.

Komisarz siadł na kruchym krzeselku przewieszając ramię przez jego poręcz. Panna Bellano narzuciła szlafroczek i osunęła się na kozetkę ukazując poza kolana istotnie wspaniałe nogi.

— Czym mogę służyć, drogi komisarzu?

Allenbeck spojrział na nią spod oka.

— Niczym. Przyszedłem trochę pogawędzić.

— Proszę bardzo — powiedziała ostrożnie. — Jestem właśnie po występie i mam czas.

— Chciałbym dowiedzieć się coś niecoś o interesach, jakie prowadził pani mąż.

Tancerka wzruszyła ramionami.

— Zdaje się, że już odpowiadałam na to pytanie. bSprawy te nie są mi bliżej znane.

Allenbeck uśmiechnął się dobrodusznie.

— Może jednak coś sobie pani przypomni? Każdy szczegół ma dla mnie znaczenie. Przecież były okresy, nawet dość długie, kiedy przebywaliście razem.

— Owszem, ale Filip nie informował mnie o swoich

sprawach. Jak już zeznałam, tylko raz czy dwa odebrałam telefon, a z tego, co mi się obilo o uszy, nie mogłam wiele się domyślić. Nic więcej. Obawiam się, że to zbyt mało, aby zaspokoić pana ciekawość.

— Pani obawy są zupełnie słuszne. — Allenbeck wziął z gotowalni szczoteczkę do rzęs. Bawił się nią jakiś czas oglądając z zainteresowaniem. Potem ujął ją w dwa palce, odłożył na miejsce i spojrzął na tancerkę.

— Czy pani zna doktora Lebrun?

Panna Bellano obciągnęła szlafroczek na kolana. Jej duże niebieskie oczy wpatrywały się w komisarza z wyrazem dziecięcego zainteresowania.

— Doktor Lebrun? — powtórzyła. — Zaraz... skądś znam to nazwisko... Tak! — rzuciła wreszcie z ożywieniem. — Poznałam go swego czasu, ale już dość dawno.

— Tak... tak... — komisarz pokiwał głową. — To jest zgodne z tym, co mi wiadomo, Jak długo trwała ta znajomość?

— Jak to — jak długo? To nie była znajomość, którą by można tak określić. Znam go do obecnej chwili. Pozналиśmy się w czasie jakiejś kolacji, potem kiedyś spotkałam go przypadkowo i to wszystko.

— To wszystko? — Allenbeck nieco przeciągnął te dwa słowa. — Coś niesłychanego, co ci ludzie wygadują! Proszę sobie wyobrazić, że dopatrywali się w tej przelotnej znajomości trwałego stosunku.

Tancerka wyduła pogardliwie wargi.

— Jeśli ma pan zamiar wierzyć wszystkim plotkom, nic na to nie mogę poradzić.

— Czyż powiedziałem, że wierzę? Przecież trudno uwierzyć, aby za kilka listów i jedną fotografię z dedykacją warto było zapłacić pół miliona franków. Dość drogi autograf, nawet jak na tak znanego lekarza! Chyba, że

komuś grozi proces o złamanie obietnicy małżeństwa!

W oczach panny Ballano zgasł dotychczasowy kokieteryjny błysk. Nie były już rozwarte szeroko, gdyż powieki przykryły je nieco nadając spojrzeniu wyraz ostry i czujny. W ich kątach pojawiły się małe zmarszczki.

— Kategorycznie temu zaprzeczam! — wykrzyknęła prostując się gwałtownie.

— Ależ ja nie mani zamiaru upierać się przy tym! Może pani nawet nic nie wiedziała, bo pieniądze wpłynęły na konto pani męża.

— Otóż to! A pan stawia mnie swymi pytaniami w dziwnym świetle! — Panna Bellano przybrała minkę obrażonego brzdąca.

— Tym bardziej temu nie wierzę, że mi wiadomo o wypadku, którym okazała pani nadzwyczajną uczynność. Dowodzi to wielkiej szlachetności, bo sprawa nie była zbyt przyjemna. Pani Parsoir znalazła się istotnie w podłej sytuacji. Oszalały z miłości kochanek żądał jej rozwodu grożąc publiczną awanturą, jeśli nie porzuci męża i nie wyjdzie za niego. Mąż pani Parsoir, prezes concernu „Unia”, był jednak zbyt zamożnym człowiekiem, aby tej nieszczęsnej kobiecie uśmiechała się taka zmiana. Dzięki pani zdolnościom dyplomatycznym i poświęceniu udało się w rezultacie sprawę załatwić ugodowo, ale dość kosztownie. Trzy miliony franków — to jednak coś znaczy.

— Tak — kiwnęła głową. — To był straszny łobuz. Niejaki pan Tournelle.

— Wówczas tak istotnie się nazywał. Był rzekomo kawalerem, tak jak pani osobą niezamężną. Naprawdę jego imię i nazwisko brzmiało: Filip Volbert.

Usta kobiety zacięły się, a twarz nabrała drapieżności
Przez jeden z policzków przeleciał nerwowo tik

— Nie widziałam na oczy owego Tournella! Pertrak-
towaliśmy z jego adwokatem! Niczego mi pan nie udo-
wodni!

— Dlaczego ta sprawa tak panią zdenerwowała —
spytał ze zdziwieniem Allenbeck — Powinna pani być
zadowolona że jej uczynność została uwieńczona sukce-
sem.

— Niech pan nie struga wariata! — rzuciła wyzywa-
jąco — Czy Lebrun może powiedzieć, że słyszał ode mnie
słowo o pieniądzach? Czy może mi pan dowieść, że wie-
działam kto te jest Tournelle? Przecież ta głupia baba nie
mogła mi nawet pokazać jego fotografii bo jej nie miała!
Bawi się pan ze mną jak kot z myszą, ale niech się panu
nie zdaje że się przestraszę i przyznam do czegoś, n czym
nie mam pojęcia!

— Nie miała pam również pojęcia o kłopotach w ja-
kie wpadł Bertold z „Air-trans”? A panie Poux, Lestrade,
Raoudou? Te z tych ładnych zdjęć?

— Nic o tym nie wiem! Mówiłam już panu że nie in-
teresowałam się sprawami Filipa! Proszę nie wciągać mnie
w te brudy!

— Och możeż ty niewinne dziecię! Interes był dobrze
zorganizowany. Mężczyźni to pani kompetencja - zała-
tował ich potem Filip. Kobiety to znów jego pole popisu, a
pani służyła im później radą i pomocą. Ale to nie Filip był
duszą i mózgiem tej małej organizacji. To pani była twór-
czynią owych pomysłowych figielków. Przez panią za-
strzelił się Armande bojąc się skandalu, pani doprowadziła
do bankructwa Boyda, stała się przyczyną sprzeniewierze-
nia a potem uwięzienia młodego Wendla!

— Obliziesz własny nos, zanim mi to udowodnisz! — Maska uroczego dziewczątka zniknęła. Twarz wykrzywiła złość nadając rysom wyraz przebiegłości i cynizmu.

Allenbeck spokojnie przyjął ten trywialny wybuch.

— Nie warto się denerwować — powiedział obojętnie. — Udowodnię czy nie, to sprawa uboczna. Zastanawiam się teraz, dlaczego była pani zazdrosna o Ewę Fontenay, a o inne kobiety nie? Bo tamto to był tylko interes, a ta dziewczyna była obiektem istotnego zainteresowania, prawda?

Parma Bellamo poprawiła szlafroczek na piersiach, po czym rzuciła spojrzenie w lustro. Była już opanowana, a na jej twarz powrócił zwykły, dziewczęcy uśmiech.

— Nie byłam o nią wcale zazdrosna! Sprawki Filipa nic mnie nie obchodziły, ile razy mam to powtarzać?

— Po co więc te oskarżenia pod jej adresem? Doszła pani do przekonania, że należy słownie poprzeć dowody, które już istniały?

Panina Bellano zmarszczyła brwi.

— Chce minie pan zrobić również i w to morderstwo? — rzuciła zjadliwie.

— Partner stał się niewygodny? Uznała pani, że nie ma sensu dzielić się nadal zyskami, a małżonek był uparty? Po śmierci można by łatwo wszystko zwalić na niego. Groźba zdemaskowania zaczęła coraz częściej straszyć?

Allenbeck ze zdumieniem ujrzał, jak w pięknych oczach pojawiły się łzy. Uniosła wzrok na komisarza i powiedziała cicho:

— Dlaczego pan mnie tak męczy? Czy dlatego, że jestem słabą, bezbronną kobietą? Że nikt nie stanie w mojej obronie?

Jakże inaczej wyglądała przed chwilą! Zmiana wyrazu była tak zupełna, tak świetnie zrobiona, że ogarnął go podziw.

— Nie mam zamiaru pani męczyć — rzucił z ironią. — Przecież to jasne, że pani jest niewinna. Przyszedłem tu jedynie w tym celu, by zyskać pani pomoc.

— Moją pomoc? — uniosła brwi do góry. Na rzęsach błyszczały jeszcze krople łez. — Ależ oczywiście, drogi komisarzu, jeśli tylko coś będę mogła dla pana zrobić, proszę na mnie liczyć!

— Niech pani da spokój tym sztuczkom i powie mi otwarcie: czy Filip szantażował Monda?

— Chce pan ode mnie informacji, a jednocześnie upiera się przy swoich podejrzeniach! Ja doprawdy nie stosuję żadnych sztuczek! — Pochyliła się ku komisarzowi. Miał jej twarz z rozchylonymi ustami tuż przed sobą. Jednocześnie opuściła rękę tak, że klapy szlafrocza rozchyliły się pozwalając głęboko obejrzeć dekolt. Komisarz mógł stwierdzić, że istotnie widok wart był oglądania. Poczul delikatny zapach jej skóry i drażniących perfum.

— Właśnie to widzę — powiedział spokojnie. — A trzeba, żebym nabrał do pani zaufania.

— Co mam zrobić, żeby mi pan uwierzył? — cofnęła się z rozkapryszonym wyrazem twarzy.

— Proszę mi powiedzieć prawdę.

Panna Bellano milczała przez chwilę, wreszcie westchnęła.

— Przypominam sobie, że istotnie coś mi się obito o uszy. — Zmarszczyła brwi, a na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia. — Aha, już wiem! — ożywiła się. — Tak, kiedyś wyrwało mu się parę słów na ten temat. Było to bodaj po telefonie tej kobiety. Zaczęłam robić mu wyrzuty, nawet pokłóciliśmy się. W pewnej chwili, pod

wpływem złości, zawołał: „Ty byś nawet i Monda gotowa wziąć w obronę!” Kiedy mu powiedziałam, że nie wiem, o kim mówi, rzucił: „Nie znasz tego drania? Ostatnio zaczyna kląć, że jestem za drogi!” Potem mruknął już do siebie: „Może sobie kląć... Nic mu to nie pomoże”...

— Czy potwierdzi pani to zeznanie na piśmie?

— Czy zależy panu na tym? — zmysłowemu uśmiechowi towarzyszyło spojrzenie spod rzęs.

— Nie tak, aby za to płacić — powiedział zimno.

Panna Bellano opuściła wzrok z lekkim uśmiechem na ustach.

— Owszem, mogę to panu dać na piśmie. Czy to już wszystko?

— Nie. Mam jeszcze jedną kwestię do wyjaśnienia.

— Słucham.

— Czy nie domyśla się pani, kto napisał ten list, znaleziony przez nas podczas rewizji?

Chwilę zastanawiała się.

— Ach, ten! Nie wiem!

Komisarz wyczuł, że nie kłamała.

— Czy nie wie pani również, jakie nazwisko figurowało na brakującej karteczce?

— Miałam tę kartkę w ręku — powiedziała patrząc mu w oczy — gdyż wyrzucił ją do kosza. Ale nie mogę sobie przypomnieć.

— Niech się pani postara.

— Dobrze, możliwe, że sobie przypomnę, o ile nie będzie mnie pan denerwował swoimi niemądrymi podejrzeniami. Jeżeli pan mi to obieca, postaram się panu pomóc, zgoda? — Uniosła główkę do góry, gdyż komisarz wstał z krzesła.

— Nie jest to takie ważne, jak się pani wydaje — powiedział obojętnie, kierując się ku drzwiom.

Bonivarde obrzucił pokój lustrującym spojrzeniem.

— Widzę, że urządziłeś się tu wcale dobrze. Madame Comparde dba o ciebie. — Położył kapelusz na stole i podsunął sobie krzesło. — Widać stąd połowę Paryża.

Spojrzał na pelargonie stojące na parapecie okna. Na tle błękitu nieba kwiaty jarzyły się czerwonymi plamami. Pokoik był mały i lśniący czystością. Białe firanki nad jednym oknem oraz kwiaty w doniczkach nasuwały przypuszczenie, że jest to raczej dziewczęce mieszkanie. Istotnie był to pokój panny Comparde, która znajdowała się właśnie na studenckim obozie.

— A więc — zagał Bonivarde — jak było? Wyjechaliście razem?

— Nie. Ja w dwa dni po nim. Wyzaczył mi spotkanie w Marsylii, skąd tym samym pociągiem, ale w różnych wagonach udaliśmy się na miejsce.

— Kiedy przyjechała dziewczyna?

— W sobotę.

— Mieszkacie w tym samym pensjonacie?

— Tak — odpowiedział powściągliwym tonem Brańcyc.

Bonivarde zerknął na niego spod oka i uśmiechnął się.

— No i cóż? Zakochałeś się?

Kamil uśmiechnął się.

— Dość gruntownie. Żenię się z Ewą. Wyjeżdżamy do Polski natychmiast po zakończeniu sprawy. Wydaje mi się, że śmierć Monda jest tym zakończeniem. Śledztwo zostanie chyba zamknięte przed upływem mego urlopu?

Bonivarde nie odpowiedział. Obrócił głowę w stronę okna i przez pewien czas błędził spojrzeniem po łamanej gmatwaninie dachów ciągnących się niby fale kamiennego

morza Po chwili wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju
— Muszę ci otwarcie powiedzieć, co o tym myślę.
Wydaje mi się, że powzięłeś pochopną decyzję. Przyznaję,
że panna Fontenay to urocza istota, ale..

Kamil zerwał się na nogi.

— Ani słowa więcej, pułkowniku!

Bonivarde zmierzył go surowym spojrzeniem, lecz powiedział spokojnie:

— Była świadkiem śmierci Volberta, a śmierć Monda nastąpiła blisko jej mieszkania. To daje do myślenia

— Mimo pana obiekcji, powiem panu coś, pułkowniku, gdyż wiem, że nie przysporzy pan Ewie kłopotów Ale to ważna wiadomość, na pewno okaże się panu potrzebna..

— Słucham?

— Istotnie Mond otrął się w jej mieszkaniu.

Bonivarde obrócił się gwałtownie.

— Co?!! — rzucił ostro. — Skąd wiesz?

Brańczyk powtórzył dokładnie relację dziewczyny. Kiedy skończył, gość odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— Dlaczego wprowadziła w błąd policję?

— Bała się, zwłaszcza po historii w Pontoise.

— A więc jeszcze jeden argument przeciwko niej.

— Nie wierzę! To prędzej Mond przyszedł ją otruć.

— Po co Mond miałby ją truć?

— Może wiedziała o nim coś bardzo istotnego, z czego nie zdawała sobie sprawy? Stała się przez to zbyt niebezpieczna. Mogła w każdej chwili pojąć wagę posiadanej informacji lub skojarzyć sobie pewne fakty.

Bonivarde zamyślił się.

— Może — bąknął wreszcie — Ale jednak z zimną

krwią okłamała urzędnika prowadzącego śledztwo. Teraz musi sama się zgłosić, by zmienić zeznanie.

— A cóż miała zrobić? Pragnęła uniknąć aresztowania! Zresztą może mimo wszystko nie postąpiłaby w ten sposób, gdyby nie rada starego profesora.

— Ach, więc to pan Varese udzielił jej tej rady? Ciekawe. — Boniviarde pokręcił głową. — Trzeba to jeszcze przemyśleć.

Zmarszczył brwi i bez słowa zbliżył się do okna. Kamil widział ostry kontur jego głowy i szerokich ramion na tle niebieskiego nieba. Stał odwrócony tyłem do pokoju. Upłynęło sporo czasu, zanim się obrócił.

— Powrócimy jeszcze do tej sprawy, teraz jednak interesuje mnie co innego. Mond zginął, ale, jak widzisz, nic jeszcze nie jest wyjaśnione. Wszystko pogmatwało się w nieoczekiwany sposób. Podczas naszej pierwszej rozmowy nie miałem pojęcia, jakie rozgałęzienia ma ta sprawa. Wydawało mi się wówczas, że jedno tylko stoi przed nami zadanie: zdemaskować destila i oddać go w ręce władz. A Mond to poszukiwany przez nas Cestil. Tymczasem na samym finiszu okazało się, że jest to tylko boczna odnoga jakiegoś podziemnego nurtu, odrost głównego korzenia, który został ucięty poza nami, nieomal bez naszego udziału. Nie odgrywaliśmy w tej akcji żadnej roli. Ktoś uprzedził nas i uprzedził sąd. Tego człowieka dosięgła inna, nie nasza ręka.

— Czyja? — spytał cicho Brańczyc.

— Ba! Stoimy przed całą serią zagadek. Wiem, że Volbert szantażował Monda — jestem w bliskim kontakcie z Allenbeckiem — ale kto udzielił mu potrzebnych do szantażu informacji? Kto zabił Volberta, a potem Monda? W związku z historią alibi w Marsylii byłem pewny, że

Volberta zabił Mond. Jego śmierć postawiła jednak pod znakiem, zapytania całą tę koncepcję, chociaż tej ewentualności nadal nie wykluczam. Jaką rolę gra tu panna Fontenay? A Varese? Dlaczego tak skrupulatnie zacierał ślady pobytu Monda? Czy tylko ze względu na bezpieczeństwo dziewczyny? Wiadomo, że był w kontakcie z Mondem, znali się. Po co jeździł do Pontoise i czy naprawdę wrócił przed nocą? Na chwilę przed zabójstwem zjawia się tam tancerka, o której wiemy, że jest niebezpieczną szantażystką. Po co tam przyjechała, i to pod tak naciągniętym pretekstem? Z tej grupy osób tylko przy Laverych nie ma cieni. Ale czy to właśnie nie jest podejrzane? Alicja jest zbyt prostolinijna i bezpośrednia, zresztą ma ona swoje, bardzo poważne strapienia. A jej mąż, Ben Lavery? Wiem o nim niejedno. Niekoniecznie są to wiadomości pochlebne...

— Co pan obecnie zamierza, pułkowniku?

— Dopiero teraz, po śmierci Monda, sprawa stała się niezrozumiała i dziwnie zagmatwana. Co za paradoksalna sytuacja! Kiedy już byłem przekonany, że zbliżamy się wreszcie do końca, odsłania się mroczny gąszcz, w którym ukrywa się istotny przeciwnik, wyjątkowo chytry i podstępny.

— Czy ma pan jakieś podejrzenia?

— Mam. — Bonivarde obrócił się do towarzysza. — Jutro obejrzymy sobie pewne mieszkanie. Nikt w nim nie mieszka, służy ono tylko za kryjówkę.

— Wybierzemy się tam razem?

— Tak. Czekaj na wiadomość tutaj, pomiędzy drugą a trzecią.

— To kryjówka tego człowieka?

— Tak. Tylko brak mi jeszcze dowodów potwierdzających moje podejrzenia. Ale wierz mi, to człowiek okrutny

i bezwzględny. Twarz ma jednak zawsze pogodną i rozjaśnioną uśmiechem.

— Kto to jest?

— To ten, który ma na sumieniu śmierć Volberta i jeszcze coś więcej.

— Więc jednak nie Ewa? — powiedział ironicznie nieco Kamil.

— Widzę, że interesuje cię tylko jeden aspekt tej sprawy, a mianowicie osoba panny Fontenay.

Twarz Kamila zasępiła się.

— Nie rozumiem, dlaczego jest pan do niej tak uprzedzony — powiedział zimno.

— To nie jest uprzedzenie. — Bonivarde położył mu rękę na ramieniu. — A więc bądź w domu między drugą a trzecią..— Sięgnął po kapelusz.

Pan Varese był w domu i przyjął komisarza, jak starego znajomego. Kiedy wreszcie usadowił gościa — komisarz przyjmował zapobiegliwą krzątaninę wokół siebie z dobroduszną aprobatą — sam zajął miejsce w ulubionym fotelu i rzucił żartobliwie:

— Oczywiście nie przychodzi pan do mnie tylko z wizytą. Co tym razem chce pan wiedzieć?

— Istotnie, chciałem z panem porozmawiać o różnych sprawach.

Varese popatrzył na komisarza spod nastroszonych brwi. W spojrzeniu tym ukazał się przelotny wyraz niechęci. Ponieważ milczał, komisarz ciągnął dalej:

— Może na początek zechce mi pan powiedzieć coś o sobie. — Na przykład — o której pan chodzi spać, panie Varese?

— O dwunastej, pierwszej w nocy — odparł ze zdziwieniem stary profesor.

— Tak... tak... nam, starym ludziom nie potrzeba już tyle snu, wiem coś o tym. Ale, przy okazji, czy słyszał pan, jak nadszedł Mond?

— Mond? Kiedy? — Zdziwienie Varese'a było tak szczere, że Allenbeck zawahał się przez moment.

— Czyżbyśmy się nie rozumieli? Mam na myśli ów wieczór śmierci Monda.

— Nic mi naie wiadomo, że był tutaj.

Starzec wzruszył ramionami.

— Ej, czyżby, panie Varese?

— Z całą pewnością!

— Hm... zatem zostałem wprowadzony w błąd przez pannę Fontenay, która już zmieniła zeznanie. No, ale nie ujdzie jej to na sucho. Posiedzi sobie za oszukiwanie władz!

— Czyżby panna Fontenay istotnie tak zeznała? — W głosie profesora zadrgał niepokój.

— Niech pan sobie wyobrazi! Opowiedziała mi historię tego wieczoru ze wszystkimi szczegółami. Co za bujna wyobraźnia!

Allenbeck zauważył wrażenie, jakie wywarły jego słowa.

— Może był u niej, a ja tego nie zauważyłem — mruknął Varese.

— Panie profesorze — Allenbeck zaczął mówić przyjaznym tonem. — Porzućmy te niepoważne wykrety. Rozumiem, że chce pan bronić panny Fontenay, ale obecnie to już niepotrzebne, nie mam zamiaru jej aresztować. Proszę mi opowiedzieć, co pan wie o tej historii, a zapomnę, że chciał mnie pan wprowadzić w błąd.

Varese poprawił się w fotelu unikając spojrzenia komisarza.

— Jak to się stało, że panna Fontenay zobaczyła pana

u tylnych drzwi, kiedy Mond opuszczał jej mieszkanie?

— A więc dobrze, niech będzie — zdecydował się Varese. — Chciałem ją ochronić, ale skoro ona sama... No cóż, to jej sprawa, nie moja.

— Przed czym pan chciał ochronić?

— Najpierw przed niebezpieczeństwem, jakie jej groziło, bo byłem zdania, że ostrzeżenia należy traktować poważnie, a następnie przed panem. Sądziłem, że dojdzie pan do mylnego wniosku, że to ona zatrąła Monda, a konsekwencje takiego założenia byłyby dla panny Fontenay bardzo przykre. Poradziłem jej więc, aby nie przyznawała się, że Mond był u niej.

— Będę z panem szczerzy i powiem, że nie była to rada tak bardzo głupia — uśmiechnął się Allenbeck. — No, ale obecnie już jej nie podejrzewam.

— Bardzo jestem rad, że to słyszę. Oczywiście nie ma sensu nadal ukrywać istotnego przebiegu wypadków. Pana oświadczenie ułatwia mi bardzo, zmianę decyzji. A zatem, o co panu chodzi?

Allenbeck roześmiał się.

— Wróćmy do poprzedniego tematu. Czy słyszał pan, jak nadszedł Mond?

— Tak, słyszałem. Drzwi z pokoju panny Fontenay, wychodzące na ogród, były otwarte. Wyszedł na taras, potem wrócił do mieszkania. Ponieważ siedziałem właśnie na balkonie, doleciały mnie niektóre jego słowa. Balkon mój znajduje się akurat nad dolnym tarasem — wskazał ręką poza siebie.

— A następnie?

Varese nie spuszczał wyblakłych starczych oczu z twarzy komisarza. Poprawił się w fotelu, potem znieruchomiał i opuścił powieki. Wyglądało to, jakby zasnął. Po chwili jednak spojrzął na swego gościa i odezwał się:

— Postanowiłem zejść na dół. Przyszło mi na myśl, że może będę dziewczynie potrzebny.

— Nie miał pan zaufania do Monda?

Profesor zmieszał się.

— Nie... nie bardzo. Ciągłe chodziło mi po głowie to ostrzeżenie. Czułem, że coś się za tym kryje, ale, nie wiedziałem, co, dlatego tym bardziej byłem niespokojny. Już panu chyba mówiłem, że polubiłem tę dziewczynę. Nie mogłem sobie wówczas darować, że nie starczyło mi, cierpliwości, aby zostać na noc w Pontoise. Dość, że postanowiłem zejść na dół. Byłem w ogrodowych pantoflach, mogłem poruszać się bezszelestnie. Zszedłem na dół, przez tylne drzwi wymknąłem się do ogrodu i ukryłem w krzakach, obok otwartych na taras drzwi... Nie widziałem ich, ale mogłem słyszeć każde słowo.

— Czy pamięta pan, o czym mówili?

Stary profesor założył splecione dłonie na piersiach i popatrzył w okno, jak gdyby nie słyszał pytania. Za chwilę jednak wolno, ale bez zająknięcia podał dokładnie przebieg rozmowy.

Allenbeck wyciągnął notes i zrobił parę szybkich zapisków. Potem, kiedy profesor skończył, spytał:

— Kiedy opuścił pan swój posterunek?

— Gdy zorientowałem się, że z Mondem dzieje się coś dziwnego. Nie oglądając się na nic, chciałem biec z pomocą. Byłem przerażony do ostatnich granic.

— Orientował się pan chyba, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo? Dlaczego nie interweniował pan przedtem? Czy nie podejrzewał pan, że w winie może być trucizna?

— Nie. Tego nie podejrzewałem. Obawiałem się raczej środka odurzającego. Uważałem, że natychmiastowa interwencja nie jest konieczna.

— Mimo tej kartki? Panina Fontenay nie skojarzyła

sobie jej treści z intencjami Monda, ale pan, człowiek doświadczony?...

— Właśnie ta treść kazała mi zmienić decyzję.

— I dlatego był pan taki przerażony?

— No oczywiście! Miałem chyba dostateczny powód!

— Pan znał Monda?

Nastąpiła chwila wahania, która nie uszła uwagi komisarza.

— Tak. Znałem.

— O ile mi wiadomo, pan się z nim widywał?

— Owszem, parę razy...

— Gdzie?

Varese mówił z wyraźną niechęcią.

— U niego w biurze.

— Co było powodem tych spotkań?

Chwila milczenia.

— Sprawy pieniężne.

— Jakie mianowicie?

— Mond chciał pożyczyć u mnie pieniędzy. Propozycja była wysoka, zbyt wysoka, aby nie wzbudzała podejrzeń. Dlatego potraktowałem sprawę nieufnie.

— Dowodzi to, że był w kłopotach finansowych?

— Takie odniosłem wrażenie.

— Czy pan się orientował, co było powodem tych kłopotów?

— Nie. Byłem jednak zdziwiony, gdyż nie robił na mnie wrażenia człowieka żyjącego ponad stan lub ulegającego jakimś namiętnościom.

— Wydaje mi się dziwne, że Mond zwracał się do pana o pożyczkę. Dowodzi to pewnej zażyłości lub nawet przyjaźni. Przed chwilą jednak powiedział pan, że widzieliście się tylko kilka razy. Jak mam to rozumieć?

— Widywaliśmy się istotnie bardzo rzadko, i to tylko w ostatnich czasach. Nie utrzymywałem z nim stosunków, choć znamy się bardzo dawno, chyba już około trzydziestu lat.

— Tak? — zdziwił się Allenbeck. — Trzydzieści lat temu Mond był młodym człowiekiem.

— Oczywiście.

— I zawsze tak się nazywał?

— Na pewno! Dlaczego miałby zmieniać nazwisko?

— Ludzie robią to z różnych powodów. Dlaczego nie utrzymywał pan z nim bliższych stosunków znając go tak dawno?

— Nie wiedziałem, co się z nim działo. Dopiero przed pół rokiem przypadkowo spotkałem go w metrze. Poznałem go natychmiast i tak przyszło do odnowienia znajomości.

— A przed trzydziestu laty? Czy łączyła was przyjaźń?

— Przyjaźń to zbyt mocne określenie. Był ode mnie dużo młodszy. Już wtedy wykładałem w szkołach języki obce. Był moim prywatnym uczniem, udzielałem mu lekcji angielskiego. O ile pamiętam, otrzymał wtedy pierwszy kontrakt zagraniczny i to było powodem, że postanowił nauczyć się tego języka. Zaraz... gdzieś powinienem mieć jego fotografię z tych czasów. Dał mi ją wówczas ma pamiątkę. Chwileczkę...

Varese wstał z fotela i otworzył szafę. Jakiś czas dokonywał chaotycznych poszukiwań, wreszcie wyciągnął dużo pudło, które postawił na stole. Kiedy otworzył wieko, Allenbeck spostrzegł, że pełne było starych listów i fotografii.

— O, jest! — rzucił w pewnej chwili starzec. Zbliżył się do komisarza z poślódką odbitką w rękę.

Allenbeck ujął reklamową pocztówkę, jaką rozdają widzom teatryki varieté.

Poznał natychmiast tę twarz. Była jedynie młodsza, ale równie okrągła, z małymi oczkami o ostrym spojrzeniu. Młody człowiek na zdjęciu Ubrany był dość dziwnie, gdyż nosił kowbojski strój. Myśliwska bluza, na szyi chusta, a na głowie wielkie sombrero. U dołu napis: — Joe-Błyskawica.

— Cóż to za strój? — zdziwił się Allenbeck.

— Nie wiem, czy panu wiadomo, że Mond był z zawodu cyrkowcem. To jego zdjęcie reklamowe.

— Cyrkowcem? Cóż on robił w tym ubiorze? Popisy jazdy konnej? I dlaczego — Błyskawica?

— Był mistrzem w rzucaniu nożem. Wie pan, taki numer z dziewczyną, wokół której wbijają się noże, obrysowując kontury jej postaci.

Allenbeck znieruchomiał wpatrując się bez słowa w twarz starego profesora. Ręka z fotografią zawisła w powietrzu.

— Rzucił nożem?! O mój Boże!! Ja, stary idiota! Przecież to od razu powinno mi było przyjść do głowy!

— Co miano wicie? — Varese z nieufnością przyglądał się komisarzowi.

— W jaki sposób zginął Volbert! Teraz nareszcie wszystko staje się jasne! Oczywiście dziewczyna nie mogła widzieć nikogo, bo nikt nie wchodził do pokoju. Nóż wyleciał z ciemności i dosięgnął ofiarę. Udzielił mi pan cennej informacji, a tę fotografię jestem zmuszony zatrzymać.

— Więc to Mond?

— Tak, Mond. Pozostaje teraz tylko wyjaśnić, jak to się stało, że zamiast dziewczyny on wypił tę truciznę? Jak pan przypuszcza?

Varese wzruszył ramionami.

— Doprawdy nie mam pojęcia.
— Może dziewczyna podsunęła mu zatrute wino?
— Świadomie? — obruszył się Varese. — Co też pan wygaduje? Czyż doprawdy wy, policjanci, tak bardzo sami ulegacie atmosferze przestępstwa, że zatracacie zdolności bezstronnej oceny ludzi, a wszędzie dopatrujecie się tylko zła? Czyż ta dziewczyna jest zdolna do takiego czynu? Fe, komisarzu, pan chyba sam nie wierzy w swoje słowa!

Stary profesor mówił szybko, poirytowany i wzburzony.

— Pan jej bardzo energicznie broni, panie profesorze.

— No pewno! Takie absurdalne przypuszczenie! Przecież musiałaby wiedzieć, że wino jest zatrute! Wówczas zaś odmówiłaby wypicia, a nie podsuwała mu trucizny, prawda? A Mond? Miałby tego nie zauważyć, skoro przyszedł z zamiarem, zgłodzenia jej?

— A więc omylił się?

Pod wpływem tego pytania, rzuconego jakby od niechcenia, Varese raptownie zamilkł. Spoglądał na komisarza z wyrazem zaambarasowania na twarzy. Wreszcie bezradnym gestem potarł czoło i rzucił zrezygnowany:

— Nie wiem... doprawdy nie wiem. To istotnie całkiem niezrozumiałe.

— I tylko takiej szansie, jednej na tysiąc, nie, jednej na dziesięć tysięcy, dziewczyna zawdzięcza życie?! Coś niesłychanego! A ten Mond — cóż za fujara! Nie zimny, wyrachowany morderca, ale zwykła fujara! Takie roztrągnięcie, i to w chwili, kiedy na tacy stoją tylko dwa kieliszki!

— Więc jak pan sądzi, panie komisarzu? Do podsunęcia trucizny mógłby dziewczynę pchnąć tylko jakiś silny wstrząs psychiczny, który zagłuszyłby wszelkie

opory moralne. Czy widzi pan tego rodzaju motyw?

— Czyli ta ewentalność, pana zdaniem, nie wchodzi w rachubę? Zatem... — Allenbeck urwał.

— Co — zatem panie komisarzu?

— Byłbym ciekaw usłyszeć, jakie pan widzi rozwiązanie, panie Varese?

— Daje mi pan do zrozumienia, że tylko ja mogłem popełnić to zabójstwo? Ale pytam pana — jak? Siłą włodem mu do gardła truciznę?

— Siłą może nie. Ale...

— Ale wszedłem do pokoju i poprosiłem go, aby się odwrócił?

— Dziwna historia — mruknął Allenbeck wzruszając ramionami.— Z czasem jednak wyjaśnimy i tę zagadkę. Ostatecznie na scenie były tylko trzy osoby, więc rozwiązanie nie powinno być tak trudne. No, żegnam pana, profesorze. Możliwe, że jeszcze pana odwiedzę...

Lekarz na pierwszym piętrze przyjmował od szesnastej do osiemnastej. Na drugim piętrze znajdował się gabinet dentystyczny, czynny również po południu. To wystarczyło, aby przejść nie zwracając uwagi dozorczyńni. Weszli zresztą do domu pojedynczo, w kilkunastu minutach odstępach.

Bonivarde czekał na Kamila na ostatnim piętrze. Był tu mały korytarzyk, a w nim dwoje drzwi. Na jednych wisiała ogromna kłódka — tędy zapewne prowadziło wejście na strych.

Kiedy Brańczyc nadszedł, Bonivarde wyciągnął klucze i szybko zaczął otwierać zamki sąsiednich drzwi. Potem nacisnął klamkę i skinął dłonią na towarzysza.

Kiedy przekroczyli próg, zapalił latarkę i odszukał wyłącznik. Znajdowali się w wąskim przedpokoju, z którego prowadziło dwoje drzwi. Jedną ze ścian zajmowała długa, mahoniowa szafa.

Było to mieszkanie mansardowe. Jak przekonali się wkrótce, drzwi na lewo prowadziły do małej kuchenki o dwóch oknach. Większe wychodziło na dachy domów, drugie, wąskie, umieszczone pod samym sufitem — na klatkę schodową.

Pokój za drugimi drzwiami był duży, o dwóch oknach, z widokiem na przeciwległe domy. Wzrok sięgał nie niżej jak okien trzeciego piętra, dalszą głębię ulicy zasłaniał okap dachu. Kamil zobaczył rynnę nieomal u swoich nóg. Na jej blaszanej krawędzi siedziały dwa gołębie.

Cofnął się od okna i rozejrzał po pokoju zapchanym meblami. Stare, cenne egzemplarze nie stanowiły jednego kompletu. Była to zbieranina, ale zbieranina rzadkich obiektów. Pośrodku stał ogromny, ciężki stół gotycki. Drugi, obok okna, pochodził z Florencji, z XV wieku. Stał na nim telefon. Kilka oszklonych etażerek, szafek, wreszcie stoliczków pełnych drobiazgów z brązu, srebra i porcelany, znajdowało się pod ścianami i w rogach pokoju. Jedną ze ścian zajmowała ogromna, wspaniale rzeźbiona francuska szafa z XVI wieku. Na ścianach wisiały obrazy, makaty, gobeliny i stara broń. Wnętrze robiło wrażenie zasobnego antykwariatu.

Ktoś musiał jednak dbać o nagromadzone tu bogactwa. Politura lśniła wszędzie połyskiem, nie było widać ani śladu kurzu.

— A to dopiero! — mruknął Bonivarde rozglądając się dookoła. — Nie przypuszczałem, że jeszcze tyle tego zostało!

— W tym jednym pokoju zebrano całą fortunę! Kto jest właścicielem tego muzeum?

Bonivarde nie odpowiedział spoglądając na zegarek.

— Mamy godzinę czasu — mruknął — to nam wystarczy.

Podszedł do szafy. Kiedy ją otworzył, Kamil ujrzał kilka garniturów, a na wewnętrznej stronie drzwi wisały krawaty; Bonivairde przez pewien czas przyglądał się im bez słowa, po czym pokiwał głową. Zamknął szafę i kolejno otwierał szuflady i drzwiczki reszty sprzętów. Nic tu nie było zamknięte, ale też i nie znalazł nic godnego uwagi.

Pod jednymi z okien dostrzegł palisandrową komodę z czasów Ludwika XVI, wykładaną płytami mahoniu i ozdobioną brązowymi okuciami. Na niej stała i maszyna do pisania.

Bonivarde zdjął pokrywę i rozejrzał się w poszukiwaniu papieru. Nie było go nigdzie na wierzchu, otworzył więc boczne drzwiczki komody. W jednej z wewnętrznych szuflad istotnie znalazł papier. Na nim leżała para gumowych rękawiczek.

Bonivarde cicho gwizdnął.

— Oto chwalebna przezorność! Weź, proszę, kawałek papieru i napisz kilka dowolnych zdań na tej maszynie. Nie zmieniaj jednak układu przedmiotów. Ja tymczasem obejrzę sobie resztę mieszkania.

Zanim Bonivarde wrócił, Brańczyc wypełnił polecenie. Usiadł w jednym z foteli i rozejrzał się dookoła. Czyje to było mieszkanie i czego tu szukał pułkownik? Sprawa była przecieź właściwie zakończona. Zdemaskowany Clestil już nie żyje. O co zatem chodzi Bonivarde'owi, skoro ta śmierć wyczerpuje sprawę?

W mieszkaniu panowała cisza. Głosy z ulicy nie dochodziły tak wysoko, zresztą dom stał w bocznej, mało

uczęszczanej uliczce. W pewnej chwili doszedł go stuk kroków na schodach. Drgnął, kroki jednak ucichły i znów zaległa cisza. Wreszcie w drzwiach ukazał się Bonivarde.

— No, możemy już iść. — Pokaż kartkę — wyciągnął do Kamila rękę.

Ten podał mu zapisany papier. Bonivarde wyjął drugi z kieszeni i przez chwilę porównywał pisma.

— Jedna i ta sama maszyna! No, mam go! Teraz wreszcie mam! Och, mój drogi, to piękny dzień w moim życiu!

W głosie pułkownika zadrgało wyraźne wzruszenie. Było to tak niezwykle, że Kamil nie mógł opanować odruchu zdumienia.

Bonivarde uśmiechnął się.

— No cóż, bądź wyrozumiały dla starego towarzysza. Człowiek nie zawsze może być z kamienia.

Jakiś przelotny błysk na jedną krótką chwilę pojawił się w jego oczach i zniknął natychmiast. Ruszyli do wyjścia.

— Gdzie w razie potrzeby mogę cię złapać!

— Przeważnie przesiaduję u Ewy. Rozpoczynamy już pakowanie rzeczy.

— Słusznie. W ciągu najbliższych dni zakończymy sprawę. Mam nadzieję, że obecnie nadal mogę liczyć na ciebie?

— Oczywiście! Niepotrzebnie pan pyta!

— Staraj się więc jak najkrócej przebywać na mieście. Mogą zajść nieprzewidziane wypadki wymagające bezzwłocznego spotkania.

— Proszę dzwonić do Ewy. Będę tam czekał na wiadomości.

— Dobrze. Ruszaj pierwszy na dół. Ja pozamykam drzwi.

Alicja odłożyła książkę. Nie mogła czytać. W ostatnim okresie zdarzało się to coraz częściej. Wprawdzie koszmar ubiegłego roku minął przynosząc odprężenie, ale teraz ciągle była rozdrażniona.

Przychodziły chwile, kiedy nie mogła opanować chęci wezwania Piotra. Wówczas wyładowywała na nim swoją irytację, besztając go o byle co. Wysłuchiwał spokojnie gniewnych słów patrząc jedynie bez przerwy w jej oczy, jak gdyby rozumiał najtajniejsze powody tego zachowania. Wtedy musiała opanowywać gwałtowną chęć wytłuczenia pięściami tej nieruchomej, skamieniałej twarzy.

Była siódma wieczór. Ben zapowiedział, że tego dnia wróci do domu późnym wieczorem. Obiad miał zjeść na mieście. O szóstej zadzwonił z poleceniem, aby Piotr dostarczył do kancelarii pozostawione w domu teczki z aktami.

Kiedy więc zaterkotał dzwonek u drzwi wejściowych, poszła sama otworzyć.

Nie było nikogo. Zdziwiona cofnęła się do mieszkania i wówczas ujrzała list leżący na podłodze. Podniosła go i obejrzała kopertę. Było na niej jej nazwisko i adres.

Przeszła do gabinetu męża i rozerwała kopertę. Wewnątrz znajdowała się nieduża kartka papieru. Kiedy Alicja ją przeczytała, wydało się jej, że u nóg rozwarła się przepaść. Pokój zawirował wokoło, potem kontury mebli zaczęła przesłaniać ciemność...

Opanowała się z najwyższym wysiłkiem i opadła na fotel. Wolno położyła list na biurku, jak gdyby stanowił przedmiot nadzwyczajnej wartości. Potem oparta na łokciach, z głową w dłoniach, przeczytała go powtórnie.

„Dostałaś od męża ładny prezencik. Przyniesiesz go

dzisiaj o dziewiątej wieczorem pod piątą numer na ulicy Św. Maurycego w Charenton. Wejdiesz na piętro, a potem w uchylone drzwi. To moje ostatnie żądanie. Jeśli je wypełnisz, zakończymy sprawę. Jeżeli nie — mąż dowie się, jaka jesteś naprawdę. Bądź punktualna i zabierz ze sobą ten list. Zachowaj milczenie, a nie spotka cię nic złego”.

Po pierwszym wstrząsie, który ogłuszył ją niby uderzenie w głowę, wzburzenie przeszło w beznadziejną rozpacz. W pierwszej chwili ogarnęła ją chęć ucieczki, porzucenia wszystkiego i ukrycia się gdzieś, gdzie osiągnie wreszcie poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Zapragnęła w tej chwili mieć przy sobie Pietrai, by zdać się na jego rozum i decyzję. Nie było go jednak w domu.

Chaotyczne myśli klarowały się powoli w logicznym ciągu. Volbert nie żyje, a mimo to nadszedł list z nowym żądaniem okupu! Jego śmierć nie stanowiła wybawienia, nic się nie zmieniło, a groźba nadal wisiała nad nią! Kto zatem jest tym prześladowcą?

Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie. Jeszcze parę tygodni, może nawet kilka dni temu, byłaby natychmiast udzieliła odpowiedzi. Dzisiaj — już nie chciała podejrzewać Piotra.

Zadzwoił telefon. Ujęła słuchawkę i ledwie dostłyszalnie powiedziała parę słów. Doleciał ją znajomy, wesóły głos.

— To ty, Alicjo? Dawno do ciebie nie dzwoniłam, ale zaszły u mnie tak ogromne zmiany, że na pewno mi wybaczysz, gdy dowiesz się wszystkiego!

— Tak, Ewo... tak, rozumiem — rzuciła w słuchawkę, niezbyt zdając sobie sprawę, co mówi.

— Halo! Halo! — rozlegało się natarczywe wezwanie. — Czy to ty, Alu?

— Tak, to ja — odpowiedziała łamiącym się głosem
— Co się z tobą dzieje? Dlaczego tak dziwnie mówisz? Czyś chora? — Pytania padały jedno za drugim zdradzając podniecenie mówiącej.

— Tak nie, skądże znowu Po prostu sama nie wiem Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Źle się czuję

— Alu, co ci jest? Co się stało? — Głos Ewy tym razem był pełen przerażenia

— To przejdzie, zadzwoń później. Nie! Nie! — rzuciła z raptownym strachem — Jutro — dzisiaj, wybacz mi, ale już me mogę

Nie kończąc zdania, odłożyła słuchawkę Potem z rozpaczą spojrzała na zegarek Dochodziła ósma

Połączenie zostało przerwane Ewa odeszła od aparatu a spojrzała na zegarek Kamil miał być o siódmej, tymczasem dochodziła ósma

Była zaniepokojona Głos Alicji, cichy i załamujący się świadczył, że musiała przeżyć jakiś wstrząs Ale z jakiego powodu. Co się tam stało. Czyżby znów coś złego? W czasie tej krótkiej rozmowy robiła wrażenie osoby niezupełnie przytomnej.

Niepokój Ewy wzrastał coraz bardziej Co tam takiego zaszło. Czy nie powinna natychmiast jechać do Alicji? Może potrzebuje jej pomocy.

Jak na złość Kamil się spóźnił.. Ewa nie mogła usiedzieć na miejscu z niepokoju Wreszcie powzięła decyzję.

Skreśliła szybko kilka słów do Kamila z poleceniem natychmiastowego przybycia do Laverych i zatrzasnąwszy drzwi, wsunęła kartkę do zamka. Za najbliższym rogiem szczęśliwie złapała taksówkę.

Alicja otworzyła jej sama. Była gotowa do wyjścia. Mimo to Ewa bezceremonialnie weszła do hallu zatrzymując przyjaciółkę.

— Alu, dlaczego jesteś taka blada? Co się stało?

— Nic... mi nie jest. Trochę źle się czuję i to wszystko. Muszę zaraz wyjść...

— Czy... czy znów otrzymałaś list?

— Nie! — krzyknęła Alicja. — Skądże, dlaczego tak myślisz?!

— Jesteś zupełnie wytrącona z równowagi! Nie wierzę! Powiedz mi, może będę mogła ci pomóc?

— Nie, Ewo, dziękuję. Nikt nie może mi pomóc... Nie wiem, gdzie jest Piotr. Wybacz mi, ale doprawdy muszę już iść, muszę być punktualna! — Skierowała się ku drzwiom skłaniając w ten sposób Ewę do wyjścia za nią.

Przed domem Alicja ujęła rękę Ewy i uściśnęła ją niezwykle mocno, po czym odeszła bez słowa.

Kiedy dziewczyna patrzyła bezradnie za oddalającą się, tuż obok zatrzymała się gwałtownie taksówka, z której wyskoczył Kamil.

— Kamilu! — wykrzyknęła gorączkowo — nie ma czasu na wyjaśnienia! Widzisz, o tam, tę kobietę w czarnym płaszczu z postawionym kołnierzem?

Kamil bez słowa rzucił szybkie spojrzenie.

— Tak, widzę.

— Idź za nią, ona ciebie nie zna! To Alicja Lavery, na pewno będzie potrzebowała pomocy! Sam zadecydujesz, co masz dalej robić! Ja czekam w domu, przywieź ją ze sobą. Spiesz się, żeby ci nie zginęła z oczu!

— Dobra! Zapłać taksówkę! — rzucił przez ramię.

Alicja wyszła na Champs Elysées i rozejrzała się. Auta płynęły nieprzerwaną falą, ale żadnej taksówki nie było widać. Dochodziło już wpół do dziesiątej, postanowiła więc jechać metrem.

Do stacji Marboeuf było parę kroków. Zeszła do podziemi. Wiedziała, gdzie ma wysiąść, bo sprawdziła to przedtem na planie. Krótka uliczka Św. Maurycego znajdowała się w pobliżu głównych magazynów win i szła wzdłuż torów kolei lyońskiej. Uśmiechnęła się gorzko czytając wskazówkę, że najbliższym przystankiem metra jest Liberté.

Właśnie zobaczyła tę nazwę na murze tunelu. Z krótkim sapnięciem rozsunęły się drzwi. Wyszła na peron.

Uliczka Św. Maurycego była brudna i zaniedbana. Odrapane, niskie domy ginęły w wieczornym mroku. Tu i ówdzie oświetlone okna rzucały na chodnik jasne smugi światła rozpraszając nieco ciemności, których nie mogły pokonać z rzadka rozrzucone latarnie. Było pusto. Szła zaciskając zęby, ze wzrokiem uniesionym ku górze, szukając piątego numeru. Wreszcie go znalazła. Dom był jednopiętrowy. Przez popękany tynk wyzierał miejscami goły mur,

W zakurzonej, brudnej sieni mętnie świeciła słaba żarówka. Wydeptane schody o krzywej poręczy prowadziły w górę. Wstąpiła na nie pokonując strach i obrzydzenie.

Na piętrze znajdowało się dwoje drzwi. Jedne z nich były uchylone.

Z zamartwym sercem, z uczuciem przenikliwego zimna, pchnęła je i weszła do małej sionki.

Następne drzwi były zamknięte. Musiała zdobyć się na wysiłek, aby unieść bezwładną rękę i zastukać. Połyszała krótkie: — Wejść! — Głos miał niskie, melodyjne brzmienie.

Znalazła się w małym pokoju o popstrzonych i naddartych miejscami tapetach. Był on równie niechlujny i zaniedbany jak cały dom. Pod jedną ze ścian stało wąskie żelazne łóżko, przykryte bawełnianym kocem. Nad łóżkiem wisiał pluszowy dywanik. Pośrodku znajdował się stół przykryty wyplamioną serwetą. Na rozłożonym

papierze leżały kawałki sera obok opróżnionej butelki wina. Za łóżkiem, w rogu pokoju, Alicja spostrzegła drugie drzwi.

Na jej widok z krzesła podniósł się młody, przystojny mężczyzna, ubrany ze swoistą elegancją. Jasne, żółte buty, garnitur w paski i jaskrawy, mocno sterczący krawat stanowiły szykowną całość eleganta z przedmieścia.

Ukazał w uśmiechu rząd równych, białych zębów i wyciągnął do Alicji rękę.

— Nazywają mnie Henio Jeden Raz! A ty jak się nazywasz, ślicznotko?

— Miałam tu przynieść kolię i list...

— Jesteś punktualna, moja mała — pochwalił ją z galanterią.

— Czy to pan... napisał ten list z żądaniem, abym tu przyszła?

— Ja, czy nie ja, to nie twoja sprawa, dziecinko! Pytam, jak się nazywasz?

Pominęła to pytanie milczeniem. Wyciągnęła z torby etui i list kładąc je na stole.

— Proszę, oto są. Wykonuję żądanie i liczę, że ze swej strony dotrzyma pan obietnicy.

Chwycił pożądliwie etui i nacisnął guzik zamka. Wieko odskoczyło, ukazując wewnątrz migające refleksami blasków.

— Fiu! — gwizdnął cicho przez zęby. — A więc wszystko się zgadza jak na ten jeden raz. No, dobra! — Spojrzał na nią badawczo.

Ujrzała, jak powieki zaczęły mu się zwęzać i strach zatamował jej oddech.

— Żegnaj pana — rzuciła z determinacją obracając się ku drzwiom.

— Poczekał no! Ty już stąd nigdzie nie pójdziesz! —
Chwytał ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła przerażona.

— Powiedziałem, że tu zostaniesz — rzucił przez zęby. — Mówię tylko jeden raz, a co mówię, to robię!

Pełna rozpacz zaczęła się szarpać w jego rękach.

— Już ci, gołąbeczko, nic nie pomoże, nie masz co się ciskać! Chociaż bym i chciał, to nie mogę, bo moja skóra więcej warta!

Rzucił ją na, łóżko przygniatając ciężarem swego ciała. Poczwała jego dłoń na piersi. Twardy, brutalny chwyt poczwał zaciskać się niby obcęgi.

Zdołała krzyknąć tylko raz, krótko i spazmatycznie...

W tej chwili z trzaskiem odskoczyły drzwi. Alicja poczuła, jak przygniatający ją ciężar raptem zelżał, a potem ujrzała zamach ramienia nieznanego mężczyzny i cios, który rzucił jej napastnika o ścianę.

Obsunął się po niej i upadł bezwładnie. Nie stracił jednak zupełnie przytomności, gdyż chwiał głową i usiłował podeprzeć się rękami, by wstać.

Na odgłos jego upadku drzwi w rogu otworzyły się nagle i do pokoju wtargnęło dwóch mężczyzn.

Nieznajomy chwycił na ich widok za krzesło rzucając jej krótki rozkaz:

— Uciekaj!

Alicja zerwała się wprawdzie z łóżka, ale nie miała sił stanąć na nogach. Osunęła się z powrotem na posłanie i przerażonymi oczami obserwowała walkę.

Opuszczone z rozmachem krzesło roztrzaskało się na głowie pierwszego z napastników. Stęknął pod tym uderzeniem i runął na podłogę. Ale cios drugiego dosięgnął jej obrońcę i on z kolei poleciał do tyłu pociągając za sobą stół. Zanim jednak drugi napastnik zdołał powtórzyć cios,

był już na nogach i uchylił się przed uderzeniem. Wtedy ujrzała raptownie błysk światła na ostrzu otwartego noża.

Na jedną sekundę obaj znieruchomieli dysząc z wysiłku. Mężczyzna o jasnej czuprynie okazał się jednak szybszy. Kopnięcie nogi odrzuciło opryszka uzbrojonego w nóż.

Henio Jeden Raz podniósł się tymczasem z podłogi, nie był jednak zdolny do walki. Chwiał się jeszcze na nogach, przecierając dłonią twarz.

Wtem Alicja poczuła żelazny chwyt na rękę, gwałtowne szarpnięcie i w jednej chwili znalazła się na schodach. Jej obrońca wciąż trzymał jej rękę, toteż zbiegła za nim na dół nie pojmując, jak uniknęła upadku i połamania nóg.

Wypadli na ulicę słysząc za sobą w ciemnościach tupot nóg. W pewnej chwili Alicja wydyszała!

— Nie... nie mogę już...

Kamil zatrzymał się od razu. Znajdowali się opodal czarnej czeluści jakiejś bramy, Wciągnął ją we wnękę i wyjrzał zza muru.

Stuk biegnących nóg zbliżał się szybko. Za chwilę dwa cienie przemknęły obok.

Któryś ze ścigających musiał jednak zauważyć ich przyczajone postacie, gdyż zatrzymali się gwałtownie naradzając szeptem.

— Co robić? — szepnęła Alicja. — Może znajdziemy schronienie w tym domu?

— Tu wszyscy się znają i zachowują solidarność. Możemy wpaść w jeszcze gorszą kabałę.

Brańcyc powziął decyzję.

— Proszę wyjść od razu na środek jezdni i iść szybko. Będę szedł parę kroków za panią. Zobaczymy, czy ośmielą się napaść.

— Nie zostawi mnie pan samej?

— Niech się pani nie boi. Jeśli rzucą się na mnie,

proszę uciekać. Wystarczy dostać się za najbliższy róg, tam już będzie lepiej, bo są przechodnie. Proszę jechać do Ewy! To ona mnie tu wysłała!

— Więc to Ewa!

— Proszę iść! Śmiało i szybko!

Alicja posłusznie spełniła polecenie. Napastnicy stali pod ścianą o kilkanaście kroków od nich. Kiedy ich minęli, rozdzielili się. Jeden z nich znalazł się na przeciwnym trocieńniku. Postępowali za nimi niby dwa wilki tropiące zdobycz. Ale Kamil już wiedział, że wygrał — przeciwnicy stchórzyli.

W tej chwili na rogu ukazał się ogromny beczkowóz. Oblało ich światło reflektorów. Kamil zatrzymał się i uniósł rękę.

Był to samochód do przewożenia wina z pobliskich magazynów. Z szoferki wyrzwał kierowca.

— Czego tam, do diabła?!

Kamil ujął Alicję za ramię i podprowadził do auta.

— Pięćset franków za podwiezienie nas do najbliższego postoju taksówek — powiedział bez zbędnych wyjaśnień.

Kierowca obrzucił ich lustrującym spojrzeniem. Wzrok jego przebiegł po potarganych włosach Alicji i rozerwanej rękawie Kamila.

— Mała przygoda, co? Ça va, siadajcie! — otworzył zawieszony wysoko nad ziemią drzwiczki. Kamil pomógł Alicji dostać się do szoferki i sam wspiął się za nią. Kiedy ruszyli, wyrzwał przez opuszczoną szybę.

Dwie ciemne sylwetki stały na brzegu trocieńnika.

Alicja nie protestowała słysząc, jak Kamil podaje kierowcy taksówki adres Ewy. Kiedy

dziewczyna otworzyła im drzwi bez słowa zarzuciła jej rękę na szyję i rozplakała się Po chwili dopiero wyciągnęła do Kamila rękę

— Jeszcze nie podziękowałam panu za ocalenie.

— Może się połóżysz. — zatroszczyła się Ewa. Po-tem zadzwonimy do Bena i powiemy że nocujesz u mnie.

— Dziękuję ci ale chyba wrócę do domu. Chwilę po-siedzę z wami zanim nie przyjdę do siebie.

— Jeżeli nie chcesz się położyć siadaj tu i opowiedz co się stało. W żadnym razie me puszczać cię teraz.

Alicja opadła na fotel.

Ewo — odezwała się nieśmiało rzucając na przyjaciół-kę niepewne spojrzenie — mam do ciebie prośbę... Za-dzwoń do mnie. Może już jest w domu Piotr... Chciała-bym... aby tu przyszedł po mnie...

— Po co ci Piotr? — zdziwiła się Ewa — Powiedzia-łam, że cię nie puszczę!

— Dziękuję ci, ale nie mogę zostać... Ben będzie nie-zadowolony... — poprawiła się — będzie niespokojny.

— Tak ci się spieszy do niego?

Alicja zawahała się.

— Nie — wyznała szczerze — Natomiast chciała-bym, aby Piotr tu przyszedł To mnie uspokoi.

Ewa rzuciła zdumione spojrzenie na przyjaciółkę.

— Dobrze, kochanie, Kamil zadzwoni do niego a ty mi wszystko opowiesz. Zdejmij tę marynarkę Kamilu, jest podarta! Wyglądasz jak włóczęga

— To wszystko przeze mnie — westchnęła Alicja — Gdyby nie wasza pomoc, już bym na pewno nie żyła

— Pogadajcie sobie a ja idę telefonować. Ściągnę tu

Piotra, ale najpierw zadzwonię do Bonivarde'a. Uważam, że powinien natychmiast przyjechać!

— Telefonował tu dwa razy, dopytywał się o ciebie i Alicję — mówiła Ewa. — Prosił, abys po powrocie natychmiast do niego zadzwonił!

Kamil połączyć się z barem madame Compare. Bonivarde widać czekał na miejscu, gdyż zgłosił się natychmiast. Brańczyc krótko streścił wydarzenia ubiegłej godziny i był zdziwiony, że pułkownik nie pyta o szczegóły ograniczając się do krótkiego pytania:

— Czy pani Lavery jest z wami?

— Tak.

— Dobrze. Zaraz przyjeżdżam. Zatrzymaj ją koniecznie do mego przybycia,

— Prosiła, abym zadzwonił do Piotra, jej służącego. Chce go koniecznie mieć przy sobie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wiem, że teraz nie ma go w domu, więc nie masz po co dzwonić — odezwał się wreszcie Bonivarde. — Ja to załatwię sam. Powiedz pani Lavery, że przywiozę go ze sobą.

— Więc czekamy na pana!

— W żadnym razie nie pozwól pani Lavery jechać do domu — Bonivarde powtórzył polecenie, co mu się nigdy nie zdarzało.

Mijały minuty oczekiwania. Wreszcie rozległ się dzwonek. Kamil zerwał się na nogi. Po chwili usłyszały jego głos w przedpokoju. Na dźwięk drugiego głosu serce Alicji przystanęło, a potem zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

— Przedstawiam paniom, pułkownika Bonivarde'a — powiedział nieco Uuroczyście Kamil wchodząc za gościem do pokoju.

Obie kobiety zarwały się na nogi.

— Pułkownika?! — wykrzyknęła Ewa z najwyższym zdumieniem.

— Piotrze!!!

Nie panując nad sobą i zapominając o obecnych, Alicja podbiegła do przybyłego i zarzuciła mu ręce na szyję.

Bonivarde nachylił się nad nią obejmując ją ramieniem.

— Nie bój się, kochanie — powiedział cicho. — Wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie i nie dam cię skrzywdzić.

Kamil i Ewa spoglądali na siebie zdumieni. Wreszcie Alicja odsunęła się od Bonivarde'a i zmieszana, z twarzą w rumieńcach, wyjęła chusteczkę ocierając łzy. Bonivarde spojrział na Ewę i uśmiechnął się.

— Mała niespodzianka, panno Ewo, prawda?

— Więc pan jest pułkownikiem Bonivarde?

— Jestem rzeczywiście Bonivarde, który blisko dwa lata był służącym Piotrem...

Rozszerzonymi ze zdumienia oczyma patrzyła Alicja na tę tak znaną sobie twarz. Więc to jest jej Piotr, którego nie mogła znieść buntując się przeciwko rodzącemu się uczuciu! Nie wiedziała, jak wyrazić nurtującą ją myśl.

— Był pan u nas tak długo służącym, panie... pułkowniku... Dlaczego? — odezwała się wreszcie.

— Nie używaj tego tytułu. Na imię mi Raoul, wreszcie mogą ci to powiedzieć! Tak mnie teraz nazywaj.

— Tak bym chciała — schyliła głowę — ale wiesz, w jakiej jestem sytuacji.. Dla Bena będzie to...

Twarz Bonivarde'a skamieniała.

— Bena pozostaw mnie. Tę sprawę załatwię sam.

Rozległ się dzwonek. Bonivarde spojrział na Kamila i

Ewę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich obecności.

— To zapewne Allenbeck. Wezwałem go tutaj.

— Ja mu otworzę! — Ewa pobiegła do drzwi.

Po chwili usłyszeli jej głos.

— Proszę, panie komisarzu, bardzo proszę! Już się pana zupełnie nie boję!

Allenbeck wszedł do pokoju z uśmiechem na twarzy

— Widzę mój stary, że nareszcie zrzuciłeś lokajski strój — zwrócił się do Bonivarde'a spoglądając jednocześnie żartobliwie na Alicję.

— Tak, nareszcie! Czekałem na ciebie, aby dowiedzieć się o ostatnich wydarzeniach. Wiem tylko tyle, że Alicja przeżyła dramatyczną przygodę. Siadaj, poprosimy, aby nam opowiedziała wszystko dokładnie.

Kiedy Alicja skończyła, Bonivarde popatrzył najpierw na Kamila, a potem na Ewę

— Jestem waszym dłużnikiem — rzekł poważnie — Nigdy tego nie zapomnę. Dziękuję, drodzy przyjaciele.

— Wydaje mi się, że sytuacja dojrzała do zakończenia — odezwał się Allenbeck — Henia Jeden Raz znamy dobrze. Wreszcie będę mógł go uspokoić na dłuższy czas.

Allenbeck podszedł do telefonu Alicja usłyszała urywki rozkazów Raz i drugi padło w nich przezwisko Henia Jeden Raz Policja przystępowała do akcji.

— Alicjo — powiedział Bonivarde — Allenbeck domaga się, abyś pojechała z nami. Sprzeciwiałem się temu, ale to uparty kozioł Czy masz dość sił na to?

— Jeżeli trzeba, jestem gotowa — powiedziała wstając.

— Uważa, że to konieczne. Kamil pozostanie tu. W razie potrzeby wezwę go telefonicznie.

Policyjne auto Allenbecka czekało przed domem. Kiedy wsiedli, komisarz rzucił adres i z wyciem syreny pognali przez oświetlone ulice miasta.

W mieszkaniu nie było nikogo. Alicja rozglądała się dokoła, ciekawa, dlaczego komisarz domagał się zabrania jej ze sobą. Bonivarde pozapałał wszystkie lampy i meble ożyły refleksami światła, odbitego od ich szyb i politory.

Wnętrze robiło wrażenie zaciszne i spokojne. Alicja oglądała przedmioty poustawiane w gablotach zastanawiając się, czyje to było mieszkanie i po co tu przyjechali.

Allenbeck również rozglądał się ciekawie.

— Zatem — zwrócił się do Bonivarde'a — przeprowadzimy tę próbę. Będzie to pewnego rodzaju konfrontacja.

— Czy przypominasz sobie, jak wyglądał człowiek, który cię szantażował? — zwrócił się Bonivarde do Alicji.

— Och, oczywiście... pamiętam go, niestety, zbyt dobrze! — powiedziała nieco wystraszona.

— A więc jak?

— Miał piaskowy płaszcz, aportową czapkę i motocyklowe okulary.

Bonivarde nie zadawał więcej pytań i wyszedł z pokoju. Alicja pozostała sama z Allenbeckiem.

Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął człowiek ubrany zgodnie z jej opisem. Piaskowy, luźny płaszcz okrywał postać, której twarzy nie można było rozpoznać, gdyż głęboko nasunięta sportowa czapka, a

zwłaszcza okulary, zasłaniały całą jej górną część.

Alicja chwyciła kurczowo komisarza za rękę i krzyknęła spazmatycznie:

— O Boże! To on!

W tej chwili okulary i czapka zostały zdjęte i ukazała się twarz Bonivarde'a.

— No cóż — zwrócił się do Allenbecka — wystarczy ci?

— Tak, wystarczy — powiedział ten krótko. — Teraz musimy zawiadomić pana Lavery'ego o przygodzie żony i poinformować go, co się z nią dzieje. Na pewno się o panią niepokoi — powiedział, uśmiechając się do Alicji.

Podszedł do stojącego na oknie telefonu.

— Chcę mówić z panem Lavery.

— ...

— Czy to pan...

— Czy będę mogła porozmawiać z Ben... — nie dokończyła, gdyż dłoń Bonivarde'a opadła na jej usta.

— ...pan osobiście? — mówił Allenbeck. — Dzwoni lokator spod numeru piątego. — Pańska żona jest u nas. Została lekko ranna i prosi, aby pan po nią przyjechał.

Nie słuchając odpowiedzi, komisarz odłożył słuchawkę i zwrócił się do Bonivarde'a:

— Teraz pora na nas — jedziemy!

— A co z Alicją? Nie chcę zostawić jej tutaj.

— A cóż jej się stanie? Za pół godziny będzie po wszystkim i zabierzemy ją!

Bonivarde zamyślił się marszcząc czoło.

— Mimo wszystko — boję się...

— Tracisz nerwy, stary!

— Cóż prostszego — odezwała się Alicja. — Pojadę do domu i nie będziecie mieli ze mną kłopotu!

Bonívarde pokręcił głową.

— Nie, sama nigdzie nie pojedziesz. Z dwojga złego pozostań już tu, wezwę zaraz Brańczyca.

Wykręcił numer i porozumiał się z Kamilem, po czym odłożył słuchawkę i zwrócił się do Alicji:

— Nie wiadomo, co może się stać. Jeżeli posłyszysz kroki na schodach, schowaj się do kuchni, póki nie przekonasz się, że to Kamil. Drzwi znajdują się zaraz przy wejściu. Jeśli to nie będzie on, zamknij się. Klucz przełożę ci do wewnątrz. Bądź ostrożna.

Wyszli i Alicja pozostała sama. Usiadła na jednym z foteli z chaosem w głowie.

Co miał znaczyć ten telefon do Bena? Dlaczego komisarz powiedział mu, że jest ranna i znajduje się gdzieś tam, w jakimś mieszkaniu? Powiedział — „pod piątym”... Czy miał na myśli ulicę Św. Maurycego? Dlaczego więc nie podał jej nazwy? Czyżby przez roztargnienie? Ale... jeśli to zrobił umyślnie?...

Wzburzona zerwała się ría nogi i rozpoczęła wędrowkę po pokoju. W pewnej chwili zatrzymała się przed ogromną szafą, zaciekawiona pokrywającymi ją rzeźbami. Zobaczyła tkwiący w niej klucz.

Wewnątrz wisiało kilka męskich garniturów. Alicja obojętnie prześliznęła się po nich wzrokiem i już chciała zamknąć drzwi szafy, kiedy raptem uświadomiła sobie, że zna te ubrania. To były garnitury Bena!

Gdy zobaczyła krawaty, już nie miała żadnych wątpliwości. Ten nosił tydzień temu, a ten zaledwie przed dwoma dniami...

Pomału, ze zmarszczonym czołem zamknęła drzwi. Zatem jest to mieszkanie Bena. Dlaczego jednak utrzymywał fakt jego posiadania w tajemnicy? I co robią w tym mieszkaniu ten płaszcz, czapka, okulary?

Raptowne zrozumienie, okropna prawda z nagłą jasnością ukazała się jej oczom.

Ukryła twarz w dłoniach zdjeta przerażeniem, Cóż za podłość, cóż za straszliwa przewrotność! Więc to on dręczył ją przez cały ten czas, on znał całą prawdę od dawna i w tak okrutny, wyrafinowany sposób mścił się na niej...

Przypomniała sobie kolię, ostatni list i straszliwą zasadzkę...

W tej chwili usłyszała szybkie kroki na ostatnich stopniach schodów.

Zamarła z lęku zapominając, że może to być Kamil. Przyłożyła rękę do tłukącego się serca, jakby tym gestem chciała je uspokoić, i szybko przemknęła przez korytarz słysząc, jak chrobocze w zamku klucz. Potem, już w kuchni, uchyliła drzwi i przez szparę obserwowała tajemniczego gościa.

Nie spostrzegła jego twarzy, gdyż obrócił się tyłem zamykając drzwi. Przez moment tylko znalazł się na tle padającego ze schodów światła i to wystarczyło, by poznała lekko przygarbioną sylwetkę Bena.

Zamknęła szybko drzwi i przekreśliła klucz. Znalazła się w zupełnej ciemności. Jakiś czas wodziła ręką po ścianie, aż odnalazła wyłącznik.

Szczęk jej klucza nie uszedł jednak uwagi przybysza. Klamka u drzwi poruszyła się.

— Kto tam? — usłyszała Alicja

Bezradnie rozejrzała się dookoła, jak gdyby szukając drogi do ucieczki

— Kto tam jest, do diabła! — klamka znów zastukała, tym razem gwałtowniej. — Odezwij się!

Milczała w dalszym ciągu nasłuchując. Czuiła, że mężczyzna wciąż stoi pod drzwiami. Co on tu teraz robi? Za

chwilę musi nadejść Kamil Dlaczego go jeszcze nie ma?

Jakby w odpowiedzi na tę myśl usłyszała szybkie kroki. Kamil nadchodził! Trzeba go ostrzec! Ale jak... jak? Rozejrzała się gorączkowo dookoła i spostrzegła górne okno. Zorientowała się, że jest ono niedaleko drzwi wejściowych. Szybko podsunęła krzesło i stanawszy na nim odsunęła zapadkę.

— Kamilu, to pan? — rzuciła, słysząc, jak otwiera drzwi.

— Tak! Co pani tam robi? — posłyszała jego zdziwiony głos,

— Zamknęłam się w kuchni. On jest w mieszkaniu!

Zaległo chwilowe milczenie. Dzięki temu usłyszała ciche, skradające się kroki.

— Podchodzi do drzwi! Uważaj, wiem że ma broń!

Głos Kamila tym razem zabrzmiał spokojnie.

— Niech się pani nie obawia. Jest ze mną dwóch policjantów, reszta obstawiła na dole dom.

Znów odgłos kroków na korytarzu. Tym razem szybkich, biegnących.

— Ucieka — wykrzyknęła z ulgą. — Słyszę, jak biegnie!

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i posłyszała, jak Kamil wpada na korytarz, a potem wbiega do pokoju. Oczekiwała hałasu walki i czego najbardziej się obawiała — odgłosu strzałów.

Panowała jednak zupełna cisza. Podeszła do drzwi i nasłuchiwała przez chwilę, cisza jednak trwała nadal, niezrozumiała i zaskakująca.

Przecież z Kamilem przyszło dwóch policjantów, czemu nie słyszała żadnych kroków? Zdecydowała się wyjść z kuchni.

Korytarz był pusty i ciemny. Z uchylonych do pokoju drzwi padała smuga światła rozpraszając nieco ciemności.

Minęła go i zajrzała do pokoju. I tu nie było nikogo.

Zdumiona rozejrzała się dokoła i teraz dopiero spostrzegła uchylone okno. Lekki powiew wiatru wydymał firankę.

Podeszła bliżej i ujrzała pod sobą tylko czarną pustkę głębi i jedno oświetlone okno przeciwległej kamienicy, patrzące w ciemność nocy niby oko cyklopa.

Cofnęła się zdziwiona, że nie ma wciąż policjantów. Gdzież oni są?

Dopiero teraz pomyślała, że Kamil użył wybiegu, aby zaskoczyć przeciwnika. Nadal nikt nie nadchodził i podejrzenie Alicji zamieniło się w pewność.

Policyjne auto znów gnało przez ulicę biorąc zakręty na dwóch kołach. Syrena wyła bez przerwy, toteż samochody umykały na boki niby spłoszone kurczęta.

Zasadzka nie udała się. Jeden z ludzi, źle ukryty, zdradził swoją obecność. Człowiek w aucie dodał gazu i przemknął obok nich znikając za najbliższym rogiem ulicy. Jednak numer rejestracyjny został zanotowany.

Potem Allenbeck stracił sporo czasu na likwidację akcji i wydanie nowych dyspozycji. Ten stracony czas starali się teraz nadrobić. Jednakże dla Bonivarde'a szybkość była jeszcze za mała.

Wreszcie wzięli ostatni zakręt i zatrzymali się z przenikliwym piskiem opon. Allenbeck i Bonivarde jednocześnie wyskoczyli na obie strony wozu. Przed nimi stało auto ze znanym numerem.

Ruszyli biegiem ku bramie, ale zatrzymał ich okrzyk jednego z ludzi. Wskazał im ręką na dach pobliskiej kamienicy.

Po jej szczycie, wysoko w górze, biegł człowiek. Na tle nocnego nieba, w mżącym świetle latarni znajdujących się poza kamienicą, widać było wyraźnie jego sylwetkę. Poły płaszcz rozwiewały się za nim niby wielkie, czarne skrzydła. Po chwili zrozumieli, dlaczego tak ryzykownie i szybko biegnie po wąskich deskach rozłożonych pomiędzy kominami. Za nim równie szybko przesuwała się sylwetka goniącego.

W pewnej chwili człowiek w płaszczu odwrócił się. Uniósł rękę i najpierw ujrzeli krótki, czerwony płomień, a potem doleciał ich huk strzału. Ścigający zdążył jednak skryć się za komin. Wtedy tamten poderwał się do dalszej ucieczki.

Nie widzieli, jak to się stało. Uciekający jak gdyby poślizgnął się, balansował chwilę z uniesionymi rękami, a potem spadł z deski i potoczył się po stromym, blaszanym dachu. Zsuwał się szybko, na próżno starając się uczepić śliskiej blachy.

Doleciał do okapu, przewalił się przez rynnę i jeszcze chwilę zatrzymał się na niej zwisając nogami ponad przepaścią ulicy. Potem rynna puściła i człowiek poleciał z dzikim krzykiem w dół. Płaszcz wydał się nad nim czarną czaszą, niby żałobny spadochron...

Alicja spędziła noc u Ewy. Była bliska rozstroju nerwowego i załamana dramatycznym zakończeniem nocnych wydarzeń. Jednocześnie żegnając Bonivarde'a wymogła na nim, że przyjdzie rano razem z Brańczycem.

Wstały o dziewiątej i musiały bardzo się spieszyć. Ewa zaprzęła zaraz przyjaciółkę do roboty, aby nie dać jej czasu na deprymujące rozmyślenia.

Trudno było jednak nie wspomnieć o wczorajszych wydarzeniach. Alicja, która właśnie sprzątała mieszkanie, wyłączyła odkurzacz.

— Nie mogę pozbyć się przerażającej myśli, jak strasznie mściwy był ten człowiek — westchnęła.

— Dajże spokój, te rozważania na nic się nie zdadzą! Na szczęście masz to już za sobą!

— Bo pomyśl. On na pewno już dawno postanowił mnie zabić. Ale tego było mu jeszcze mało. Najpierw chciał sycić się zemstą, dręczyć mnie tak okropnie.

— Alu, przestań! Nie oglądaj się za siebie, skoro los zetknął cię z człowiekiem tej miary, co Bonivarde.

— Kochany Raoul — westchnęła Alicja. — Przez tak długi czas skazać się na rolę lokaja! Doprawdy byłam głupia, że nie zauważyłam, nie zdawałam sobie sprawy, jak dalece odbiegał od typu zwykłego służącego.

— Coś tam jednak zauważyłaś, skoro się w nim zakochałaś — mruknęła Ewa wyciągając z kredensu resztę nie spakowanych jeszcze talerzy.

— Dlatego byłam taka zgnębiona. Wyobraź sobie, co przeżywałam, kiedy zaczęłam sobie uświadamiać, że nie jest mi obojętny. Nie chciałam dopuścić do siebie tej myśli.

— Trochę cię rozumiem. — Tym razem Ewa nie mogła opanować westchnienia. — No, ale zabierajmy się do roboty, bo niedługo powinni tu być!

Alicja posłusznie włączyła odkurzacz.

Krótko po dziesiątej zjawili się oczekiwani, a wraz z nimi komisarz Allenbeck, którego Bonivarde przyprowadził ze sobą.

Mieszkanie było już posprzątane, stół nakryty, a obie panie gotowe do przyjęcia wczesnych gości.

— Możemy już jeść? — spytał wesoło Allenbeck wchodząc do pokoju. — Bo jestem wściekle głodny!

— Podziwiam pana odwagę — powiedziała nieco uszczypliwie Ewa, nie mogąc sobie odmówić tej drobnej złośliwości.

— Należy raczej podziwiać odwagę pana Brańczyca — zrewanżował się jej komisarz, — Nie wracajmy już jednak do starych grzechów!

Podczas śniadania on pierwszy jednak poruszył ten temat.

— Będzie pani miała teraz sporo kłopotów — powiedział do Alicji. — Ben Lavery — wydało mu się niestosowne słowo „mąż” — pozostawił spory, majątek. Czeka panią moc formalności.

— Zrzeknę się wszystkiego i będę miała spokój!

— I słusznie, przynajmniej do pewnego stopnia, gdyż część tego majątku trzeba będzie przekazać władzom sądowym. Tę mianowicie, która pochodzi z rabunku.

— Z rabunku?! — wykrzyknęły razem Alicja i Ewa.

— Tak, z rabunku. Podaj mi ten dzem, Kamilu, jest świetny! To Mond tak zapobiegliwie zbierał te wszystkie cenne przedmioty, meble, obrazy, dywany. Wszystko, cokolwiek udało mu się zrabować. Zbierał i wysyłał do Paryża pod adresem Lavery'ego. Kiedy nastąpiła katastrofa i alianci wkroczyli do Francji, musiał przede wszystkim ratować własną skórę. I w ten sposób Lavery wszedł w posiadanie tego bogactwa.

Dopiero po kilku latach Mond zgłosił się do niego z żądaniem zwrotu przynajmniej części.

Lavery był na tyle mądry, że nie odrzucił tego żądania i doszedł z nim do porozumienia. To, co otrzymał od Lavery'ego, wystarczyło Mondowi na kupno agencji i jeszcze

sporo pozostało — dla Volberta.

— Czy on istotnie szantażował Monda? — wtrąciła Ewa.

— Tak.

— Skąd jednak znał jego tajemnicę?

— Gdyż Lavery przesłał mu anonimowo odpowiednie materiały.

— Dlaczego, skoro nie miał pretensji do Monda?

— Nie chodziło mu też o Monda. Chciał natomiast zemścić się na Volbercie.

— Nie rozumiem — rzuciła Ewa, mimo woli spoglądając na Alicję.

— Przesyłając te materiały zdawał sobie sprawę, że posłużą one do nowego szantażu, gdyż znał Volberta. Ale znał także Monda i wiedział, czym skończy się ten szantaż.

— Cóż za piekielna chytrość!

— A tak! — wtrącił Allenbeck. — Uśmiercał w ten sposób nienawistnego sobie człowieka obcymi rękami i bez żadnego ryzyka! A przygoda pani Lavery? Drugi dowód istotnie diabelskiej chytrości: przecież on ją szantażował grożąc zdemaskowaniem przed samym sobą! A potem, kiedy już nie miała pieniędzy, wiem i o tym — uśmiechnął się do Alicji — uznał, że sprawę należy zakończyć. Píše dwa listy, jeden do niej, drugi do znanego sobie opryszka. Ten drugi list znaleźliśmy przy adresacie. Zawiadamał w nim, że zgłosi się do niego kobieta z kulią wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Kulię tę można by zatrzymać, gdyż nikt nie wie, dokąd poszła kobieta, oczywiście jeśli w przyszłości nie będzie mogła wystąpić jako świadek. Oto cała, prosta w gruncie rzeczy kombinacja. Był z nią wprawdzie związany pewien koszt, ale poszły na to pieniądze samej ofiary. Resztę załatwiły owe

anonimowe listy. — a Henio Jeden Raz już siedzi razem z kompaniami, przy czym — to wiadomość dla pana Brańczyca — jednego z nich musieliśmy odwieźć do szpitala — uzupełnił komisarz.

— Przestańcie już o tym mówić — oczy Alicji napętniły się łzami. — Ten człowiek nie żyje, ale był mimo wszystko moim mężem... Chcę o nim jak najprędzej zapomnieć.

— Wybaczy mi pani, jeszcze jedno pytanie, sędzę jednak, że zainteresuje ono i panią — zwrócił się Kamil do Alicji. — Jak się to stało, że pułkownik został służącym u państwa Lavery? Nic mi pan o tym nie powiedział w czasie pierwszej rozmowy.

— Nie uważałem wówczas za celowe informowanie ciebie o tym. — Bonivarde dopił kawę i odstawił pustą filiżankę. — Ja już dawniej wiedziałem, do kogo odchodziły skrzynie z Montfort. Kiedy postanowiłem odszukać Clestila, nie miałem żadnych śladów, żadnych wskazówek, nic prócz wiadomości, że żyje i znajduje się we Francji.

W jakiś rok po objęciu służby otrzymałem polecenie wręczenia listu niejakiemu Mondowi. Wykonałem je i w ten sposób znalazłem się w jego prywatnym mieszkaniu. Zobaczyłem tam stary żydowski świecznik, stanowiący parę z tym, jaki stał na biurku Lavery'ego. Zrozumiałem, że znalazł się tak długo poszukiwany trop. Nie będę już wam opowiadał, jak zacieśniałem coraz bardziej krąg dowodów dokoła Monda. Dość, iż w chwili, gdy spotkałem Brańczyca, wiedziałem już, że Mond jest tak długo poszukiwanym Clestilem...

— Po co dzwonił pan do mnie w noc zabójstwa Volberta?

— Zrobiłem to na polecenie Allenbecka. Chciał mieć pewność, że istotnie nie ma Monda w La Ciotat.

— A dlaczego Ben miał to drugie mieszkanie? — zainteresowała się Alicja.

— Był to skład rzeczy, których pochodzenia nie mógł udokumentować. Lavery był człowiekiem o wybujałym poczuciu własności, toteż nie mógł pogodzić się z myślą, że miałyby się pozbyć drogocennych sprzętów i dzieł sztuki, mimo że posiadanie ich groziło niebezpieczeństwem. Dlatego usunął je w zacisze zakonspirowanego mieszkania.

— A co z zagadką Ewy? Przecież Mond to nazwisko prawdziwe?

— Ale Clestil było przybrane — wyjaśnił Bonivarde.

— W służbie, jaką pełnił, to była zwykła rzecz.

Śniadanie skończyło się i Ewa wstała od stołu. Reszta towarzystwa poszła za jej przykładem.

— Wyjdźcie teraz na taras — zaproponowała — a my z Alicją posprzątamy ze stołu.

— Kiedy zaczął pan podejrzewać Lavery'ego o szantaż? — wrócił do tematu Kamil, gdy zajęli na tarasie ogrodowe fotele.

— Stosunkowo niedawno znalazłem jeden z jego listów. Poza tym wiedziałem, że posługiwał się niegdyś prywatną agencją detektywistyczną, gdyż wpadł mi w ręce rachunek za pobyt ich agenta na Sycylii. To mi pomogło skojarzyć fakty.

— Zdaje się, że osoby zainteresowane podejrzewały raczej Volberta? — wtrącił Allenbeck.

— Jak wiesz, Volbert był tylko narzędziem swojej żony. To ona grała kierowniczą rolę w tym stadle.

— Dlaczego poniechali tego szantażu?

— Volbert był kiedyś wzywany do kancelarii Lavery'ego. Zapewne ten poradził mu wówczas, aby trzymał się od jego żony z daleka.

— A co się dzieje z żoną Volberta? — spytał Kamil.

— Z panną Bellano? — rzucił Allenbeck. — Została dwa dni temu aresztowana, a śledztwo w jej sprawie jest w toku. Potrwa ono dość długo, bo ma sporo na sumieniu. Sądzę, że otrzyma bardzo surowy wyrok.

— Co, jeszcze omawiacie tę sprawę? — odezwała się nagle Ewa za ich plecami. — Chyba już dość o tym!

— Jedyna nie rozwiązana zagadka to sprawa śmierci Monda — odpowiedział Allenbeck spoglądając na nią.

— Nie zwracaj sobie tym głowy! — machnął ręką Bonivarde. Panna Ewa zawdzięcza zapewne życie zwykłemu przypadkowi. Mond musiał się omylić.

Allenbeck nie odpowiedział, widać jednak było, że problem ten nie daje mu spokoju. Nie mógł się z tym pogodzić, że wyjaśniając tak skomplikowaną sprawę, nie znajduje wytłumaczenia dość istotnego jej fragmentu.

— Uspokój wreszcie komisarza, Ewo, i przyznaj, że to ty spławiłaś Monda — powiedział Kamil przysuwając fotel. — Inaczej skążesz go na bezsenność!

— Z góry rezygnuję z oskarżenia. Jestem tu w prywatnym charakterze, może się pani przyznać — rzucił kusząco Allenbeck.

— Nie, drogi komisarzu, nie mogę tego zrobić nawet za cenę pańskiego dobrego snu!

— Ten szczegół w gruncie rzeczy jest bez znaczenia — powiedział Bonivarde wodząc wzrokiem za Alicją, która zjawiła się na tarasie. — Zamknij akta z adnotacją, że zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

— Właśnie tak zrobiłem — przyznał się Allenbeck. — Ale moja zawodowa ciekawość nie daje mi spokoju. Muszę dojść prawdy!

— W takim razie weź na tortury starego Varese'a. Właśnie pojawił się w ogrodzie.

Istotnie pomiędzy drzewami ukazało się szerokie rondo słomkowego kapelusza.

— Tss — szepnął Kamil — bo jeszcze posłyszysz!

— Ani się waźcie dokuczać profesorowi! — zaprotestowała Ewa. — Możemy jednak rozmawiać spokojnie, bo staruszek ma nieco przytępiony słuch.

Allenbeck siedział zapatrzony w ogród. Nagle obrócił się gwałtownie w stronę dziewczyny.

— Ma przytępiony słuch?! Nie zauważyłem tego!

— Bo z bliska słyszy stosunkowo dobrze.

Komisarz zerwał się na nogi.

— Przepraszam was! — powiedział podniecony. — Chcę sobie z tą sympatią panny Fontenay trochę pogawędzić!

Odszedł w głąb ogrodu.

Stary profesor pochylony nad grzędą obrywał pędy truskawek. Kiedy komisarz stanął przy nim, uniósł głowę ku górze, a potem wyprostował się.

— Aaa... to pan! Składam wyrazy uszanowania. Nie podaję panu ręki, bo nieco ją przybrudziłem — wskazał powalane ziemią palce.

— I ja witam pana, profesorze, i proszę, aby poświęcił mi pan nieco uwagi.

— O co chodzi? — W głosie starego zadrgała niechęć. — Czy jeszcze nie skończyliście tej przykrej sprawy?

— Właśnie wczoraj została zakończona. Ale jeden szczegół...

— Została zakończona? — przerwał mu Varese.

— No, to bardzo dobrze!

— Obecnie zwracam się do pana jako człowiek prywatny. Panie Varese, niech mi pan powie, gdzie właściwie

znajdował się pan w czasie wizyty Monda? Czy naprawdę za tymi krzakami?

— Przecież panu mówiłem...

— I słyszał pan wszystko, co się działo w pokoju? Czy nadal będzie pan tak twierdził?

— No... tak... — mruknął niechętnie Varese.

— Panie Varese, mówimy w cztery oczy i nie występuję jako osoba urzędowa — w głosie Allenbecka zabrzmiał ton prośby. — Proszę więc mówić ze mną otwarcie. Pan nie mógł nic stamtąd słyszeć. Gdybym wystąpił oficjalnie i przeprowadził wizję lokalną, łatwo bym to panu udowodnił. — Tym razem w głosie zadźwięczała groźba. — Gdzie pan zatem wówczas był, panie Varese?

Wzrok profesora pobiegł w stronę domu. Zatrzymał się na towarzystwie siedzącym na tarasie, a dopiero po chwili spoczął na twarzy komisarza.

— Dlaczego tak natarczywie dopytuje się pan o to, skoro śledztwo zostało zakończone? — spytał cicho.

— Bo chcę mieć wyraźny obraz całości, bez żadnych ciemnych fragmentów. To po prostu objaw zawodowej ambicji. Obiecuję panu zachować dla siebie to, co usłyszę, ale proszę o szczerłość!

— Tak, rozumiem pana. Jest pan fachowcem w swoim zawodzie i ta sprawa nie daje panu spokoju. Otóż powiem panu, że mnie również nie daje ona spokoju...

— Dlaczego? — zdziwił się Allenbeck.

— Bo świadomość, że zabiło się człowieka, jest ciężarem trudnym do zniesienia. Bez względu na to, jaki był ten człowiek... Widzi pan, ja wiedziałem cały czas, kim był Mond, i dlatego tak obawiałem się o tę dziewczynę...

— Proszę, miech pan mówi dalej — Allenbeck bał się spłoszyć mówiącego.

— To ja otruję Monda, proszę pana. — Varese uniósł wyblakłe oczy i spojrzał na Allenbecka. — Zrobiłem to wprawdzie nie mając pewności, że go zabijam, ale zginął przeze mnie. Gdybym podejrzewał, że on chce ją otruć, inaczej rozwiązałbym sytuację, ale tak okropna myśl nie przyszła mi do głowy.

Mówił ociągając się, urywanymi zdaniami.

— Przypuszczałem, że ma inne, co prawda równie nieczne zamiary, ale nie zabójstwo. Że chce ją uśpić lub odurzyć... O, bo ja wiedziałem, co to za typ ten Mend. Jaka to podła i przebiegła sztuka.

— Jak pan to zrobił? Jak się to stało, że Mond wypił truciznę przeznaczoną dla dziewczyny?

— W rzeczywistości znajdowałem się nie za krzakami, lecz tuż przy otwartym oknie. Przysłaniał mnie kant muru i, cienka plecionka, jaką zaciągnięte było okno. Widziałem i słyszałem wszystko. Wprawdzie zastanowiła mnie ta kartka z tłumaczeniem, ale i ona nie nasunęła mi myśli o prawdziwych zamiarach Monda.

Kiedy dziewczyna wyszła do kuchni, Mond wyjął szybko z kieszeni fiolkę i wlał do jednego z kieliszków kilka kropel. Potem obrócił się i stanął przed obrazem, jak gdyby podziwiając jego treść. Wykorzystałem właśnie tę chwilę, wyciągnąłem rękę odsuwając firankę, a potem po prostu obróciłem o sto osiemdziesiąt stopni tackę, na której stały kieliszki. Trwało to sekundę. Cofnąłem szybko rękę i oczekiwałem, co będzie dalej. Dziewczyna weszła z wodą, a potem wypili wino. Oczywiście Mond pilnował swego kieliszka nie wiedząc, że teraz to jest kieliszek z

trucizną. To wszystko, co mogę panu na ten temat powiedzieć — zakończył Varese.

— Tak. Rozumiem — Allenbeck popatrzył na starego profesora nie bez uznania.

— Obecnie zaś nie mogę pozbyć się wyrzutów sumienia. Wiem, że w rezultacie ocalałem dziewczynę, że Mond to był zbrodniarz nie zasługujący na lepszy los. Ale przecież... Należało może wejść do pokoju i nie dopuścić do wypicia tego wina.

— Wówczas naraziłby pan na niebezpieczeństwo i siebie. Mogłoby się skończyć strzałami. Ostatecznie na nic innego nie zasłużył. Natomiast ocalał pan życie tej wartościowej dziewczyny. To wszystko mówię oczywiście jako człowiek prywatny.

Wyciągnął rękę.

— Do widzenia, panie profesorze. Kiedyś, gdy poczuję się zmęczony, chętnie przyjdę odpocząć do tego miłego ogródka. Być może, nie zostanę wyproszony.

— Szczerze będę panu rad, panie komisarzu — powiedział Varese z uśmiechem. Otarł dłoni o spodnie i uściśnął wyciągniętą ku niemu rękę.

Podchodząc do tarasu komisarz miał na twarzy uśmiech pełen zadowolenia. Bonivarde spostrzegł ten uśmiech, ale nic nie powiedział. Natomiast zwrócił się do Alicji.

— Musimy już iść — czeka nas dużo roboty i kłopotów z uporządkowaniem wszystkich spraw. Oni też mają sporo pracy przed wyjazdem.

— Kiedy jedziecie, Ewo? — spytała Alicja. — Będzie mi ciebie bardzo brak. — Spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę.

— I ja będę bardzo tęskniła za wami — szepnęła Ewa. — Kamilu, kiedy jedziemy?

— Sądzę, że za dwa dni. Wcześniej mie zdążymy chyba załatwić formalności, no i zakończyć pakowania.

Kiedy goście wyszli, Ewa miała w oczach łzy.

— Nie miej mi za złe, Kamilu — powiedziała przytulając się do niego — ale wszystkie rozstania są tak bolesne... Będzie mi przyjaciół brakowało. Żal mi też rozstać się z Paryżem. Tak kocham to miasto.

Kamil objął ją ramieniem.

— Mam nadzieję, droga, że równie mocno pokochasz Warszawę. A na przyszły rok zaprosimy Bonivarde'ów do siebie.

